

VIRGINIA WOOLF

Pani Dalloway

Thum. Krystyna Tarnowska

Pani Dalloway powiedziała, że sama kupi kwiaty.

Lucy ma wyliczoną każdą minutę. Zdejmie się drzwi; przyjdą ludzie od Rumplemayera. A zresztą, pomyślała Klarysa Dalloway, co za ranek - jak gdyby ofiarowany w podarku dzieciom na plaży.

Co za rozkosz! Jaka cudowna kąpiel! Bo tak to zawsze odczuwała, kiedy z cichym skrzypieniem zawiasów, które dotąd słyszy, otwierała drzwi balkonowe i wychodziła w Bourton na taras. Jak rześkie, jak ciche - cichsze naturalnie niż tutaj - było powietrze wczesnym rankiem; jak pluśnięcie fali, jak pocałunek fali; chłodne i ostre, a jednak (miała wtedy osiemnaście lat) dziwnie uroczyste, bo kiedy tak stała w otwartych drzwiach na taras, ogarniało ją uczucie, że za chwilę zdarzy się coś przerażającego. Spoglądała na kwiaty, na drzewa parujące mgłą, na wrony, które szybowały w górę, opadały; stała wpatrzona w ogród i nagle Piotr Walsh powiedział: - Zaduma pośród warzyw?

- Tak powiedział? - Ja od kalafiorów znacznie wolę ludzi. - Tak powiedział? Powiedział to chyba któregoś ranka przy śniadaniu, kiedy wyszła na taras. Piotr Walsh. Wraca niedługo z Indii, w czerwcu albo w lipcu, pani Dalloway nie pamięta kiedy, bo jego listy są przeraźliwie nudne, pamiętało się raczej jego słowa, jego oczy, scyzoryk, uśmiech, złe humory i - jakie to dziwne, gdy zniknęły bez śladu tysiące innych rzeczy - kilka powiedzeń, jak to o kalafiorach.

Zatrzymała się na krawężniku czekając, aż przejedzie furgonetka Durtnella. Czarująca kobieta, pomyślał Scrope Purvis (znał ją, jak się zna sąsiadów w dzielnicy Westminster). Ma w sobie coś z ptaka, z sikorki - niebiesko-zielona,

lekka, żywa, chociaż skończyła już pięćdziesiąt lat i od choroby mocno posiwiała. Bardzo wyprostowana pani Dalloway stała na krawężniku i nieświadoma spojrzeń Scrope'a czekała na przejście.

Bo ktoś, kto mieszka w Westminster - ile to lat? ponad dwadzieścia - odczuwa nawet pośród wrzawy ulicznej, nawet, Klarysa była tego pewna, kiedy budzi się nocą, ową szczególną ciszę, uroczystą powagę, nieuchwytną pauzę, niepokój (to ostatnie można wytłumaczyć stanem jej serca osłabionego po influency), zanim wybije Big Ben. O, właśnie! Bije! Najpierw ostrzegawczo, melodyjnie; potem godziny, nieodwołalnie. Ołowiane kręgi rozpluwają się w powietrzu. Jacy my jesteśmy głupi, pomyślała Klarysa przechodząc na drugą stronę Victoria Street. Bo chyba tylko Bóg raczy wiedzieć, dlaczego je tak kochamy, dlaczego nam się wydaje takie piękne, dlaczego je planujemy, wznosimy dokoła nas, burzymy, co chwilę budujemy od nowa. Ale najbardziej zgorzkniali nieszczęśnicy, najtragiczniejsze wraki ludzkie siedzące na stopniach pod cudzymi drzwiami (wódka ich zgubiła) postępują tak samo; i właśnie dlatego, Klarysa była pewna, dlatego że kochają życie, nie pomogą w walce z nimi żadne ustawy parlamentu. W oczach ludzi, w ich rytmicznym kroku, w dreptaniu, ciężkich stąpieniach, w zgiełku i wrzawie, w powozach i samochodach, w autobusach, ciężarówkach, w ludziach-reklamach kiwających się i powłóczących nogami, w ulicznych orkiestrach, w katarynkach, w tryumfie, w hałasie, w dziwacznym wysokim śpiewie samolotu tam w górze było wszystko to, co kochała: życie, Londyn. Ta chwila w czerwcu.

Była to bowiem połowa czerwca. Wojna skończyła się; nie skończyła się tylko dla osób takich jak pani Foxcroft wczoraj na przyjęciu w ambasadzie; biedna schnie z rozpaczy, bo ten jej miły chłopak zginął na froncie i teraz stary dwór wraz z majątkiem przejdzie na kuzyna! Albo jak lady Bexborough, która otwierała wentę z depeszą w rękę; John, jej ukochany syn, zginął. Ale to się skończyło, Bogu dzięki skończyło się. Czerwiec. Król i królowa są w Pałacu. I wszędzie, choć jest jeszcze tak wcześnie, stuk piłek o rakiety, tętent

galopujących koni, trzask kijów krykietowych. Lords, Ascot, Ranelagh, i tak dalej, otulone w delikatną pajęczynę szaroniebieskiego poranka, która trochę później rozsnuje się i pozwoli dojrzeć na trawnikach i torach konie ledwie dotykające przednimi kopytami ziemi, wzbijających się w powietrze młodych mężczyzn i roześmiane dziewczęta w przezroczystych muślinowych sukniach; a choć dziewczęta tańczyły całą noc, już teraz wyprowadzają na spacer swoje absurdalne psy z włóczki; i już teraz, o tak wczesnej porze, dyskretne stare wdowy wyjeżdżają limuzynami na tajemnicze wyprawy; a jubilerzy układają na wystawach swoje sztuczne i prawdziwe brylanty, i śliczne stare broszki o kamieniach koloru morskiej wody w osiemnastowiecznej oprawie, którymi kuszą Amerykanów (trzeba jednak oszczędzać, nie wolno kupować dla Elżbiety rzeczy w sposób nieprzemyślany), a ona - ona, która kocha klejnoty miłością wierną i trochę śmieszna, ona, która jest ich częścią, ponieważ jej przodkowie byli dworakami za czasów Jerzego I, ona także rozłśni się tego wieczoru i rozbłyśnie. Bo wydaje przyjęcie. Ale jakie to niezwykle; po wejściu do parku cisza, opary, daleki szmer, rozradowane kaczki płynące powoli, kroczące niezdarnie brzuchate ptaki. Ach, kto to idzie od strony budynków rządowych (miejsce jak najbardziej właściwe!), z tęczką ozdobioną królewskimi herbami? Naturalnie Hugh Whitbread! Jej stary przyjaciel niezrównany Hugh!

- Dzień dobry, Klarysa - powiedział Hugh z trochę przesadną swobodą, bo znali się od dziecka. - Dokąd?

- Lubię chodzić po Londynie - odparła pani Dalloway. - Naprawdę wolę to niż spacerować na wsi.

Właśnie dzisiaj przyjechali, niestety, do lekarzy. Ludzie przyjeżdżają zwykle na wystawy obrazów, do opery, wprowadzić córki w świat. Whitbreadowie przyjeżdżali zawsze „do lekarzy”. Ileż to razy Klarysa odwiedzała Evelyn Whitbread w klinikach! Czy Evelyn znów chora?

- Evelyn czuje się bardzo kiepsko - powiedział Hugh nadymając lekko swoje w miarę tęgie, bardzo męskie, niezwykle kształtne, znakomicie ubrane

ciało (był zawsze niemal aż za dobrze ubrany, ale może wymagała tego ta mała posadka przy dworze). Chciał dać w ten sposób do zrozumienia, że jego żona cierpi na jakieś schorzenie wewnętrzne, nic poważnego, Klarysa jako stara przyjaciółka zrozumie nie każąc mu wchodzić w szczegóły. Ależ tak, rozumiała; jakie to przykre; i poczuła jednocześnie siostrzaną troskę i zażenowanie na myśl o swoim kapeluszu. Nieodpowiedni na rano, prawda? Bo przy Hughu, który kipiał energią, przesadnie wymachiwał kapeluszem, zapewniał ją, że wygląda na osiemnaście lat, obiecywał, że tak, naturalnie, przyjdzie do niej na przyjęcie (Evelyn stanowczo tego żądała), chociaż może trochę się spóźni, przyjdzie prosto z rautu w Pałacu Buckingham, dokąd musi zaprowadzić jednego z synów Jima - przy Hughu Klarysa czuła się zawsze trochę niezręcznie, jak pensjonarka. Była jednak do niego bardzo przywiązana, częściowo może dlatego, że знаła go całe życie, ale poza tym uważała, że na swój sposób jest poczciwy, chociaż Ryszarda doprowadzał do szału. A Piotr Walsh do dziś nie może jej darować tej przyjaźni.

Pamiętała wszystkie tamte sceny w Bourton. Piotr wściekły; naturalnie Hugh nie dorównywał mu pod żadnym względem, ale nie był przecież takim zupełnym idiotą, nie był kukłą, jak twierdził Piotr. Kiedy go matka prosiła, żeby zrezygnował z polowań czy pojechał z nią do Bath, zgadzał się bez słowa; był naprawdę pozbawiony egoizmu, a to, co mówił Piotr, że Hugh nie ma ani serca, ani mózgu, nic, tylko obejście i maniery angielskiego dżentelmena - ach, to były takie kiepskie popisy jej kochanego Piotra! Piotr bywał naprawdę nieznośny, bywał wprost niemożliwy; ale jak cudownie było iść obok niego w taki ranek.

(Czerwiec rozwinął wszystkie liście na drzewach. Matki z Pimlico karmiły niemowlęta. Gońcy krążyli między budynkiem Floty i Admiralicji. Mogło się zdawać, że ulice Arlington i Piccadilly rozpalają powietrze w parku i unoszą rozżarzone, rozbłyszczone liście na falach tej boskiej żywotności, tak przez Klarysę wielbioną. Tańczyć, jeździć konno - jakże ona to wszystko kochała.)

Bo mogliby się z Piotrem nie widzieć sto lat; ona nigdy do niego nie pisała,

a jego listy były takie bez wyrazu. Ale raptem przychodziła myśl: gdyby był ze mną, co by powiedział? Niektóre dni, niektóre widoki zwracały go jej łagodnie, bez dawnej goryczy, co może jest nagrodą za to, że się ludzi kochało; wracają nagle w środku St. James's Park jakiegoś pogodnego ranka, naprawdę wracają. Ale chociaż dzień był piękny, i drzewa, i trawa, i mała dziewczynka w różowej sukience, Piotr by tego wszystkiego nie zauważył. Jeżeli go poprosiła, wkładał okulary, patrzył. Interesowało go co innego. Interesowała go sytuacja na świecie, Wagner, poezja Pope'a, a przede wszystkim ludzkie charaktery i wady jej, Klarysy. Jakże on ją strofował! Jak się sprzeczali! Wyjdzie za męża za premiera i będzie witała gości na szczycie schodów, idealna pani domu, tak ją nazwał (płakała potem w swoim pokoju), ma wszystkie zadatki na idealną panią domu; tak powiedział.

Dlatego wciąż się jeszcze zdarzało, że tak jak teraz w St. James's Park przekonywała samą siebie o słuszności swojego wyboru, bo naprawdę miała słuszność, że nie wyszła za niego. Bo w małżeństwie, bo ludziom, którzy żyją dzień po dniu pod jednym dachem, nieodzowna jest odrobina swobody; odrobina niezależności. Ryszard jej to daje i ona jemu. (Na przykład: co on robi dziś rano? Ma jakąś komisję, nawet nie pytała jaką.) Ale z Piotrem wszystko trzeba było dzielić, wszystko wspólnie roztrząsać. To było nie do wytrzymania, a gdy doszło do tej sceny w małym ogrodzie obok fontanny, musiała z nim zerwać, bo inaczej zginęliby oboje. Klarysa doskonale to rozumiała; chociaż przez długie lata ta męka, ten ból tkwił w jej sercu jak zatruta strzała. A potem ten straszny moment, kiedy na jakimś koncercie ktoś jej powiedział, że Piotr ożenił się z kobietą poznaną na statku w drodze do Indii! Nigdy tego nie zapomni. Zimna, bez serca, pruderyjna, tak o niej mówił; nigdy nie potrafi zrozumieć, jak on ją kocha. Widocznie te kobiety z Indii rozumiały - głupie, ładne, próżne idiotki. A ona niepotrzebnie litowała się nad nim.

Bo Piotr zapewniał ją, że jest szczęśliwy, najzupełniej szczęśliwy, chociaż nie dokonał żadnej z tych rzeczy, o których mówili; zmarnował życie. Na myśl o

tym wciąż odczuwała gniew.

Była teraz przy bramie parku. Stała chwilę patrząc na autobusy jadące po Piccadilly.

Nie powiedziałyby teraz o nikim, że jest taki czy inny. Czują się bardzo młoda i jednocześnie niewypowiedzianie stara. Była jak nóż przecinający wszystko, do samego środka; i jednocześnie była na zewnątrz, obserwowała. Gdy przyglądała się taksówkom, nie opuszczało jej uczucie, że jest daleko, daleko na morzu, sama; zawsze uważała, że życie, nawet jeden dzień życia, jest czymś bardzo, bardzo niebezpiecznym. To wcale nie znaczy, że miała się za osobę inteligentną czy niezwykłą. Nie mogła wprost pojąć, jak przeszła przez życie z tymi kilkoma okruchami wiedzy, którą dała im Fraulein Daniels. Nie umiała nic; nie znała języków, historii; niemal nie czytywała już teraz książek innych niż pamiętniki, wieczorami w łóżku. A jednak pochłaniało ją to wszystko; taksówki jadące ulicą; i nie powiedziałyby o Piotrze, nie powiedziałyby o sobie, że jest taka czy taka.

Moim jedynym darem, myślała idąc dalej, jest prawie instynktowna znajomość ludzi. Wystarczyło ją zostawić choć na chwilę z kimś w pokoju, a natychmiast jeżyła się jak kot; albo mruczała zadowolona jak kot. Devonshire House, Bath House, dom z porcelanową papugą - widziała je wszystkie rozjarzone światłami; i pamięta Sylwię, Freda, Sally Seton - mnóstwo ludzi; tańce przez całą noc i nad ranem wozy jadące drogą na targ; i powroty do domu przez aleje parku. Pamięta, że wrzuciła kiedyś szylinga do stawu Serpentine w Hyde Parku. Ale wszyscy ludzie wspominają; a ona kocha to, co jest tu, teraz, przed nią; tę grubą panią w taksówce. Czy w takim razie ma to jakieś znaczenie, zastanawiała się idąc w kierunku Bond Street, czy ma to jakieś znaczenie, że ona musi, absolutnie musi przestać istnieć? Wszystko to będzie trwało dalej, bez niej. Czy ją to boli? Czy też może znajduje pewną pociechę w wierze, że śmierć jest ostatecznym końcem? Że mimo wszystko ona zostanie i Piotr zostanie, że będą żyli jedno w drugim - tu czy tam, na ulicach Londynu, w tętnie życia,

ponieważ ona jest częstką - tego była pewna - drzew wokół domu rodzinnego, samego domu, chociaż taki jest brzydki, przysadzisty, bezkształtny; ponieważ jest częstką ludzi, których nie знаła, ponieważ rozciąga się niczym mgła pomiędzy ludźmi bliskimi sobie, którzy unoszą ją w górę, jak drzewa unoszą mgłę gałęziami, ponieważ jej życie rozciąga się, sięga daleko; jej życie, ona sama. Ale o czym myśli stojąc przed wystawą Hatcharda? Co usiłuje odnaleźć? Jaki obraz białego świtu na wsi chce przywołać, gdy czyta w otwartej książce:

Już cię nie strwożą pożogi słońca

Ni zimy ostre podmuchy.¹

To, czego świat doświadczył w ciągu ostatnich lat, wydrążyło w nich wszystkich, we wszystkich kobietach i mężczyznach, studnie łez. Łez i smutku, odwagi i wytrzymałości; dało im imponującą w swej dzielności stoicką postawę. Wystarczy pomyśleć o kobiecie, którą Klarysa najbardziej podziwiała, o lady Bexborough otwierającej wentę.

Na wystawie leżały: *Ucieszne wycieczki Jarrocka*, *Namydlona gąbka*, *Pamiętniki lady Asquith* i *Polowanie na grubą zwierzynę w Nigerii*. Tyle książek i wszystkie otwarte. Ale żadna nie nadawała się na prezent dla Evelyn Whitbread leżącej w klinice; żadna nie zrobiłaby jej przyjemności, żadna nie wywołałaby na twarzy tej nieprawdopodobnie oschłej kobiety choć przelotnego serdecznego uśmiechu w chwili, gdy Klarysa wejdzie do pokoju, zanim zasiądą do zwykłej, nie kończącej się rozmowy o chorobach kobiecych. Jak bardzo zawsze pragnęłam, żeby ludzie cieszyli się na mój widok, myślała Klarysa zawracając ku Bond Street, zirytowana, ponieważ to tak głupio kierować się w swoich postępkach jakimiś szczególnymi motywami. O ile by wolała przypominać pod tym względem Ryszarda, który robi rzeczy dla nich samych, podczas gdy ona, myślała czekając na przejście przez jezdnię, co najmniej w połowie robi rzeczy nie dla nich samych, prosto i zwyczajnie, tylko żeby ludzie pomyśleli o niej to czy tamto; co jest nonsensem, wiedziała (policjant podniósł

¹ Szekspir, *Cymbelin*, akt. IV, . Przekład Leona Ulricha.

rękę), bo i tak nikt się nie nabierze. Och, gdybym mogła jeszcze raz przeżyć życie, pomyślała wchodząc na trotuar; wyglądałabym nawet inaczej.

Po pierwsze, miałyby ciemne włosy, jak lady Bexborough, cerę jak spękana garbowana skóra, i wspaniałe oczy. Ruchy miałyby powolne, majestatyczne, jak lady Bexborough; byłyby dość tęga, po męsku interesowałyby się polityką, miałyby dom na wsi i byłyby jednocześnie dostojna i bardzo szczerą. A tymczasem jest cienka jak tyczka i ma śmieszny, małą twarz z ptasim nosem. To prawda, że trzyma się bardzo prosto, że ma ładne ręce i stopy; ubiera się też dobrze, chociaż tak mało na siebie wydaje. Ale często teraz to jej ciało (myślała spoglądając na holenderski obraz na wystawie), to jej ciało z wszystkimi swoimi funkcjami wydaje jej się niczym, dosłownie niczym. Miewa śmieszne uczucie, że jest niewidoczna, niedostrzegalna, nikomu nie znana; bo nie czeka ją już małżeństwo, nie czeka macierzyństwo, nie ma nic, jest tylko ten dziwaczny i jakby uroczysty pochód z tłumem przez Bond Street, jest tylko pani Dalloway, nawet już nie Klarysa, tylko pani Ryszardowa Dalloway.

Bond Street urzekła ją. Bond Street wczesnym rankiem, w sezonie. Sklepy; żadnego blichtru, żadnej okazałości; biała tweedu na wystawie u krawca, gdzie jej ojciec zamawiał ubrania przez pięćdziesiąt lat; sznur pereł; łosoś na bryle lodu.

- Nic więcej - powiedziała patrząc na wystawę sklepu rybnego. - Nic więcej - powiedziała zatrzymując się na moment przed wystawą z rękawiczkami, gdzie przed wojną można było kupić niemal doskonałe rękawiczki. A stary wuj William mawiał, że prawdziwą damę poznaje się po butach i rękawiczkach. Któregoś ranka, w połowie wojny, obrócił się na łóżku. Powiedział: - Mam tego dosyć. - Rękawiczki i buty; zawsze miała słabość do rękawiczek. Ale jej córce, Elżbiecie, rękawiczki i buty są najzupełniej obojętne.

Najzupełniej, myślała Klarysa idąc Bond Street do kwaciarni, w której zamawiała zwykle kwiaty na przyjęcia. Chyba najbardziej Elżbieta interesuje się swoim psem. Dziś rano cały dom był przesiąknięty zapachem dziegciu. Ale

mimo to lepsza jest biedna Grizzle niż panna Kilman; lepsza jest no-sówka, dziegieć, i tak dalej niż przesiadywanie w dusznej sypialni z książką do nabożeństwa. Klarysa miała ochotę powiedzieć, że wszystko, że cokolwiek byłoby od tego lepsze. Ale może Ryszard ma rację, że to tylko taka faza, jedna z faz, przez które przechodzą młode dziewczyny. Równie dobrze Elżbieta mogłaby się była zakochać. Ale dlaczego w pannie Kilman? To prawda, że panna Kilman mnóstwo przecierpiała; trzeba o tym pamiętać, a Ryszard mówi, że jest bardzo inteligentna, że ma dużą wiedzę i zamiłowanie do historii. W każdym razie są nierozłączne i Elżbieta, jej córka, przystąpiła do komunii. A jak się ubiera, jak traktuje gości, których matka zaprasza na obiady; Klarysa nieraz miała okazję stwierdzić, że ekstaza religijna, podobnie jak oddanie się jakiejś sprawie, czyni ludzi nieczułymi, przytępia ich wrażliwość, bo na przykład panna Kilman byłaby gotowa zrobić wszystko dla Rosjan, głodziłaby się dla Austriaków, ale w życiu prywatnym dosłownie torturuje ludzi, taka jest niewrażliwa, ubrana wciąż w ten swój zielony płaszcz od deszczu. Od lat nosi ten płaszcz; poci się. Już po pięciu minutach przebywania ze mną w tym samym pokoju daje mi odczuć swoją wyższość, moją niższość; że jest taka biedna, a ja taka bogata, że mieszka w slumsach bez poduszki, bez łóżka, dywanu czy czegoś takiego, cała jej dusza jest zaśnieżona od tych wiecznych pretensji... to, że ją wyrzucili ze szkoły podczas wojny. Biedne, zgorzkniałe, nieszczęsne stworzenie! Bo właściwie nie czuje się obrzydzenia do niej samej, tylko do wyobrażenia o niej, na które złożyło się na pewno mnóstwo rzeczy nie będących panną Kilman; które stało się podobne do jednego z tych widziadeł dręczących nas nocą, wysysających połowę naszych sił żywotnych - ciemniców i tyranów. Bo gdyby kości zostały inaczej rzucone, gdyby padły zamiast białej czarną stroną, Klarysa z pewnością kochałaby pannę Kilman. Ale nie na tym, nie na takim świecie. Nie.

Drażniło ją jednak, że porusza się w niej ów brutalny potwór! Że czuje w duszy, w samej głębinie tego lasu wysłanego liśćmi, uderzenia kopyt i słyszy

trzask łamanych gałązek. Nigdy nie być w pełni zadowoloną, nigdy nie czuć się w pełni bezpieczną, bo w każdej chwili ten potwór, ta nienawiść, znów może się odezwać! Nienawiść, która zwłaszcza od czasu choroby Klarysy miała nad nią taką władzę, że Klarysa czuła się niepotrzebna, zraniona, która zadawała jej fizyczny ból, sprawiała, że wszelka radość płynąca z piękna, z przyjaźni, z dobrego samopoczucia, ze świadomości, że jest kochaną, że ma czarujący dom, zaczynała chwiać się, chylić, jak gdyby naprawdę był tam ów potwór podcinający korzenie, jak gdyby cały ten rynsztunek szczęścia był zwykłym egoizmem. Ach, ta nienawiść!

Głupstwa, głupstwa! zawołała Klarysa w duchu, otwierając drzwi kwiaciarni Melburry'ego.

Weszła szczupła, wysoka, bardzo wyprostowana; natychmiast przywitała ją panna Pym o pucołowatej twarzy i czerwonych rękach, które wyglądały tak, jak gdyby trzymała je w zimnej wodzie wraz z kwiatami.

Kwiaty: lewkonie, groszek pachnący, pęki bzu i goździki, masy goździków. I róże, i irysy. Ach, tak... wdychała słodki zapach ziemi ogrodowej rozmawiając z panną Pym, która była obowiązana jej służyć i która uważała, że Klarysa jest dobra, bo była dobra przed laty; bardzo dobra, tylko w tym roku wygląda starzej, kiedy tak porusza głową to w tę, to w tamtą stronę między irysami i różami, przybliżyła twarz do pęków bzu i oczy ma przymknięte, wdycha - po ulicznej wrzawie - rozkoszny chłód, zachwycający aromat. Nagle otworzyła oczy i jak świeże, niczym najpiękniejsza bielizna prosto z prania, ułożona w wiklinowych koszach, wydały jej się róże; jak konwencjonalnie poprawne były czerwone goździki o sztywnych głowach; i groszek rozparty w swoich wazonach, biadolila, śnieżnobiały, kremowy; mogło się zdawać, że jest wieczór i dziewczęta wyszły w batystowych sukienkach rwać groszek i róże, wyszły po skończonym cudownym dniu letnim o niemal granatowym niebie, po dniu letnim pełnym lewkonii, goździków, lilii; mogło się zdawać, że jest to chwila między szóstą i siódmą, kiedy kwiaty - róże, goździki, irysy, bez - żarzą się;

białe, fioletowe, czerwone, pomarańczowe; wszystkie kwiaty płoną własnym, łagodnym i czystym światłem na parujących mgłą rabatach. Jakże ona kochała biało--szare ćmy zataczające kręgi nad ciastem z wiśniami, nad grzędą pierwiosnków wieczorem!

I chodząc z panną Pym od wazonu do wazonu, chodząc i wybierając kwiaty mówiła sobie: - Głupstwa, głupstwa - coraz łagodniej, jak gdyby to piękno, ten zapach, te barwy, jak gdyby życzliwość i ufność panny Pym były falą, która ją zalewa i jednocześnie topi tę nienawiść, topi tego potwora; i unosi ją coraz wyżej, wyżej, gdy wtem - ach! Strzał na ulicy!

- Boże, te samochody - powiedziała panna Pym; podeszła do okna i wróciła uśmiechając się przepraszająco, niosąc naręczę groszku, jak gdyby to była jej wina - te samochody, te pękające opony samochodów.

Głośny wybuch, który sprawił, że pani Dalloway drgnęła, a panna Pym podeszła do okna i przeprosiła klientkę, wydobył się z silnika samochodu; samochód ów zatrzymał się przy trotuarze dokładnie naprzeciwko okna wystawowego kwiaciarni. Przechodnie, którzy naturalnie przystanęli i spojrzeli, zdążyli jeszcze zauważyć na tle gołębio-szarego obicia twarz osoby bardzo wysoko postawionej; potem męska ręka zaciągnęła firankę i widać już było tylko gołębioszary kwadracik.

Ale natychmiast buchnęły plotki - szły ze środka Bond Street ku Oxford Street w jedną stronę i aż do perfumerii Atkinsona w drugą; szły niewidoczne, bezszelestne jak chmura, szybkie jak opary na stoku wzgórza, spadały, rzecz można, z uroczystą powagą i spokojem chmur na twarzy, których rysy jeszcze przed sekundą były w stanie chaosu. Ale teraz tajemnica musnęła je swoim skrzydłem; rozległ się władczy głos; w powietrzu fruwał anioł religii o ciasno zawiązanych oczach i otwartych ustach. Nikt jednak nie wiedział, czyja to była twarz. Księcia Walii? Królowej? Premiera? Czyja to była twarz? Nikt nie wiedział.

Edgar J. Watkiss, z przewieszonym przez ramię zwojem ołowianej rurki,

powiedział głośno i rzecz jasna żartobliwie: - Faktycznie to było j a u t o premiera.

Septimus Warren Smith, którego jakaś siła zatrzymała w miejscu, usłyszał słowa Edgara J. Watkissa.

Septimus Warren Smith, lat mniej więcej trzydzieści, w brązowych butach i zniszczonym płaszczu, o twarzy bladej, ptasim nosie i jasnoorzechowych oczach; czaił się w nich ów szczególny niepokój, który udziela się osobom najzupełniej obcym. Świat podniósł swój bicz; na kogo spadną razy?

Wszystko zamarło w bezruchu. Warkot silników brzmiał jak nieregularne tętno wstrząsające całym ciałem. Słońce wydało się teraz szczególnie gorące, bo samochód zatrzymał się tuż przed szybą wystawową kwiaciarni Mulberry'ego; stare kobiety na górnych pomostach autobusów otwierały czarne parasolki, tu i tam otwierała się z cichym trzaskiem parasolka czerwona, zielona. Pani Dalloway trzymająca naręczce pachnącego groszku podeszła do okna i wyjrzała; jej drobna różowa twarz zmarszczyła się w wyrazie zaciekawienia. Wszyscy patrzyli na samochód. Chłopcy zeskakiwali z rowerów. Septimus patrzył. Tłok na jezdni był coraz większy. Tymczasem samochód stał z zapuszczonymi storami, a na storach dziwaczny wzór przypominający drzewo, pomyślał Septimus; i to stopniowe ześrodkowywanie się wszystkiego w jednym punkcie, przed jego oczyma, jak gdyby jakiś potwór wydobywał się właśnie na powierzchnię ziemi i miał za chwilę stanąć w ogniu, przeraziło go. Świat chwiało się i drżało, i mógł lada moment wybuchnąć płomieniem. To ja tarasuję drogę, pomyślał Septimus. Czyż ludzie nie patrzą na mnie, nie wskazują na mnie palcami? Czyż nie jestem obciążony balastem, przytwierdzony do chodnika? Musi być w tym jakiś cel. Ale jaki?

- Chodź, Septimus - powiedziała jego żona, drobna kobieta o ogromnych oczach, o bladej, szczupłej twarzy. Włoszka.

Ale Lukrecja też patrzyła na samochód i na wzór na zasłonach. Czy to królowa jest tam w środku... królowa jadąca na zakupy?

Szofer, który coś otwierał, coś przykręcał i coś zamykał, wrócił za kierownicę.

- Chodź - powtórzyła Lukrecja.

Ale jej mąż, bo od kilku lat byli małżeństwem, podskoczył, drgnął i powiedział: - Och, dobrze!

- ze złością, jak gdyby mu w czymś przeszkodziła. Oni na pewno się domyślają, na pewno widzą.

Oni, myślała Lukrecja patrząc na tłum przyglądający się samochodowi; oni, Anglicy, ze swoimi dziećmi, ze swoimi końmi, ze swoim sposobem ubierania się, Anglicy, których Lukrecja na swój sposób podziwiała. Ale teraz byli to „oni”, ponieważ Septimus powiedział: - Zabiję się. - Straszne słowa. A może oni go usłyszeli? Spojrzała na twarze przechodniów. Chciała zawołać: ratunku, ratunku! do kobiet, do chłopców od rzeźnika. Ratunku! Za ledwie jesienią stała z Septimusem nad Tamizą, na Embankment, otuleni jednym płaszczem stali i Septimus zamiast z nią rozmawiać, czytał gazetę, więc wyrwała mu gazetę z rąk i roześmiała się w nos staruchowi, który ich obserwował! Ale klęskę należy ukrywać. Zaprowadzi go do parku.

- Teraz przejdziemy na drugą stronę - powiedziała.

Miała prawo do jego ramienia, chociaż to ramię było takie bez czucia, Septimus podawał jej kawałek kości - jej, Lukrecji, która tak była naiwna, tak impulsywna, miała za ledwie dwadzieścia cztery lata, nie знаła nikogo w Anglii i dla niego opuściła Włochy.

Samochód o zapuszczonych firankach, nieprzenikniony, niedosięgly, potoczył się w stronę Piccadilly; ludzie wciąż mu się przyglądali, na twarzach po obu stronach ulicy malował się wciąż ten sam wyraz szacunku - chociaż nikt nie wiedział, czy jest to szacunek dla królowej, księcia czy premiera. Tylko trzy osoby widziały oblicze przez ułamek sekundy. Nawet płęć budziła teraz wątpliwości. Nikt jednak nie wątpił, że wielkość siedzi we wnętrzu samochodu; wielkość ukryta przed oczyma tłumu jedzie po Bond Street, oddalona na

szerokość dłoni od zwykłych ludzi, a ludzie ci może po raz pierwszy i ostatni w życiu znajdują się tuż obok królewskiego majestatu Anglii, tego niezniszczalnego symbolu państwa, który będzie znany ciekawym archeologom przesypującym gruzy czasów nawet wtedy, gdy trawa porośnie Londyn, a z ludzi śpieszących ulicami w ów środowy ranek zostaną tylko kości i błyskające tu i tam pomiędzy prochami złote obrączki i plomby zmurszałych zębów. Nawet wtedy znana będzie ta twarz w samochodzie.

To na pewno królowa, pomyślała pani Dalloway wychodząc z kwiaciarni Mulberry'ego. Królowa. I przez ułamek sekundy, kiedy tak stała przed kwiaciarnią, w słońcu, a tymczasem samochód o zapuszczonych firankach mijał ją z szybkością piechura, na twarzy pani Dalloway malowało się niewysłowione wprost dostojeństwo. Królowa jadąca do jakiegoś szpitala, królowa udająca się na otwarcie jakiejś wenty, pomyślała Klarysa.

Ruch jak na tę porę dnia był ogromny. Wyścigi w Ascot, zawody na stadionie Lords, w Hurling-ham czy może coś innego? zastanawiała się Klarysa, bo na ulicy powstał korek. Brytyjskie mieszczaństwo siedzące na górnych pomostach autobusów, obładowane paczkami, parasolami, ach, nawet w futrach mimo tak pięknej pogody, jest śmieszne, pomyślała Klarysa, jest wręcz nieprawdopodobne! Sama królowa musi czekać, sama królowa nie może jechać dalej. Klarysa tkwiła nad jezdnią po jednej stronie Brook Street, stary sędzia sir John Buckhurst po drugiej, samochód zaś między nimi. (Sir John od dziesiątków lat ustanawiał prawo i lubił dobrze ubrane kobiety.) Nagle szofer wychylił się z wozu i powiedział coś czy też pokazał coś policjantowi, który zsalutował, podniósł rękę, głową dał znak autobusowi; autobus zrobił miejsce, po czym samochód przejechał. Oddalił się powoli i niemal bez szmeru.

Klarysa domyślała się; Klarysa naturalnie wiedziała; dostrzegła coś białego, okrągłego, magicznego w ręku szofera, krążek z wypisanym imieniem - królowej, księcia Walii, premiera? Krążek, który siłą swojego blasku torował sobie drogę (Klarysa widziała, jak samochód maleje, niknie w oddali), aby tego

wieczoru w Pałacu Buckingham zabłysnąć wśród jarzących się kandelabrow, połyskujących orderów, wśród srebrnych haftów na piersiach Hugh'a Whitbreada i jego kolegów, szlachty angielskiej. Ale Klarysa też wydaje dzisiaj przyjęcie. Wyprostowała plecy; tak będzie stać na szczycie swoich schodów.

Samochód odjechał, płynął jednak za nim jak gdyby lekki prąd, płynął przez sklepy z rękawiczkami, sklepy z kapeluszami i pracownie krawieckie po obu stronach Bond Street. Przez pół minuty wszystkie oczy zwracały się w tę samą stronę - ku szybom wystawowym. Kobiety wybierające rękawiczki (do łokcia czy za łokieć, kremowe, jasnoszare?) milkły raptownie; a nim zdanie zostało wypowiedziane do końca, coś się wydarzyło. Coś tak błędnego w poszczególnych przypadkach, że instrumenty notujące najłżejsze nawet wstrząsy podziemne w Chinach nie zarejestrowałyby tych wibracji; lecz w swojej pełni było to coś niemal wielkiego, w swoim zaś działaniu na ludzi - uczuciowego. Bo we wszystkich sklepach z kapeluszami i pracowniach krawieckich ludzie obcy spoglądali na siebie i myśleli o poległych, o sztandarze narodowym, o imperium. W barze na bocznej ulicy Anglik z kolonii ubliżył rodzinie królewskiej, co doprowadziło do wzajemnych wymysłów, tłuczenia kufli i ogólnej bójki, której echo dotarło na drugą stronę ulicy i brzmiało dziwnym dysonansem w uszach dziewcząt kupujących ślubną białą bieliznę przybraną śnieżnymi wstążkami. Bo zanim to powierzchowne podniecenie wzbudzone przez przejeżdżający samochód przygasło, zrodziło uczucia bardzo głębokie.

Przeciąwszy Piccadilly samochód wjechał w St. James's Street. Wysocy mężczyźni, mężczyźni postawni, dobrze ubrani, w zakietach, białych plasterkach, z włosami szczesnymi do tyłu, którzy z bliżej nie znanych powodów stali w oknie White's Club, z rękami wsuniętymi z tyłu pod poły zakietów, i wyglądali na ulicę, odczuli instynktownie, że przejeżdża obok nich wielkość; i padł na nich blask nieśmiertelnej obecności, jak padł przed chwilą na Klarysę Dalloway. Natychmiast jeszcze bardziej wyprężyli postacie i opuścili ręce, gotowi pójść dla swojego władcy, jeśli zajdzie tego potrzeba, na gardziele armat,

jak szli ongiś ich przodkowie. Białe biusty i małe stoliki w głębi sali, zarzucone egzemplarzami „Tatlera” i zastawione butelkami z wodą sodową, zdawały się pochwalać tę ich postawę, przywoływały na myśl falujące łany zboża i wiejskie dwory Anglii; zdawały się odbijać i ustokrotniać cichy szmer kół samochodu, podobnie jak pod sklepieniem chóru pojedynczy głos odbija się ustokrotniony, wzmocniony ogromem całej katedry. Okutana w chustkę Moll Pratt, kwiaciarka stojąca na chodniku, pomyślała z miłością o tym kochanym chłopaku (bo to na pewno był książę Walii) i cisnęłaby chętnie bukiet róż - w cenie kufla piwa - na jezdnię St. James's Street; cisnęłaby te róże z czystej radości, z pogardy dla biedy, gdyby nie to, że patrzył na nią konstabl, a pod takim spojrzeniem zachwiała się lojalność tej starej Irlandki. Straż przed pałacem St. James's zasalutowała; policjant królowej Aleksandry spojrzał z uznaniem.

Tymczasem przed bramą Pałacu Buckingham zebrała się spora gromadka ludzi; czekali apatycznie, choć z ufnością, sami biedacy. Spoglądali na Pałac, nad którym powiewała flaga; to znów na Wiktorię potężną na swym postumencie, podziwiali strumienie wody bijące z fontanny na jej pomniku i pęki geranium, wyszukiwali wzrokiem najpierw ten, potem znów inny samochód spośród pojazdów sunących po ulicy Mali, kierowali (całkiem niepotrzebnie) swój entuzjazm ku zwykłym obywatelom zażywającym przejażdżki, odwoływali swój hołd i czekali, aż przejedzie ten czy inny samochód; a cały czas wzrastało w nich podniecenie na myśl, że może król na nich spojrzy, że królowa skinie im głową, że książę ich powita; na myśl o rajskim życiu, jakim Bóg nagradza monarchów, o koniuszych, o głębokich ukłonach dworskich, o starym domku dla lalek królowej, o księżniczce Mary, która wyszła za zwykłego Anglika, i o księciu Walii - ach, o księciu, który, jak powiadają, jest kubek w kubek podobny do króla Edwarda, tylko dużo szczuplejszy! Książę Walii mieszka w Pałacu St. James's; ale kto wie, może przyjedzie rano odwiedzić matkę.

Takiego zdania była Sara Bletchley; trzymała dziecko w ramionach i

przytupywała nogą, zupełnie jak przed własną furtką w Pimlico, nie odrywała jednak oczu od Mali, podczas gdy Emilia Coates przebiegała wzrokiem okna Pałacu i myślała o pokojówkach, niezliczonych zastępach pokojówek, i o pokojach, niezliczonych ilościach pokoi. Do tłumu przyłączył się starszy pan ze szkockim terierem oraz kilku łazików. Niziutki pan Bowley mieszkał przy wytwornej ulicy Albany i okazywał lodowatą obojętność wobec głębszych przejawów życia, wzruszały go jednak, wzruszały bezsensownie, setymentalnie, tego rodzaju widoki - ubogie kobiety czekające na przejazd królowej... ubogie kobiety, miłutkie dzieci, sieroty, wdowy, wojna. Ach, naprawdę miał łyzy w oczach. Ciepły wiatr wionący przez Mali, między rzadkimi drzewami, mimo bohaterów z brązu, poruszył jakiś sztandar w brytyjskiej piersi pana Bowleya, który zdjął kapelusz, gdy samochód skręcił w Mali; nie protestował, że ubogie matki z Pimlico tłoczą się wokół niego, trzymał kapelusz wysoko nad głową i stał bardzo wyprostowany. A samochód był coraz bliżej.

Nagle pani Coates podniosła głowę i spojrzała w niebo. Groźny warkot samolotu wświdrował się w uszy gapiów. O, leci nad drzewami, wypuszcza z ogona białą smugę dymu zwijającą się, skręcającą. Wszyscy spojrzeli w górę.

Samolot spadł nurkiem, poderwał się do góry na ogonie, położył na skrzydle, wykonał skręt, opadł, poderwał się znowu, a przy każdym ruchu, w każdym położeniu zostawała za nim gruba, zmarszczona pręga białego dymu, która zwijała się i skręcała tworząc na niebie litery. Ale jakie litery? Czy to jest C? A może L i potem E? Tylko przez chwilę litery wisiały nieruchomo w przestworzach; niebawem zaczynały drgać, rozpływać się, zacierać, a samolot leciał dalej i na czystym kawałku nieba pisał K i E, i potem chyba Y?

- Blaxo - powiedziała pani Coates uroczyście, z szacunkiem, patrząc prosto w górę; dziecko, sztywne i blade w jej ramionach, patrzyło prosto w górę.

- Kreemo - wyszeptała pani Bletchley jak lunatyczka. Pan Bowley, trzymając kapelusz w znieruchomiałej ręce, patrzył prosto w górę. Wzdłuż całej Mali ludzie stali i patrzyli prosto w górę. A gdy patrzyli, nagle cisza zaległa

świat i stadko mew przefrunęło po niebie (najpierw prowadziła jedna mewa, potem druga), a w tej niezwyklej ciszy i spokoju, w tej bladości, w tej doskonałej czystości, dzwony wybiły jedenaście uderzeń i dźwięk rozplynał się w górze pośród mew.

Samolot skręcał, podrywał się, ześlizgiwał w dół, dokładnie tam, gdzie miał na to ochotę - lekko, swobodnie, jak łyżwiarz.

- To jest E - powiedziała pani Bletchley. - E albo tancerka...

- To jest TOFFEE - wyszeptał pan Bowley (auto wjechało w bramę, ale nikt tego nie zauważył), a samolot, teraz już bez smugi białego dymu, oddalał się i oddalał z coraz większą szybkością, dym zaś rozsunął się i zebrał wokół krawędzi ogromnych białych chmur.

Samolotu nie było; zniknął za chmurami. Umilkł warkot. Chmury, z przyczepionymi do krawędzi literami E, G czy L, płynęły swobodnie, jak gdyby zdążyły z zachodu na wschód w jakiejś niezwykle ważnej misji, której cel nigdy nie zostanie wyjawiony; tak, z pewnością była to jakaś misja ogromnej wagi. Nagle samolot wynurzył się zza chmur, jak pociąg wypadający z tunelu, i warkot wdarł się w uszy przechodniów na Mali, w Green Park, na Piccadilly, na Regent's Street, w Regent's Park; pozostawiał znów na niebie falistą krechę dymu, zniżał lot, podrywał się do góry, pisał literę po literze. Ale jakie to słowo?

Lukrecja Warren Smith siedząca obok męża na ławce w szerokiej alei Regent's Park spojrzała w górę.

- Septimus, patrz, patrz! - zawołała. Bo doktor Holmes radził jej, żeby starała się zbudzić w mężu (naprawdę nic mu nie jest, trochę się tylko kiepsko czuje) zainteresowanie światem zewnętrznym.

A więc, pomyślał Septimus zadzierając głowę, dają mi znaki. Wprawdzie nie były to jeszcze słowa, czy raczej Septimus nie znał jeszcze ich języka, ale to piękno, to nieskończone piękno, przemawiało do niego w sposób jasny i zrozumiały. Łzy napłynęły mu do oczu, gdy patrzył na dymne słowa utrzymujące się, rozpluwające na niebie i obdarzające go, w swym

nieskończonym miłosierdziu i radosnej dobroci, wciąż nowymi kształtami oszałamiającej wprost piękności, i obiecujące mu, że będą go obdarzały - zawsze, za nic, za to, że patrzy - wciąż nowym, wciąż doskonalszym pięknem. Łzy płynęły mu po policzkach.

Było to TOFFEE; jakaś niańka powiedziała Lukrecji, że reklamują toffee. Razem zaczęły sylabizować: T... O... F...

K... R— powiedziała niańka i Septimus usłyszał, jak mówi tuż przy jego uchu KAER; głęboko, miękko niczym łagodny dźwięk organów, ale jednocześnie z pewną szorstkością w głosie wypominającą granie świerszcza, z szorstkością, która przebiegała mu rozkosznym dreszczem wzdłuż kręgosłupa i wysyłała do mózgu fale dźwięku załamujące się przy zderzeniu. Ach, co za cudowne odkrycie: głos ludzki w pewnych warunkach atmosferycznych (bo trzeba mieć do wszystkiego podejście naukowe, to najważniejsze) pobudza drzewa do życia! Na szczęście Recja położyła mu rękę na kolanie, rękę niesłychanie ciężką, jest więc obciążony balastem, przygwożdżony do ziemi, bo inaczej te wiązy unoszące się w górę i opadające, unoszące się w górę i opadające, o liściach rozświetlonych, te wiązy, których barwa zmienia się od błękitu do zieleni fal na głębiny, powiewające jak kity na łbach końskich, jak pióra we włosach kobiet - bo inaczej te wiązy tak dumne, tak wspaniałe, doprowadziłyby go do szaleństwa. Ale on nie oszaleje. Zamknie oczy; nie będzie patrzył.

A jednak dają mu znaki; liście żyją, drzewa żyją. Liście połączone są milionem włókien z nim, siedzącym tu na ławce, podnoszą go, opuszczają; a gdy gałąź rozciąga się, on powtarza ten ruch. Wróble, które śmigają w powietrzu, wzbijają się w górę, spadają kaskadami w dół, te wróble są częścią obrazu: błękitno-białego, poprzecinanego czarnymi krechami gałęzi. W harmonijnym układzie dźwięków jest premedytacja; przerwy między nimi są tak ważne jak same dźwięki. Dziecko zapłakało - natychmiast odezwał się gdzieś daleko klakson samochodu. Wszystko to zapowiada narodziny nowej religii...

- Septimus! - powiedziała Recja. Drgnął gwałtownie. Ludzie z pewnością zauważyli.

- Przejdę się do fontanny i z powrotem - powiedziała.

Bo nie mogła znieść tego dłużej. Doktor Holmes mówi, że to nic wielkiego! O wiele bardziej by wolała, żeby Septimus nie żył! Nie może siedzieć obok niego, kiedy on patrzy przed siebie tak nieruchomo i nie widzi jej, kiedy przez niego wszystko staje się straszne: niebo i drzewa, dzieci bawiące się, ciągnące wózki, dmuchające w śwista-wki, przewracające się. Wszystko jest straszne. I Septimus nie odbierze sobie życia; a ona nie może o tym nikomu powiedzieć. „Septimus pracuje za dużo” - tylko tyle mogła napisać do matki. Kiedy się kocha, jest się samotnym, pomyślała. Nie może powiedzieć nikomu, nie może teraz powiedzieć nawet Septimusowi; obejrzała się i zobaczyła go na ławce, siedział sam w zniszczonym płaszczu, zgarbiony, ze wzrokiem nieruchomym. Mężczyzna, który mówi, że się zabije, jest tchórzem, ale Septimus walczył, był odważny; Septimus nie jest teraz sobą. Przypięła do sukni koronkowy kołnierzyk. Włożyła nowy kapelusz, ale on nie zauważył; i jest szczęśliwy bez niej. Ona nigdy nie jest szczęśliwa bez niego! Nigdy! Septimus jest egoistą. Wszyscy mężczyźni są tacy. Bo on nie jest chory. Doktor Holmes powiedział, że nic mu nie jest. Podniosła dłoń. Ach! Schudła tak bardzo, że obrączka zsuwa jej się z palca. To ona cierpi, tylko że nie ma komu o tym powiedzieć.

Daleko są Włochy i biały dom, i pokój, w którym jej siostry robią kapelusze, i ulica wieczorem rojna od ludzi spacerujących, śmiejących się głośno, a nie tylko tych tu półtrupów w fotelach na kółkach, zapatrzonych w kilka marnych kwiatów w doniczce.

- Ach, gdybyście widzieli parki w Mediolanie - powiedziała na głos. Ale do kogo?

W pobliżu nie było nikogo. Jej słowa zgasły. Tak gaśnie rakietka. Iskierki torują sobie drogę przez noc, a potem jej się poddają, ciemność schodzi, okrywa kontury domów i wież; bezbarwne stoki wzgórz łagodnieją, zapadają się. Ale

choć zniknęły, noc jest ich pełna; odarte z koloru, pozbawione okien, nabierają jednak tym większego znaczenia, emanują tym, czego zwykle światło dzienne nie jest zdolne przekazać - troską i niepokojem rzeczy zgromadzonych tam w ciemności, skupionych tam w ciemności, nie znających ukojenia, jakie przynosi świt, gdy nurzając ściany w bieli i szarości, barwiąc każde okno, podnosząc mgłę z pól, ukazując spokojnie pasące się łaciate krowy, przywraca wszystkiemu kształty, powołuje do życia.

- Jestem samotna, samotna! - wołała Recja przy fontannie w Regent's Park (patrz na Indianina i jego krzyż); może w ten właśnie sposób nocą, kiedy zacierają się wszystkie kontury, krajobraz wraca do swego pradawnego kształtu, w jakim go ujrzeli lądujący Rzymianie, w oparach mgły, kiedy wzgórza nie miały nazw, a rzeki płynęły nie wiadomo dokąd - może właśnie taka była jej ciemność; aż nagle jak gdyby wyrósł z ziemi cokół i wywindował ją w górę, i powiedziała sobie, że przecież jest jego żoną, że kilka lat temu wzięli ślub w Mediolanie i że ona nigdy, nigdy nie powie, że Septimus jest obłąkany! Cokół zaczął się obracać, zniżać; czuła, że spada, spada. Bo on poszedł, pomyślała, poszedł, jak groził, że pójdzie, żeby się zabić, rzucić pod wóz. Nie! Siedzi wciąż sam na ławce, w zniszczonym płaszczu, z nogą założoną na nogę, ze wzrokiem nieruchomym, i mówi coś do siebie.

Ludzie nie powinni ścinać drzew. Bóg istnieje. (Takie myśli zapisywał zawsze na odwrocie kopert.) Trzeba zmienić świat. Nikt nie zabija z nienawiści. Wyjaw to ludziom (zapisał). Czekał, nasłuchiwał. Wróbel przysiadł tuż przed nim na sztachetach i zaświergotał: Septimus, Septimus, cztery czy pięć razy, a potem, przeciągając nuty, śpiewał głosem świeżym i donośnym, po grecku, śpiewał, że nie ma na świecie zbrodni; po chwili przyłączył się do niego drugi wróbel i teraz razem śpiewały głosami świeżymi i donośnymi, po grecku, z gęstwiny drzew na łące życia, po drugiej stronie rzeki, gdzie przechadzają się umarli - śpiewały, że śmierć nie istnieje.

Oto jest jego ręka; oto są umarli. Białe kształty zbierają się za sztachetami,

tuż przed nim. Ale on nie ma odwagi spojrzeć. Evans jest tam za sztachetami.

- Co mówiłeś? - spytała nagle Recja, siadając obok na ławce.

Znowu mu przeszkodziła! Wciąż mu przeszkadza!

Odejść od ludzi... muszą odejść od ludzi, powiedział zrywając się z ławki, o tam, gdzie stoją krzesła pod drzewem, gdzie długi stok parku opada raptownie, jak szmat zielonego sukna pod wysokim baldachimem niebiesko-różowego dymu, gdzie na dalekim planie widać nieregularną, mglistą linię wału obronnego domów; ściszony gwar ulic otacza to miejsce kręgiem, a od prawej ciemnobrunatne zwierzęta wyciągają długie szyje nad sztachetami zoo, zawodząc, pomrukując. Tam usiedli pod drzewami.

- Patrz - powiedziała błagalnie, wskazując na gromadkę chłopców niosących kije krykietowe; jeden z malców powłóczył nogą, okręcał się na pięcie, i znów powłóczył nogą, jak gdyby był kłownem w music-hallu. - Patrz - powiedziała błagalnie Recja, bo doktor Holmes radził, żeby kierowała uwagę męża na rzeczy realne, żeby go zaprowadziła do music-hallu, żeby go zainteresowała krykietem. „To doskonały sport - powiedział doktor Holmes - jak wymarzony dla pani męża.”

- Patrz - powtórzyła.

„Patrz” - rozkazał mu niewidzialny głos, który teraz do niego przemawiał, do niego, Septimusa, który jest pierwszym spośród ludzi, ostatnio przeniesionym ze stanu życia do stanu śmierci, który jest bogiem przybyłym, aby odnowić świat, który jest rozpostarty jak płaszcz, jak pokrywa śnieżna pod dotykiem promieni słońca skazana na wieczne trwanie, na wieczne cierpienie, który jest kozłem ofiarnym, wiecznym cierpiętnikiem.

- Przecież ja tego nie chcę - jęknął, gestem ręki oddalając od siebie to wieczne cierpienie, wieczną samotność.

- Patrz - powtórzyła, bo nie powinien mówić do siebie na głos, kiedy jest na dworze. - Och, patrz! - błagała. Ale czy było na co patrzeć? Kilka owiec, nic więcej.

- Jak się idzie do stacji kolei podziemnej Re-gent's Park... - czy mogliby jej powiedzieć, jak się idzie do stacji kolei podziemnej Regenfs Park, pytała Maisie Johnson. Zaledwie przed dwoma dniami przyjechała z Edynburga.

- Nie tędy, tamtędy! - wykrzyknęła Recja odpędzając ją ręką, żeby nie zobaczyła Septimusa.

Oboje wydają się tacy jacyś dziwni, pomyślała Maisie Johnson. Wszystko tu wydaje się takie jakieś dziwne. Była pierwszy raz w Londynie, przyjechała do pracy u swojego wuja na Leaden-hall Street i idąc teraz rankiem przez Regenfs Park naprawdę złąła się tej pary na krzesłach. Młoda kobieta jest chyba cudzoziemką, a mężczyzna ma dziwną minę; tak dziwną, że Maisie do późnej starości będzie pamiętać i wspominać, jak to przed pięćdziesięciu laty, rankiem słonecznego dnia, szła przez Regent's Park. Bo Maisie ma lat zaledwie dziewiętnaście i osiągnęła w końcu to, czego pragnęła, przyjechała do Londynu; a teraz jakie to wszystko dziwne, tych dwoje, których spytała o drogę, dziewczyna drgnęła i odpędziła ją ręką, a mężczyzna... mężczyzna jest strasznie dziwny, może się kłócili, może rozstawali na zawsze, Maisie była pewna, że działo się z nimi coś niedobrego; a teraz wszyscy ci ludzie (bo wróciła na szeroką aleję parku), kamienne sadzawki, sztywne kwiaty, starzy mężczyźni i stare kobiety, chorzy w fotelach na kółkach - wszystko to po Edynburgu wydawało się dziwne. I gdy Maisie Johnson wmieszała się w tę gromadkę ludzi stąpających powoli, o spojrzeniu zamglonym, o twarzach owiewanych łagodnym wietrzykiem (wiewiórki puszyły futerka na gałęziach, wróble poszukujące okruchów spadały jak deszcz, psy obwąchiwały sztachety, obwąchiwały siebie wzajemnie, a łagodne, ciepłe powietrze obejmowało je, przydawało nieruchomemu, pozbawionemu zdziwienia spojrzeniu, z jakim patrzyły na życie, osobliwej zadumy, miękkości), Maisie Johnson czuła, naprawdę czuła, że musi zawołać: - Och! - (Bo ten młody mężczyzna na krzesło porządnie ją wystraszył. Działo się z nim coś niedobrego, Maisie była pewna.)

To okropne, okropne! chciała zawołać. (Bo odjechała daleko od domu, a oni

ją tam ostrzegali, jak to będzie.)

- Dlaczego nie zostałam w domu? - zawołała, zaciskając dłonie na żelaznej gałce sztachety.

Ta dziewczyna, powiedziała sobie pani Dempster (która zbierała skórki dla wiewiórek i często jadła lunch w Regens Park) nic jeszcze nie wie; i pomyślała, że naprawdę lepiej jest być trochę otyłą, trochę ociężałą, nie oczekiwać zbyt wiele.

Percy pije. No cóż, lepiej jest mieć syna niż córkę, pomyślała pani Dempster. Miewała ciężkie chwile w życiu i teraz nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy patrzyła na taką dziewczynę. Wyjdiesz za męża, jesteś dość ładna, pomyślała pani Dempster. Wyjdiesz za męża i wtedy zrozumiesz. Och, kuchnia, i tak dalej. Każdy mężczyzna ma swoje nawyki. Ale czy wybrałabym drugi raz to samo, gdybym wiedziała, pomyślała pani Dempster, i nagle zapragnęła powiedzieć coś Maisie Johnson; zapragnęła poczuć na obwisłej skórze swej zmęczonej starej twarzy pocałunek litości. Bo ciężkie miałam życie, pomyślała pani Dempster. Czegóż to mu ona nie dała! Róże; dobrą figurę i nogi. (Wsunęła bezkształtne, pokryte guzami grube nogi pod suknię.)

Róże, pomyślała z ironią. Wszystko głupstwa, kochasiu. Bo słowo daję, że jak człowiek musi jeść, pić i chodzić do łóżka z chłopem, jak musi przetrwać dobre dni i złe, róże nie są najważniejsze. Ale co więcej, trzeba powiedzieć, że Carrie Dempster za nic nie zamieniłaby się z żadną kobietą w Kentish Town! Mimo to - błagała o współczucie. O współczucie, że już nie ma róż. Błagała o współczucie Maisie Johnson, która stała przy klombach hiacyntów.

Ach, teraz ten samolot! Przecież pani Dempster zawsze marzyła o zagranicznych podróżach. Jej siostrzeniec był misjonarzem. Samolot wzbił się w górę i odleciał. W Margate szła zwykle daleko w morze - och, nie tak znowu daleko, żeby stracić brzeg z oczu, ale irytowały ją kobiety lękające się wody. Samolot zawrócił, schodził w dół. Serce podeszło jej pod gardło. Samolot

poderwał się znowu. Pani Dempster dałaby głowę, że chłopak, który tam siedzi, jest młody i przystojny. Samolot oddalał się coraz bardziej, leciał coraz szybciej, malał w oczach, leciał nad Greenwich najeżonym masztami, nad wysepką szarych kościołów (Sw. Paweł i tak dalej), aż wreszcie z obu stron Londynu ukazały się pola i ciemnobrązowe lasy, gdzie sprytne drozdy patrząc bystro, skacząc śmiało chwytają ślimaki i uderzają je o kamień - raz, dwa razy, trzy razy.

Samolot oddalał się, oddalał, aż w końcu był już tylko błyszczącym punkcikiem; był gorącym pragnieniem, koncentracją, symbolem (tak to odczuwał pan Bentley, który z zapalem przesuwał maszynę do strzyżenia po swym skrawku trawnika w Green-wich) duszy ludzkiej; symbolem woli człowieka, aby przy pomocy myśli wydostać się z ciała, wydostać się z domu... Einstein, filozofia, matematyka, teoria Mendla. Samolot mknął, był coraz dalej.

Na stopniach katedry Świętego Pawła stał nędznie ubrany mężczyzna o nijakim wyglądzie, ze skórzaną teczką w ręku, i wahał się, bo ileż ukojenia było wewnątrz, jak serdecznie to wnętrze zapraszało do wejścia, ile było grobów z powiewającymi u góry pękami chorągwi, pamiątką zwycięstw nie nad armiami, pomyślał mężczyzna, tylko nad tą przeklętą manią poszukiwania prawdy, która doprowadziła mnie do tego, że jestem teraz bez pracy. Co więcej, pomyślał, katedra ofiarowuje towarzystwo, zaprasza do udziału w stowarzyszeniu, do którego należą wielcy ludzie, za które oddali życie męczennicy. Czemu nie miałbym wejść, pomyślał, czemu nie miałbym położyć tej teczki wypchanej broszurami przed ołtarzem, przed krzyżem, symbolem czegoś, co wzniosło się ponad wszelkie poszukiwania prawdy, ponad dociekania, ponad byle jak składane słowa, i stało się samym duchem, stało się bezcielesne? Czemu nie miałbym wejść, pomyślał, a gdy tak stał niezdecydowany, samolot wypłynął na niebo ponad Lud-gate Circus.

Robił wrażenie dziwaczne; leciał cicho. Żaden dźwięk nie wybijał się ponad zwykły gwar uliczny. Zdawało się, że leci bez pilota, że kieruje się własną wolą.

Nagle zaczął zataczać kręgi i wzbijać się w górę, prosto w górę, jakby w ekstazie, jakby gnany czystą radością, mknął w górę wypuszczając z ogona biały dym, który skręcał się, układał w litery T i O, i F.

- Na co oni tak patrzą? - zwróciła się Klarysa Dalloway do pokojówki, która otworzyła jej drzwi.

W hallu było chłodno jak w krypcie grobowca. Pani Dalloway podniosła rękę do oczu i gdy Lucy zamykała drzwi, gdy zaszeleściły jej spódnice, wydało jej się, że jest zakonnica, która wróciwszy ze świata czuje znajomy dotyk otulających ją welonów, słyszy responsoria dawnych modlitw. Kucharka gwizdże w kuchni. Klekoce maszyna do pisania. To jest jej życie; pochyliła głowę nad stolikiem w hallu i czuła się pobłogosławiona, oczyszczona, i powiedziała sobie, biorąc do ręki blok telefoniczny, na którym było coś zapisane - że takie chwile są pąkami na drzewie życia; są kwiatami w ciemności, pomyślała (jak gdyby rozkwitła tylko przed jej oczyma jakaś śliczna róża). Nie wierzyła w Boga; ale tym bardziej, myślała podnosząc notatnik telefoniczny, trzeba spłacać ten dług w codziennym życiu - służbie, tak, nawet psom i kanarkom, a zwłaszcza Ryszardowi, który jest fundamentem tego wszystkiego: tych wesołych dźwięków, tego zielonego światła, nawet kucharki gwizdzącej w kuchni, bo pani Walker jest Irlandką i pogwizduje cały dzień... Trzeba spłacać dług z tego tajemnego depozytu cudownych chwil, pomyślała podnosząc notatnik telefoniczny; tymczasem stojąca obok Lucy usiłowała jej coś wytłumaczyć:

- Pan, proszę pani...

Klarysa przeczytała w notatniku: „Lady Bruton prosi o wiadomość, czy pan Dalloway będzie mógł przyjść do niej dzisiaj na lunch.”

- Pan, proszę pani, kazał mi powtórzyć, że nie będzie dzisiaj jadł lunchu w domu.

- Ach, tak! - powiedziała Klarysa i Lucy podzieliła z nią (jak sobie tego Klarysa życzyła) rozczarowanie, ale nie skurcz w sercu; poczuła łączącą je więź;

zrozumiała aluzję; pomyślała: jak też się ci bogaci kochają; ujrzała swoją własną samotną przyszłość w różowych barwach spokoju; i wziętą od pani Dalloway parasolkę trzymała jak święty oręż, który bogini odrzuca po zwycięskiej walce, a następnie zaniosła ją na stojak.

Nie lękaj się, powiedziała sobie Klarysa. „Już cię nie strwożą pożogi słońca.” Bo wstrząs, jakiego doznała na wiadomość, że lady Bruton zaprosiła samego Ryszarda na lunch, wprowadził w drżenie tę chwilę, w której tkwiła; podobnie jak wiosło przeciągane w wodzie wprowadza w drżenie roślinę na dnie rzeki. Tak Klarysa zadygotała; tak zadrżała.

Millicent Bruton, której lunche są podobno tak niezwykle zabawne, nie zaprosiła jej! Pospolita zazdrość nie odgrodzi jej od Ryszarda. Ale złąka się czegoś innego, złąka się czasu i czytała z twarzy lady Bruton, jakby to była tarcza zegara słonecznego wycięta w nieczułym kamieniu - czytała o zmierzającym się życiu; o tym, że co roku zmniejsza się jej zapas, że ta reszta, która jej jeszcze została, nie będzie się już wydłużać, rozciągać, nie będzie absorbować, jak w latach młodości, barw, soli, tonów istnienia; jak wtedy, gdy wchodząc do pokoju wypełniała go sobą, gdy zatrzymując się z wahaniem na sekundę w drzwiach salonu doznawała cudownego uczucia niepewności; niepewności może takiej, jaka zatrzymuje nurka, zanim skoczy do wody, podczas gdy morze ciemnieje i jaśnieje u jego stóp, a fale, zdawałoby się tak groźne, nie rozdzierają głębin, tylko marszczą łagodnie powierzchnię i obracają wodorosty z ukrytą w nich perłą.

Położyła notatnik telefoniczny na stoliku. Zaczęła wchodzić powoli na schody, z ręką opartą o poręcz, jak gdyby opuściła przed chwilą przyjęcie, na którym najpierw ten, potem inny przyjaciel zignorował jej spojrzenie, jej głos; jak gdyby zamknęła drzwi i wyszła, i stanęła - samotna postać na tle posępnej nocy lub raczej, dla ścisłości, na tle trzeźwego czerwcowego poranka; dla innych był to poranek promieniejący blaskiem różanych płatków - wiedziała, czuła to, gdy zatrzymawszy się na chwilę przy otwartym oknie na schodach,

przez które płynął do środka klekot okiennic, szczekanie psów, a także, pomyślała (poczuwszy się nagle stara, zwiędła, bez piersi), rozmach, rozpęd, kwitnienie tego dnia - tam na dworze, za oknem, poza nią, poza jej ciałem i mózgiem, które nagle odmówiły posłuszeństwa, ponieważ lady Bruton, której lunche są podobno tak niezwykle zabawne, nie zaprosiła jej do siebie.

Jak zakonnica udająca się do klauzury albo jak dziecko zwiedzające wieżę wstępowała na schody, zatrzymała się przy oknie, weszła do łazienki. Zielone linoleum i kran, z którego kapie. Wokół serca życia tworzy się pustka; pokój na poddaszu. Kobiety powinny zdejmować swe bogate stroje. W południe powinny zdejmować szaty. Wyjęła szpilkę i położyła żółty kapelusz ozdobiony piórami na łóżku. Prześcieradła były śnieżnobiałe, obciągały materac szeroką wstęgą, od brzegu do brzegu. Jej łóżko będzie coraz węższe. Świeczka wypaliła się już do połowy, bo Klarysa przeczytała ogromną część *Pamiętników* barona Marbota. Późno w nocy czytała o odwrocie spod Moskwy. Posiedzenia w Izbie Gmin tak się przeciągały, że gdy wstała po chorobie, Ryszard ją namówił (nie chciał jej przeszkadzać), aby spała sama. Klarysa naprawdę wolała czytać o odwrocie spod Moskwy. Ryszard o tym wiedział. Tak więc pokój był poddaszem, łóżko było wąskie, a gdy Klarysa leżała na nim czytając (bo sypiała źle), nie mogła uciec od dziewiczości, zachowanej mimo położu, otulającej ją jak całun. Choć była kiedyś taka śliczna, przychodziły jednak chwile - na przykład wtedy na rzece, w lasach Clieveden - kiedy przez tę oziębłość, tę wrodzoną dziewiczość Klarysa zrobiła mu zawód. A potem w Konstantynopolu i jeszcze dużo, dużo razy. Wiedziała, czego jej było brak. Miała pod dostatkiem urody, inteligencji. Było jej brak czegoś w środku, co promieniuje; czegoś ciepłego, co przebija przez zewnętrzną powłokę i rozprasza zimno panujące między mężczyzną i kobietą albo między kobietami. Bo to drugie mogła niejasno zrozumieć. Irytowało ją to, miała skrupuły (Bóg jeden wie, skąd się brały); a może podsunęła je, tak to przynajmniej odczuwała, natura, która jest niezmiennie mądra. Tak czy inaczej, nie mogła się czasem oprzeć czarowi kobiety, nie

dziewczyny, tylko kobiety, która jej się zwierzała (często to robiły) z jakiejś przygody, jakiegoś szaleństwa. I czy to ze współczucia, czy dlatego, że były piękne albo że ona była starsza, czy może z jakiejś zewnętrznej przyczyny - jak smuga zapachu czy dźwięk skrzypiec w sąsiedztwie, tak wielka jest moc dźwięków w pewnych okolicznościach - odczuwała wtedy to, co odczuwają mężczyźni. Tylko przez mgnienie oka; ale to wystarczało. Było to nagłym objawieniem, było jak rumieniec, który staramy się opanować, a potem, gdy oblewa nam twarz, poddajemy mu się, uciekamy na najdalsze krańce i tam drżymy wiedząc, że świat zbliża się do nas nabrzmiały zdumiewającym znaczeniem, nabrzmiały zachwyceniem, które rozdziera jego cienką skorupę i bucha, wylewa niezwykły balsam na rany i pęknięcia. Wtedy, w takich chwilach, widziała błysk światła; zapalkę płonąca w krokusie, ukryte znaczenie niemal jasno wyłożone. Potem to, co było bliskie, oddalało się; to, co było dojmujące, łagodniało. Było już po wszystkim, chwila mijała. Z takimi przeżyciami kontrastowało (miała na myśli kobiety) to łóżko i baron Marbot, i świeczka wypalona do połowy. Kiedy Klarysa leżała nie śpiąc, deski w podłodze trzeszczały, oświetlony dom pogrążał się nagle w ciemności, a gdy uniosła trochę głowę, słyszała, jak Ryszard zatrząskuje ostrożnie zamek, przemyka się na górę w skarpetkach, a potem bardzo często upuszcza na ziemię kamionkę z gorącą wodą i klnie! Jakże się wtedy śmiała!

Ale ta sprawa miłości (pomyślała zdejmując płaszcz), to, że mogła się zakochać w kobiecie. Na przykład w Sally Seton; jej stosunki z Sally Seton w dawnych czasach. Czy mimo wszystko nie należy tego nazwać miłością?

Siedziała na podłodze - takie było jej pierwsze wspomnienie o Sally - siedziała na podłodze objawszy kolana rękami i paliła papierosa. Gdzie to mogło być? U Manningów? U Kinloch-Jonesów? Na jakimś przyjęciu (nie mogła sobie przypomnieć gdzie), bo pamięta dokładnie, że spytała swojego partnera: - A to kto? - Powiedział jej, wytłumaczył, że rodzice Sally źle żyją ze sobą (jak ją to

zgorszyło - to, że czyiś rodzice nie żyją w zgodzie!). Ale do końca wieczora nie mogła oderwać oczu od Sally. Był to ten rodzaj piękności, który ją najbardziej zachwycił: ciemne włosy, ogromne oczy i ta szczególna cecha, której sama nie posiadała, więc jej zazdrościła - swobodna niedbałość, jak gdyby Sally mogła w każdej chwili zrobić wszystko, na co jej przyjdzie ochota, powiedzieć wszystko; cechę tę spotyka się częściej u cudzoziemek niż Angielek. Sally często mówiła, że ma w żyłach francuską krew, bo jeden z jej przodków służył na dworze Marii Antoniny, potem mu ucięto głowę, został po nim pierścień z rubinem. Chyba tego samego lata przyjechała do Bourton, nie zapowiedziana zjawiała się któregoś wieczoru po obiedzie, bez pensa w kieszeni, i strasznie zdenerwowała biedną ciotkę Helenę, która nigdy jej tego nie wybaczyła. Było to po jakiejś strasznej awanturze w domu. Dosłownie nie miała pensa w kieszeni, kiedy tak niespodziewanie zjawiała się u nich, zastawiła broszkę, bo nie miała na bilet. Uciekła z domu w wybuchu wściekłości. Przegadały wtedy całą noc. To dzięki Sally Klarysa zrozumiała, jak bezpieczne, jak chronione jest życie w Bourton. Klarysa nie wiedziała nic o sprawach płci, o problemach społecznych. Widziała kiedyś jakiegoś starca, który upadł na polu i skonał, widywała krowy tuż po ociełeniu się. Ale ciotka Helena nie uznawała żadnych w ogóle dyskusji i gdy Klarysa dostała od Sally książkę Williama Morrisa, musiała ją owinąć w papier do pakowania. No i siedziały w jej sypialni na najwyższym piętrze domu i rozmawiały godzinami, mówiły o życiu, o tym, jak zreformują świat. Postanowiły założyć organizację, której celem miało być zniesienie własności prywatnej, i napisały nawet w tej sprawie list, ale go nie wysłały. Idee pochodziły naturalnie od Sally, ale niebawem Klarysa wpadła w nie mniejsze podniecenie. Czytywała Platona w łóżku przed śniadaniem, czytała Morrisa, długie godziny spędzała nad Shel-leyem.

Autorytet Sally, jej talent, siła jej osobowości były naprawdę niezwykle. Na przykład sposób, w jaki układała kwiaty. W Bourton dekorowano stół sztywnymi bukietami w małych wazonach. Sally poszła do ogrodu, narwała róż,

dalii - mnóstwo rozmaitych kwiatów, których nikt nigdy nie łączył w jednym bukietcie - poucinała im główki i poukładała na wodzie w płaskich wazach. Efekt był zdumiewający, kiedy o zachodzie słońca wchodziło się do jadalni. Naturalnie ciotka Helena uważała, że takie traktowanie kwiatów jest okrucieństwem. Kiedy indziej Sally zapomniała gąbki i wybiegła naga na korytarz. Stara pokojówka, Ellen Atkins, mruczała gniewnie: - A jak by ją zobaczył któryś z panów? - Była nieporządna, tak mówił ojciec.

Tak, czystość, nieskazitelność jej uczucia do Sally była naprawdę zdumiewająca. Nie było to uczucie, jakim kobieta darzy mężczyznę. Było najzupełniej bezinteresowne, a poza tym charakteryzowało je coś, co mogło istnieć jedynie między kobietami, które niedawno dorosły. Z jej strony było opiekuńcze. Wyrastało z poczucia solidarności, z lęku przed czymś nieuchronnym, co je rozdzieli (o małżeństwie mówiły zawsze jak o katastrofie); stąd ta rycerskość, ta opiekuńczość, o tyle silniej rozwinięta u niej niż u Sally. Bo Sally była w tamtych czasach nieobliczalna; robiła mnóstwo idiotyzmów z czystej brawury; jeździła na rowerze po balustradzie tarasu; paliła cygara. Zachowywała się głupio, naprawdę głupio. Ale jej urok był tak nieodparty, przynajmniej dla Klarysy, że pamięta, jak stała w swojej sypialni na najwyższym piętrze domu, z konewką gorącej wody w ręce, i mówiła głośno: - Ona jest pod tym dachem... ona jest pod tym dachem!

Nie. Te słowa nic teraz dla niej nie znaczą. Nie potrafi przywołać choćby echa dawnych uczuć.

Ale pamięta, jak, zlodowaciała z podniecenia, w stanie bliskim ekstazy, czesała się przed lustrem j (gdy wyjęła teraz szpilki, położyła je na toalecie i zaczęła poprawiać włosy, wróciła jej częśćka tych dawnych wzruszeń), podczas gdy wrony szybowały w górę i w dół, w górę i w dół, w różowym świetle wieczoru; pamięta, jak się ubrała, jak zeszła na dół i idąc przez hali myślała, że *„Gdyby trzeba było umrzeć natychmiast, skonanie w tej chwili błogo-*

slawieństwem by mi się wydało."¹² Tak to odczuwała... uczucie Otella, równie silne - tego była pewna -jak to, które Otello przeżywał na scenie... a wszystko dlatego, że ubrana w białą suknię szła do jadalni, gdzie miała zobaczyć Sally Seton!

Sally była ubrana w suknię z różowego tiulu; czy na pewno? W każdym razie zdawała się promieniować jakimś światłem, jaśnieć - jak ptak albo jak balonik, który skądś przyfrunął i przez chwilę tkwi nieruchomo, zaczepiony o cierń głogu. Ale kiedy się kocha (a czymże to było jeśli nie miłością?), nie tak nie dziwi jak obojętność ludzi. Po obiedzie ciotka Helena po prostu wstała i wyszła; ojciec czytał gazetę. Mógł być jeszcze Piotr Walsh i stara panna Cummings; na pewno był Józef Breitkopf, bo biedny staruszek przyjeżdżał co roku w lecie, siedział tygodniami i udawał, że uczy ją niemieckiego, ale w rzeczywistości grał na fortepianie i śpiewał pieśni Brahmsa, chociaż nie miał głosu.

Wszystko to było tylko tłem dla Sally. Stała obok kominka i mówiła tym swoim pięknym głosem (każde jej słowo brzmiało jak pieszczota), rozmawiała z ojcem, który trochę wbrew woli zaczął ulegać jej czarowi (ale nigdy nie zapomniał, że pożyczoną Sally książkę znalazł na tarasie w strugach deszczu). Nagle Sally powiedziała:

- To zbrodnia siedzieć w pokoju - i wszyscy wyszli, i przechadzali się po tarasie. Piotr Walsh i Józef Breitkopf prowadzili dalej rozmowę o Wagnerze. Klarysa i Sally zostały trochę w tyle za nimi- I wtedy, gdy przechodziły obok kamiennej urny z kwiatami, Klarysa przeżyła najpiękniejszą chwilę swojego życia. Sally zatrzymała się, zerwała kwiat, pocałowała ją w usta. Świat mógł się zapaść, tamci przestali istnieć, została tylko ona z Sally. I było tak, jak gdyby otrzymała mocno zapakowany prezent i jak gdyby ktoś jej powiedział, że ma ten prezent zachować, ale niech go nie ogląda - brylant, coś nieskończenie cennego, mocno zapakowane, co ona rozwinęła chodząc (tam i z powrotem, tam i z

2 Szekspir, *Otello*, akt II, 1. Przekład Józefa Paszkowskiego.

powrotem po tarasie), bo inaczej spaliliby ją to promieniowanie, to objawienie, ta religijna ekstaza! Nagle Piotr Walsh i Józef Breitkopf zatrzymali się przed nimi.

- Zapatrzona w gwiazdy? - spytał Piotr.

Zdawało jej się, że wpadła twarzą na granitową ścianę w ciemności! Co za wstrząs. Straszne!

Nie szło o nią. Ona odczuwała tylko jedno: że Sally stała się krzywdą, że ją źle potraktowano. Odgadywała jego wrogość, jego zazdrość, jego pragnienie wdarcia się w ich przyjaźń. Wszystko to ujrzała tak, jak się widzi krajobraz w świetle błyskawicy, ale Sally (jakże ją wtedy podziwiała!) nie dała się pokonać. Wybuchnęła śmiechem. Poprosiła, żeby stary Józef Breitkopf powiedział jej nazwy gwiazd, co zrobił chętnie i z powagą. Klarysa stała obok, słuchała. Słyszała nazwy gwiazd.

To straszne, straszne, wołała w duchu, jak gdyby wiedziała od dawna, że coś przeszkodzi, coś zniszczy tę jej chwilę szczęścia. Jak dużo jednak zawdzięczała Piotrowi Walshowi. Ile razy o nim myśli, przypominają jej się, nie wiadomo dlaczego, ich kłótnie - może dlatego, że tak jej bardzo zależało na jego opinii. Jemu zawdzięczała słowa: „sentymalny”, „cywilizowany”; wciąż ożywały, każdego dnia w jej życiu, jak gdyby Piotr jej strzegł. Ta czy inna książka była sentymalna, taki czy inny stosunek do życia był sentymalny. Może ona sama jest teraz sentymalna, kiedy wspomina przeszłość. A co on pomyśli, jak wróci?

Że się zestarzała? Czy powie to, czy też ona wyczyta z jego twarzy, kiedy wróci, że się zestarzała? To prawda. Od choroby jest prawie siwa.

Gdy kładła broszkę na stole, chwycił ją nagle skurcz bólu, jak gdyby lodowate szpony skorzystały z jej zadumy i wpiły się w nią niespodzianie. Nie jest jeszcze stara. Dopiero niedawno rozpoczęła pięćdziesiąty drugi rok. Ma jeszcze przed sobą tyle miesięcy do końca tego roku. Czerwiec, j lipiec, sierpień. Pozostały prawie nietknięte. Podeszła do toaletki. I jak gdyby usiłując

pochwycić spadającą kroplę, przedarła się do samego jądra tej chwili, zatrzymała ją - tę chwilę czerwcowego poranka przygniecionego ciężarem tamtych wszystkich poranków; spojrzała na lustro, na flakony, jak gdyby widziała je po raz pierwszy w życiu, zebrała całą siebie w jednym punkcie (patrzac w lustro) i zobaczyła delikatną, różową twarz kobiety, która tego wieczoru wydawała przyjęcie, zobaczyła Klarysę Dalloway, siebie.

Ile milionów razy spoglądała na swoją twarz, zawsze z tym samym niedostrzegalnym skurczem! Patrząc w lustro zawsze ściągała usta. To po to, żeby dodać rysom wyrazistości. Bo ona jest właśnie taka - wyrazista, ostra jak strzała, jasno określona. Bo ona jest właśnie taka, kiedy zdobywa się na jakiś wysiłek, kiedy posłuszna żądaniu, żeby być sobą, skupia rozproszone cząstki (ona jedna wie, jak bardzo różne, pozornie nie dające się pogodzić, przeznaczone tylko dla świata) w jednym punkcie, w jednym brylancie, w jednej kobiecie, która siedzi w jej salonie i jest ośrodkiem, jest światłem rozświetlającym nudę kilku egzystencji, jest może ucieczką dla samotnych. Pomaga młodym, którzy są jej za to wdzięczni; stara się być zawsze taka sama, nie pokazywać gorszej strony swojej natury - wad, zazdrości, próżności, podejrzliwości, tego wszystkiego, co odczuwała, kiedy lady Bruton nie zaprosiła jej na lunch. Swoją drogą to jest, pomyślała (upinając włosy) naprawdę podłość! Ale gdzie ta suknia?

Suknie wieczorowe wisiały w szafie. Zanurzwszy rękę w jedwabistej miękkości, Klarysa ostrożnie zdjęła suknię z wieszaka i zaniósła ją do okna. Tak, jest podarta. Ktoś nastąpił jej na obrąb. Poczwała, wtedy na raucie w ambasadzie, że materiał ustępuje, gdzieś u góry między fałdami. Przy świetle elektrycznym zieleń lśniła, w słońcu traciła jednak barwę. Klarysa zaceruje sama. Służące i bez tego mają za dużo roboty. Włoży ją dzisiaj wieczorem. Weźmie jedwab, nożyczki i... i co? Ach, naturalnie, napastrzek... i zejdzie do salonu, bo ma jeszcze coś do napisania, i musi przypilnować, żeby wszystko było w jakim takim porządku.

To zdumiewające, pomyślała przystając na podeście schodów i skupiając poszczególne cząstki w ów diament, ową jednolitą osobę, to zdumiewające, jak dobrze się zna każdą chwilę, wszystkie nastroje swojego domu. Spirale cichych dźwięków szły schodami w górę; klapnięcie ścierką, odgłos siekania, stukania, fala hałasu, gdy otworzyły się drzwi frontowe, głos w suterenie powtarzający jakieś słowa, brzęk srebra na tacy, srebra wyczyszczonego na przyjęcie. Wszystko dzisiaj było robione z myślą o przyjęciu.

Lucy weszła do salonu niosąc tacę, postawiła ogromne świeczniki na półce nad kominkiem, na środku srebrną puszkę, przesunęła kryształowego delfina bliżej zegara. Przyjdą, będą stali; będą rozmawiali tym swoim przesadnym tonem, który Lucy umie doskonale naśladować, panowie i panie. Z nich wszystkich jej pani jest najładniejsza - pani sreber, bielizny, porcelany, bo słońce, bo srebro, bo drzwi zdjęte z zawiasów i ludzie od Rumplemayera, bo wszystko to razem wzięte sprawiło, że gdy Lucy kładła nóż do przecinania papieru na inkrustowanym stoliku, miała świadomość spełnionego czynu. - Spójrzcie, spójrzcie - powiedziała, zwracając się do swoich starych przyjaciół w piekarni Caterhama, miejscu pierwszej służby, rzucając ukradkowe spojrzenie w lustro. Była właśnie lady Angelą towarzyszącą księżniczce Mary, gdy do salonu weszła pani Dalloway.

- Och, Lucy - powiedziała - pięknie wyczyściłaś srebro! A jak - spytała przesuwając kryształowego delfina na właściwe miejsce - jak bawiliście się wczoraj w teatrze?

- Och - odparła Lucy - musieliśmy wyjść wcześniej, żeby zdążyć na dziesiątą!

- Więc nie wiecie, jak się sztuka skończyła? Szkoda! - dodała, bo jeśli służące ją o to prosiły, pozwalała im wracać później. - Naprawdę szkoda - powiedziała i wzięwszy leżącą na środku kanapy starą i zniszczoną poduszkę, wepchnęła ją Lucy w ramiona wołając: - Zabierz to! Daj pani Walker w prezencie! Zabierz to!

A Lucy, z poduszką w ramionach, przystanąła na progu i zarumieniwszy się, spytała nieśmiało, czy nie mogłaby zacerować tej sukni.

Pani Dalloway odparła jednak, że Lucy ma za dużo roboty, że i tak ma za dużo roboty.

- Ale dziękuję ci, Lucy, dziękuję - powiedziała pani Dalloway i powtarzała: dziękuję. Dziękuję, mówiła (kładąc na kolana suknię, jedwab do szycia i nożyczki), dziękuję, dziękuję, mówiła myśląc o całej służbie, wdzięczna za to, że za ich przyczyną jest taka, jaka jest, jaka chce być - łagodna, dobrotliwa. Służba naprawdę ją lubiła. A teraz suknia... gdzie jest to rozdarcie? Nawlecze nitkę. To jej ulubiona suknia, model Sally Parker, jeden z ostatnich, niestety! Bo stara Sally wycofała się już z czynnego życia i mieszka gdzieś w Ealing, a jak znajdzie wolną chwilę, pomyślała Klarysa (ale nigdy już nie znajdzie wolnej chwili), pojedzie i odwiedzi ją w Ealing. Bo Sally jest indywidualnością, pomyślała Klarysa, prawdziwą artystką. Kładła duży nacisk na oryginalność szczegółów, ale mimo to jej suknie nie były ekscentryczne. Można je było nosić w Hatfield i w Buckingham Pałace. Klarysa nosiła je w Hatfield i w Buckingham Pałace.

Zstąpił na nią spokój i zadowolenie, gdy jej igła, ściągająca delikatnie jedwab i zatrzymująca go w łagodnym bezruchu, zebrała zielone fałdy i przy-mocowała, bardzo lekko, do paska. Tak w dzień letni zbierają się fale, zbierają się, wydymają i łamią, zbierają się i łamią, a cały świat zdaje się mówić: to wszystko - zdaje się mówić z coraz większą mocą; i w końcu nawet serce w ciele, które leży na słonecznej plaży, mówi: to wszystko. Nie lękaj się już, mówi serce. Nie lękaj się już, mówi serce, oddając swoje jarzmo morzu, które wzdycha litośnie nad wszystkimi smutkami i od nowa zbiera fale, wydyma je, łamie. I tylko ciało słyszy bzyk przelatującej pszczoły, grzmot fal i szczekanie psa, dalekie, dalekie szczekanie psa.

- Mój Boże! Ktoś dzwoni do drzwi! - wykrzyknęła Klarysa zatrzymując igłę. Zaniepokojona nasłuchiwała.

- Pani Dalloway na pewno mnie przyjmie - powiedział w hallu niemłody już mężczyzna. - O, tak, na pewno mnie przyjmie - powtórzył; bardzo łagodnie odsunął Lucy i wbiegł na schody. - Tak, tak, tak - mrucał do siebie przeskakując stopnie. - Przyjmie mnie. Wracam z Indii po pięciu latach i Klarysa na pewno mnie przyjmie.

- Kto to może... co to może... - zaczęła pani Dalloway (oburzona, że ktoś ośmiela się jej przeszkadzać o godzinie jedenastej rano w dniu, w którym wydaje przyjęcie), słysząc kroki na schodach. Ktoś położył rękę na klamce. Chciała ukryć suknię, jak dziewczica broniąca czystości... Teraz mosiężna klamka poruszyła się. Teraz drzwi otworzyły się i wszedł... przez sekundę Klarysa nie mogła sobie przypomnieć, jak on się nazywa! Tak była zdumiona, tak uradowana, tak onieśmielona - tak bezgranicznie zdumiona, że Piotr Walsh niespodziewanie przyszedł do niej rano. (Nie przeczytała jego listu.)

- Jakże się miewasz? - spytał Piotr Walsh drżąc, naprawdę drżąc. Wziął obie jej dłonie w swoje, pocałował obie jej dłonie. Zestarzała się, pomyślał siadając. Nie powiem jej o tym, pomyślał, bo się zestarzała. Przygląda mi się, pomyślał, nagle zmieszany, chociaż pocałował obie jej dłonie. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął duży scyzoryk i otworzył do połowy ostrze.

Nic się nie zmienił, pomyślała Klarysa. Ma to samo niezwykle spojrzenie, to samo ubranie w kratkę; twarz może trochę inna, odrobinę chudsza, suchsza, ale wygląda doskonale i jest taki, jak był.

- Co za radość znowu cię zobaczyć! - zawołała Klarysa. Wyjął scyzoryk. Cały Piotr jest w tym geście.

Przyjechał do Londynu dopiero wczoraj wieczorem; właściwie powinien był pojechać prosto na wieś- Co słychać? Jak się miewają wszyscy - Ryszard, Elżbieta?

- A to co znaczy? - spytał wskazując scyzorykiem na zieloną suknię.

Jest doskonale ubrany, pomyślała Klarysa; ale mnie krytykuje, jak zawsze.

Oto ona, pomyślał Piotr Walsh; siedzi tu i ceruje suknię, jak zawsze ceruje

suknię; siedziała tu cały czas, kiedy ja byłem w Indiach. Cerowała suknię, krzątała się, chodziła na przyjęcia, biegła na posiedzenia do Izby Gmin, wracała do domu, myślał z coraz większą irytacją, ze wzrastającym podnieceniem, bo dla niektórych kobiet nie ma rzeczy gorszej niż małżeństwo, niż polityka, niż mąż konserwatysta w rodzaju Ryszarda. Tak to jest, tak to jest, myślał zamykając z trzaskiem scyzoryk.

- Ryszard ma się doskonale. Jest na posiedzeniu komisji - powiedziała Klarysa.

I otwierając nożyczki spytała, czy nie będzie jej miał za złe, że skończy cerowanie tej sukni, bo mają dzisiaj wieczorem przyjęcie.

- Na które cię nie zaproszę - powiedziała. - Kochany Piotr - powiedziała.

Cudownie było usłyszeć te jej słowa. Kochany Piotr! Właściwie wszystko tu było cudowne - srebro, krzesła. Wszystko było cudowne.

Spytał, dlaczego nie chce go zaprosić na przyjęcie.

Teraz, pomyślała Klarysa, jest zachwycający. Naprawdę zachwycający! Teraz sobie przypominam, jak trudno było mi podjąć tę decyzję (dlaczego ją podjęłam?), że nie wyjdę za niego za mąż... wtedy, tamtego straszego lata.

- Ale to niezwykle, że przyszedłeś właśnie dzisiaj! - zawołała kładąc dłonie, jedną na drugiej, na zielonej sukni. - Czy pamiętasz - spytała - jak w Bourton skrzypiały okiennice?

- Pamiętam - powiedział. I przypomniał sobie, jak niegdyś, bardzo zmieszany, jadł śniadanie sam na sam z jej ojcem. Kiedy ten umarł, on nawet do Klarysy nie napisał. Ale jakoś nigdy nie był w dobrych stosunkach z tym starym, słabym człowiekiem, Justynem Parry, ojcem Klarysy.

- Często żałuję, że nie byłem w lepszych stosunkach z twoim ojcem - powiedział.

- Bo widzisz, on nie lubił mężczyzn, którzy... nie lubił naszych przyjaciół - odparła Klarysa; i miała ochotę odgryźć sobie język, bo w ten sposób przypomniała Piotrowi, że chciał się z nią ożenić.

Ależ tak, chciałem, pomyślał Piotr; to prawie złamało mi życie, pomyślał. I chwycił go żal nad samym sobą, żal, który wzniósł się jak księżyc oglądany z tarasu, upiornie piękny w blasku dogasającego dnia. Potem już nigdy nie byłem tak nieszczęśliwy, pomyślał. I przysunął się trochę do Klarysy, jak gdyby naprawdę siedzieli na tarasie; wyciągnął rękę, podniósł ją, ręka mu opadła. A wysoko nad nimi wisiał księżyc. Klarysa też zdawała się siedzieć z nim na tarasie, w blasku księżycyca.

- Bourton należy teraz do Herberta - powiedziała. - Nigdy tam nie jeżdżę.

A potem zdarzyło się to, co zdarza się na tarasie w księżycowy wieczór, kiedy jedna z dwojga osób zaczyna odczuwać zawstydzenie, bo ma już tego dosyć, a druga siedzi w milczeniu, bardzo spokojnie, spoglądając smętnie na księżyc, nie chce przerywać ciszy, przesuwając nogę, chrząka, spostrzega żelazną gałkę na nodze stolika, ale nic nie mówi - tak czuł się teraz Piotr Walsh. Bo jaki sens ma wracanie do przeszłości? Dlaczego miałby znowu o niej myśleć? Dlaczego miałby znowu cierpieć, czy ona nie dość go już torturowała? Dlaczego?

- Czy pamiętasz jezioro? - spytała głosem ostrym, pod naporem wzruszenia, które przeszło bólem jej serce, sparaliżowało mięśnie gardła i wykrzywiło skurczem jej wargi, gdy wypowiedziała słowo „jezioro”. Bo była znów dzieckiem rzucającym chleb kaczkom, dzieckiem stojącym obok rodziców i jednocześnie była dorosłą kobietą, która szła do swoich rodziców stojących nad jeziorem i niosła w ramionach swoje życie, a w miarę jak się do nich zbliżała, życie rosło w jej ramionach i w końcu stało się całym życiem, pełnym życiem. Postawiła je u ich stóp i powiedziała: patrzcie, co z niego zrobiłam! Patrzcie! Właściwie co z niego zrobiła? Naprawdę - co? To, że siedzi tego ranka obok Piotra i szyje?

Spojrzała na Piotra Walsha; jej spojrzenie, przebiegłszy wszystkie tamte lata i całe to wzruszenie, spoczęło na nim niepewne, żalodne; poderwało się i odfrunęło jak ptak, który przysiada na gałązce, aby zaraz odlecieć. Całkiem po

prostu otarła oczy.

- Tak - powiedział Piotr. - Tak, tak, tak - jak gdyby Klarysa wydobyła w nim na powierzchnię coś, co wznosząc się zadawało mu fizyczny ból. Przestań, przestań, chciał zawołać. Bo on nie jest stary; jego życie nie skończyło się jeszcze, o, nie! Ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Czy powinienem jej powiedzieć? zastanawiał się w duchu. Wolałby zwierzyć się Klarysie ze wszystkiego. Tylko że ona jest taka zimna, pomyślał; szyje, trzyma w ręku nożyczki. Daisy wyglądałaby przy niej pospolicie. I Klarysa uważałaby, że jestem wykolejeńcem, którym jestem w ich rozumieniu, w rozumieniu Dallowayów. O, tak, nie miał co do tego żadnych wątpliwości; był wykolejeńcem, bankrutem - w porównaniu z tym wszystkim, w porównaniu z inkrustowanymi stolikami, oprawnym w srebro nożem do przecinania papieru, kryształowym delfinem i świecznikami, obiciem krzesel, cennymi angielskimi kolorowymi sztychami - w porównaniu z tym wszystkim jest wykolejeńcem, bankrutem! Wszystko tu mówi o poczuciu własnej wyższości, zadowoleniu, zadowoleniu z siebie, a ja tego nienawidzę, pomyślał; to wina Ryszarda, nie Klarysy; jej o tyle, że za niego wyszła. (Tu Lucy wniosła do pokoju srebro, więcej srebra; ale jak jest czarująca, smukła, pełna wdzięku, kiedy się tak nachyla, pomyślał Piotr.) I tak to wyglądało cały czas, tydzień po tygodniu. Życie Klarysy. A tymczasem ja, pomyślał... I natychmiast tamto wszystko zaczęło z niego promieniować: podróże, jazda konno, kłótnie, awantury, noce spędzane przy brydżu, przygody miłosne, praca, praca, praca! Zupełnie otwarcie wyjął scyzoryk - swój stary scyzoryk w kościanej oprawie, który miał od lat trzydziestu, Klarysa gotowa byłaby na to przysiąc - i zacisnął na nim dłoń.

Jakie to dziwaczne przyzwyczajenie, pomyślała Klarysa; zawsze bawi się scyzorykiem. I zawsze tak na mnie działa, że czuję się przy nim płocha, bezmyślna, trzpiotowata. Ale teraz kolej na mnie, powiedziała sobie, i wzięwszy do ręki igłę wezwała - jak królowa, którą uśpione strażę pozostawiły bez opieki (wizyta Piotra zaskoczyła Klarysę i wytrąciła ją z równowagi), tak że każdy

może wejść 1 spojrzeć na nią leżącą pod baldachimem - wezwała na pomoc rzeczy, które robiła, rzeczy, które lubiła, wezwała swojego męża, Elżbietę, słowem, wszystko, co było nią samą, a czego Piotr prawie nie znał. Otoczyła się tymi siłami, aby odparły atak wroga.

- Powiedz, co się z tobą działo - poprosiła. Tak przed bitwą konie biją kopytami o ziemię, potrząsają łbami, światło lśni na ich bokach, prężą się karki. Tak Piotr Walsh i Klarysa Dalloway, którzy siedzieli obok siebie na niebieskiej kanapie, wyzywali się do boju. Piotr czuł, jak jątrzą się w nim, jak narastają jego siły. Przywołał z rozmaitych stron rozmaite posiłki: swoje sukcesy, karierę w Oksfordzie, swoje małżeństwo o którym ona nie wiedziała nic, absolutnie nic; jak kochał, jak doskonale wywiązywał się z pracy.

- Tysiące rzeczy! - wykrzyknął i pod naciskiem nagromadzonych sił, które przypuszczały szturm raz w tym, raz w tamtym kierunku, które napełniały go uczuciem jednocześnie przerażającym i zachwycającym, że płynie niesiony na ramionach ludzi, których już nawet nie widział, podniósł rękę do czoła.

Klarysa siedziała wyprostowana; wstrzymała oddech.

- Zakochałem się - powiedział, ale nie do niej, tylko do kogoś, kto był wysoko w ciemności, poza zasięgiem ręki, tak że trzeba było położyć swój wieniec w ciemności na trawie. - Zakochałem się - powtórzył, mówiąc teraz tonem suchym, do Klarysy Dalloway - w młodej dziewczynie, tam w Indiach. - Złożył swój wieniec na trawie. Klarysa zrobi z nim, co zechce.

- Zakochałeś się! - powiedziała. Że też on, w tej swojej małej muszce, człowiek w jego wieku, dostał się w szpony tego potwora! A skóra na szyi mu wisi, ręce ma czerwone i jest starszy ode mnie o pół roku! W jej oczach pojawił się znów blask; mimo to w głębi serca czuła: jest zakochany. Spotkało go to; jest zakochany.

Ale nieposkromiony egoizm, który traktuje wszystkich, co mu się przeciwstawiają, rzeka, która mówi: naprzód, naprzód, naprzód - i choć przyznaje, że może nie ma przed nią żadnego celu, wciąż mówi: naprzód, naprzód -

ten nieposkromiony egoizm zabarwił jej policzki rumieńcem, odmłodził twarz, przydał blasku oczom, gdy tak siedziała z suknią na kolanach, przytknąwszy drżącą trochę igłę do brzegu zielonego jedwabiu.

Jest zakochany! Nie w niej. W jakiejś młodszej kobiecie. Naturalnie.

- A kto ona jest? - spytała.

Trzeba zrzucić bóstwo z piedestału i umieścić je między nimi.

- Niestety mężatka - powiedział. - Żona majora z Indii.

I prezentując ją Klarysie w ten ośmieszający sposób, uśmiechnął się do niej z jakąś osobliwą, ironiczną słodyczą.

(Ale jest zakochany, pomyślała Klarysa.)

- Ma dwoje dzieci - dodał bardzo rzeczowo. - Chłopca i dziewczynkę. Przyjechałem, żeby porozmawiać z adwokatem w sprawie rozwodu.

Oto oni, pomyślał. Zrób z nimi, co chcesz, Klary-so! Oto oni! I zdawało mu się, że odkąd Klarysa na nią patrzy, żona majora w indyjskiej armii (jego Daisy) i jej dwoje dzieci stają się z każdą sekundą bardziej zachwycający; jak gdyby zapalił kulkę szarego papieru na talerzu, jak gdyby wyrosło piękne drzewo w ostrej, przepojonej zapachem morza atmosferze ich bliskości (bo w pewnym sensie nikt go tak nie rozumiał jak Klarysa), ich cudownej bliskości.

Pochlebiała mu, opętała go, pomyślała Klarysa, ciosając trzema cięciami noża portret kobiety, żony majora w indyjskiej armii. Co za marnotrawstwo! Co za szaleństwo! Całe życie go w ten sposób nabierano; najpierw dał się wyrzucić z Oksfordu, potem ożenił się z tą dziewczyną na statku płynącym do Indii, teraz ta żona majora - Bogu dzięki, że ona sama nie wyszła za niego za mąż! Ale mimo wszystko - jest zakochany; jej stary przyjaciel, jej drogi Piotr jest zakochany.

- Co masz zamiar zrobić? - spytała go.

- Och, adwokaci, panowie Hooper i Grateley, załatwią wszystko - powiedział Piotr. I zaczął obcinać sobie scyzorykiem paznokcie.

Na miłość boską, zostaw ten scyzoryk! pomyślała nie mogąc opanować

rozdrażnienia. Właśnie to głupie nieposzanowanie konwenansów, ta jego słabość, to zupełne nieliczenie się z uczuciami drugih najbardziej ją złości, zawsze ją złościło; zwłaszcza teraz, w jego wieku, jakie to idiotyczne!

Wiem, wszystko wiem, myślał Piotr; wiem, na co się ważę, myślał przesuwając palec wzdłuż ostrza scyzoryka. Klarysa, Dalloway i oni wszyscy. Ale pokażę Klarysie... I nagle zwyciężyły go te niepokonane siły miotające się w powietrzu i ku swemu najwyższemu zdumieniu wybuchnął płaczem. Płakał; płakał bezwstydnie, siedział na kanapie i łzy płynęły mu po policzkach.

A Klarysa pochyliła się do przodu, wzięła go za rękę, przyciągnęła do siebie, pocałowała; i naprawdę poczuła jego twarz przy swojej, zanim zdołała uspokoić rozkołysane w piersi srebrzyste pióropusze, falujące jak trawa pampasów w podmuchach tropikalnej wichury; wichura umilkła, a ona dalej trzymała go za rękę, klepała po kolanie i było jej z nim dobrze i swobodnie, czuła ukontentowanie w sercu. Nagle przyszła myśl: gdybym za niego wyszła, odczuwałabym tę radość zawsze, co dzień.

Dla niej już się to skończyło. Prześcieradła ciasno opinały materac, łóżko było wąskie. Wspięła się na wieżę sama i zostawiła ich przy zbieraniu jagód, w słońcu. Drzwi zatrzęsły się i gdy tak stała pośród obsypującego się tynku, pośród śmietniska ptasich gniazd, jakże odległy wydawał się widok, jak słabe i bezbarwne docierały dźwięki (pamięta, było tak kiedyś na Leith Hill). Zawołała: Ryszardzie, Ryszardzie, jak czasem śpiący woła przez sen i wyciąga rękę błagając o ratunek. Będzie na lunchu u lady Bruton, przypomniała sobie. Odszedł ode mnie, już zawsze będę sama, pomyślała, splatając dłonie i kładąc je na kolanach.

Piotr Walsh podniósł się, podszedł do okna i stał obrócony do niej plecami, przesuwając chustkę z lewej strony na prawą. Wydawał się władczy, oschły, bardzo nieszczęśliwy, pod marynarką rysowały się wyraźnie jego cienkie łopatki; wytarł głośno nos. Zabierz mnie ze sobą, pomyślała Klarysa, jak gdyby Piotr wyruszał właśnie w jakąś wielką podróż; a potem, w następnej sekundzie

było tak, jak gdyby skończył się właśnie piąty akt bardzo interesującej i bardzo wzruszającej sztuki, jak gdyby Klarysa słuchając jej przeżyła całe swoje życie, uciekła, żyła z Piotrem - a teraz wszystko się skończyło.

Teraz trzeba było wyjść; i tak jak kobieta zbiera < swoje drobiazgi - płaszcz, rękawiczki, lornetkę - i wstaje, żeby wyjść z teatru na ulicę, tak teraz | Klarysa podniosła się z kanapy i podeszła do Piotra.

To zdumiewające, pomyślał Piotr, że ona wciąż ma dar, kiedy się tak zbliża z szelestem, wciąż ma dar, kiedy tak idzie przez pokój, zapalania zniem- j widzonego księżyca nad tarasem w Bourton na wieczornym letnim niebie.

- Klaryso! - zawołał chwytając ją za ramiona. - Powiedz, czy jesteś szczęśliwa? Czy Ryszard...

Otworzyły się drzwi.

- Oto moja Elżbieta - powiedziała Klarysa ze wzruszeniem, może trochę teatralnie.

- Dzień dobry panu - powiedziała Elżbieta podchodząc do niego.

Big Ben wydzwaniający pół godziny zadzwieczał między nimi z zadziwiającą mocą, jak gdyby młody mężczyzna - silny, porywczy - zaczął nagle potrząsać hantlami.

- Dzień dobry, Elżbieto! - zawołał Piotr wpychając chustkę do kieszeni; podszedł do niej szybko, nie patrząc na nią powiedział: - Do widzenia Klaryso - wyszedł z pokoju, zbiegł ze schodów : ,tworzył drzwi frontowe.

- Piotr, Piotr! - wołała Klarysa wybiegając za nim na podest schodów. - Przyjście! Pamiętaj, dziś wieczorem moje przyjęcie! - wołała, usiłując prze- krzyźć zgiełk za drzwiami. Stłumiony wrzawą ulicy i jednoczesnym biciem wszystkich zegarów jej gł^{os} wołający: pamiętaj, dziś wieczorem moje przyjęcie! - brzmiał w uszach Piotra Walsh, gdy zamykał drzwi, jak słabe i ciche, dalekie echo.

Pamiętaj, dziś wieczorem moje przyjęcie; pamiętaj, dziś wieczorem moje przyjęcie, powtarzał Piotr Walsh idąc ulicą, wypowiadając słowa rytmicznie, w

jednym rytmem z tym potokiem dźwięków, z wyraźnym stanowczym głosem Big Bena wydzwaniającego pół godziny. (Ołowiane kręgi rozplývają się w powietrzu.) Och, te przyjęcia, pomyślał, te przyjęcia Klarysy! Dlaczego ona wydaje te przyjęcia? Nie znaczy to bynajmniej, że ją ganił; nie bardziej niż tę kukłę w żakiecie, z goździkiem w butonierce, idącą naprzeciw niego. Tylko jeden człowiek na świecie może być tak jak on zakochany. Oto szczęśliwiec, oto on we własnej osobie, oto jego odbicie w kryształowej szybie wystawy salonu samochodowego na Victoria Street. Całe Indie leżą za nim: równiny, góry, epidemia cholery, jedna prowincja dwa razy większa od Irlandii, decyzja, którą sam podjął - on, Piotr Walsh, pierwszy raz w życiu naprawdę zakochany. Klarysa zrobiła się oschła i na dodatek chyba trochę sentymentalna, pomyślał patrząc na ogromne samochody, które zużywały... ile galonów benzyny na ile mil? Bo Piotr Walsh miał zamiłowanie do mechaniki, skonstruował pług w swoim okręgu i sprowadził z Anglii taczki, tylko że kulisi nie chcieli ich używać; Klarysa nie wiedziała nic, absolutnie nic o wszystkich tych sprawach.

Zirytował go sposób, w jaki powiedziała: oto moja Elżbieta. Dlaczego nie po prostu: Piotrze, Elżbieta? Było w tym coś nieszczerego. Elżbiecie też się to nie podobało. (Ostatnie drżenia potężnego, grzmiącego głosu poruszały powietrze wokół niego. Big Ben wybił pół godziny; jeszcze wcześniej, dopiero pół do dwunastej.) Bo on rozumie młodych, lubi młodych. W Klarysie zawsze był jakiś chłód, pomyślał. Zawsze miała w sobie, nawet jako młoda dziewczyna, jakąś nieśmiałość, która z biegiem lat staje się konwencjonalnością, a wtedy już koniec, już koniec, pomyślał patrząc w szklistą głębię sklepu i zapytując się, czy może tymi wczesnymi odwiedzinami zrobił jej przykrość; nagle szarpnął nim wstyd, że zachował się tak głupio, płakał, okazywał wzruszenie, powiedział jej wszystko - jak zawsze, jak zawsze.

Jak chmura zakrywa słońce, tak cisza spada na Londyn, spada na duszę. Wysilek ustaje. Czas powiewa na maszcie. Tu się zatrzymujemy; tu stoimy. Tylko skamieniały szkielet przyzwyczajęń podtrzymuje ludzką powłokę. W

której nie ma nic, powiedział Piotr Walsh do siebie; czuł się w środku przeraźliwie pusty, wydrażony. Klarysa mnie odepchnęła, pomyślał. Stał i powtarzał w myślach: Klarysa mnie odepchnęła.

Ach, powiedział dzwon na wieży kościoła Świętej Małgorzaty - tonem pani domu, która wchodzi do salonu z wybiciem godziny i widzi tam zebranych gości. Wcale się nie spóźniłam. Nie. Jest dokładnie pół do dwunastej, mówi. Ale chociaż ma słuszość, jej głos jest głosem pani domu i nie chce się narzucać. Powstrzymuje go jakiś żal nad przeszłością, jakiś niepokój o teraźniejszość. Jest pół do dwunastej, mówi i dźwięk dzwonu u Świętej Małgorzaty przenika, krąży za kręgiem, do najtajniejszych zakątków serca i chowa się tam jak coś żywego, co pragnie się ukryć, zniknąć, z dreszczem rozkoszy znaleźć wreszcie spokój: jak Klarysa, pomyślał Piotr Walsh, schodząca z uderzeniem godziny ze schodów, ubrana w białą suknię. Bo to ^{es} to cała Klarysa, pomyślał głęboko wzruszony, i ujrzał we wspomnieniu jej obraz zdumiewająco wyraźny i jednocześnie intrygujący, jak gdyby dźwięk tego dzwonu wdarł się przed laty do pokoju, w którym siedzieli przeżywając chwilę cudownej bliskości, jak gdyby przebiegł od niej do niego i wyfrunął - niby pszczoła z miodem - unosząc tę chwilę. Ale jaki to był pokój? Jaka to była chwila? I dlaczego wypełniło go tak bezbrzeżne szczęście, kiedy słuchał bicia tego dzwonu? Potem, gdy dźwięki na wieży Świętej Małgorzaty powoli zamierały, pomyślał, że Klarysa zachorowała i głos dzwonu wyraża słabość i cierpienie. To przecież było jej serce, przypomniał sobie, i niespodziewanie głośnie ostatnie uderzenie zabrzmiało jak dzwon śmierci, która zaskakuje pośród życia, i zobaczył Klarysę upadającą tam, gdzie stała, w jej salonie. Nie! Nie! zawołał. Klarysa nie umarła! Ja nie jestem stary, zawołał, i zaczął iść White-hallem, jak gdyby stamtąd toczyła się ku niemu - żywotna i bezkresna - jego przyszłość.

Nie jest stary ani zgorzkniały, ani wysuszony latami. A to, co Dallowayowie, Whitbreadowie i cała ta banda myśli sobie o nim, obchodzi go tyle, co zeszłoroczny śnieg, co zeszłoroczny śnieg (choć to prawda, że

prędzej czy później będzie musiał spytać Ryszarda, czy nie znajdzie dla niego jakiejś posady). Szedł prędko, długimi krokami, wpatrzony w pomnik księcia Cambridge. Wyrzucili go z Oksfordu, to prawda. Był socjalistą, w pewnym sensie wykolejeńcem, to prawda. A mimo to przyszłość świata leży w rękach takich właśnie młodych chłopców; takich, jaki on był przed trzydziestu laty, wielbiących abstrakcyjne ideały, otrzymujących książki wysyłane do nich z Londynu na szczyty Himalajów, studiujących nauki ścisłe, filozofię. Przyszłość leży w rękach takich chłopców, pomyślał.

Szmer podobny do szmeru liści w lesie napłynął skądś od tyłu, a wraz z nim szeleszczący, głuchy i miarowy odgłos, który dogoniwszy go skandował jego myśli ściśle w rytm kroków przemierzających Whitehall, bez jego wiedzy i woli. Chłopcy w mundurach, z karabinami, maszerowali patrząc nieruchomo przed siebie, maszerowali trzymając ręce sztywno po bokach; a wyraz na ich twarzach był jak litery napisu na monumencie sławiącym poczucie obowiązku, wdzięczność, wierność, miłość do Anglii.

Są doskonale wyćwiczeni, pomyślał Piotr, dostosowując krok do ich kroku. Ale nie wyglądali na silnych. Byli przeważnie drobni - szesnastoletni chłopcy, którzy może jutro staną za ladami sklepów i będą sprzedawali ryż czy mydło. Teraz okrywała ich - nie zmieszana z rozkoszami zmysłowymi czy troską dnia codziennego - powaga wieńca, który nieśli z Finsbury Pavement do pustego grobu. Złożyli przysięgę. Ruch uliczny to szanował; zatrzymano pojazdy.

Nie mogę dotrzymać im kroku, pomyślał Piotr Walsh, gdy maszerowali tak Whitehallem: no i, rzecz jasna, minęli go, minęli wszystkich, idąc tym swoim miarowym krokiem, jak gdyby jedna wola poruszała zgodnie ich ręce i nogi, jak gdyby dyscyplina zmieniła życie z jego różnorodnością, z jego wybujałością, w trupa sztywnego, lecz o otwartych oczach, który został złożony pod kamieniami drogi wysadzanej dwoma rzędami pomników, zarzuconej wieńcami. To budzi szacunek, pomyślał Piotr Walsh; można się z tego śmiać, ale to budzi szacunek. Idą, pomyślał zatrzymując się na brzegu "

trotuaru; a wszystkie wzniosłe pomniki - Nelsona, Gordona, Havelocka - wszystkie te czarne, pom-patyczne wizerunki wielkich żołnierzy patrzą prosto przed siebie, jak gdyby oni ponieśli również ofiarę (on. Piotr Walsh, też się nie cofnął przed tą wielką ofiarą) miażdżąc pod stopami pokusy, aż w końcu obdarzeni zostali tym marmurowym spojrzeniem. Ale Piotr Walsh bynajmniej nie pragnął dla siebie tego spojrzenia; chociaż szanował je u innych. Szanował je u chłopców. Nie znają jeszcze udręki ciała, pomyślał, gdy maszerująca kolumna oddaliła się w kierunku Strandu; nie znają tego wszystkiego, czego ja doświadczyłem, pomyślał przechodząc na drugą stronę ulicy i zatrzymując się przed pomnikiem Gordona, którego w dzieciństwie wielbił; Gordona, który stał samotny, z jedną nogą podniesioną, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Biedny Gordon, pomyślał.

Ponieważ prócz Klarysy nikt nie wiedział, że Piotr jest w Londynie, ponieważ ziemia po podróży wciąż była dla niego wyspą, dziwne mu się wydawało, że stoi na Trafalgar Square o godzinie wpół do dwunastej - sam, żywy, nikomu nie znany. Co to? Gdzie ja jestem? Właściwie dlaczego ludzie porywają się na to wszystko? myślał. Rozwód wydał mu się czymś nieskończenie głupim. Nagle zniknęło w nim tamto wzruszenie i doszły do głosu trzy uczucia: wyrozumiałość, bezbrzeżna życzliwość i wreszcie, niby następstwo tamtych, niepoahamowane, cudowne uczucie radości. Jak gdyby we wnętrzu jego mózgu cudza ręka pociągała sznurki zasłon, otwierała okiennice, podczas gdy on, najzupełniej bierny, stał u wylotu bezkresnych gościńców, w które mógł się zapuścić, gdyby przyszła mu na to ochota. Od lat nie czuł się taki młody.

Zdołał uciec! Jest wolny, wolny; tak bywa, gdy opadną więzy przyzwyczajień i umysł staje się podobny do niestrzeżonego płomienia, który gnie się, i strzela na boki, jak gdyby za chwilę miał się wyrwać ze swojej niewoli. Od lat nie byłem taki młody, pomyślał Piotr uciekając (naturalnie tylko na godzinę czy dwie) od tego, co było nim, i czując się jak dziecko, które ucieka

na dwór i widzi starą niańkę wołającą nań z niewłaściwego okna. Jest wyjątkowo ładna, pomyślał na widok idącej przez Trafalgar Square w kierunku Haymarket młodej kobiety; gdy przechodziła pod statuą Gordona, Piotrowi zdawało się (Piotr łatwo ulegał nastro- \ jom), że zrzuca kolejno zasłonę po zasłonie, aż w końcu ujrzał w niej kobietę, o której marzył całe życie: młodą, lecz zarazem majestatyczną, wesołą, lecz powściągliwą, ciemnowłosą, zachwycającą.

Prostując plecy i palcami dotykając ukradkiem scyzoryka zaczął iść za nią, rozpoczął pogoń za tą radością, za tą kobietą, która, choć obrócona plecami, zdawała się rzucać na niego światło jednoczące ich, wyróżniające go w tłumie, jak gdyby wśród bezładnej wrzawy ulicznej ktoś wyszeptał przez złożone dłonie jego imię - nie Piotr, ale imię, którym nazywał sam siebie w myślach. Ty, powiedziała. Ty, mówiły jej ręce w białych rękawiczkach i jej plecy. Potem długie, lekkie palto, które wiatr poruszał, gdy przechodziła obok sklepu Denta na Cockspur Street, wyduło się na niej z opiekuńczą dobrotliwością, z melancholijną czułością, jak ramiona otwierające się, aby przyjąć znużonych.

Ale nie jest zamężna; jest młoda, bardzo młoda, pomyślał Piotr, a czerwony goździk, który widział przy jej sukni, gdy szła przez Trafalgar Square, znów zapłonął mu przed oczami barwiąc czerwienią jej usta. Zatrzymała się na krawężniku. Ma w sobie dużo godności, pomyślał Piotr. Nie jest kobietą światową jak Klarysa, nie jest bogata jak Klarysa. Czy jest kobietą cnotliwą? - zastanawiał się, g^ dziewczyna znów zaczęła iść. Dowcipna o ostrym języku, pomyślał (bo trzeba czasem fantazjować, trzeba sobie robić takie drobne przyjemności), o umyśle chłodnym, rozważnym, błyskotliwym, ale nie jest wrzaskliwa.

Przeszła na drugą stronę ulicy, a on szedł za nią. Za nic nie chciałby jej zrobić przykrości. Gdyby się jednak zatrzymała, powiedziałby: chodźmy na lody. Tak by powiedział, a ona odparłaby najprościej w świecie: chętnie.

Ale ludzie spieszący ulicą rozdzielali ich, zastępowali mu drogę, zasłaniali

dziewczyne. Piotr szedł za nią; ona prowadziła. Na policzkach miała rumieńce, w oczach drwinę. Jestem poszukiwaczem przygód, pomyślał, odważnym, porywczym, zdecydowanym na wszystko, ściśle mówiąc (przecież zaledwie wczoraj wieczorem przyплыł z Indii) jestem romantycznym korsarzem, gwizdzącym na te wszystkie przeklęte konwenanse, na te żółte szlafroki, fajki, wędki na wystawach sklepów; gwizdzącym na tę całą szacowność, na przyjęcia, na tych wymuskanych starców w białych plastronach pod kamizelkami. Tak, jest korsarzem. Dziewczyna szła wciąż naprzód, przeszła na drugą stronę Piccadilly, skręciła w Regent Street, wciąż przed nim; jej płaszcz, jej rękawiczki, jej plecy jednoczyły się z falbankami, koronkami i piórami boa na wystawach, tworząc razem ów nastrój zbytku i kaprysu, który przygasał wydostając się ze sklepów na trotuar, podobnie jak przygasa i migoce w ciemności lampa rzucająca nocą swój blask na drugą stronę żywopłotu.

Uśmiechnięta, zachwycająca dziewczyna przeszła na drugą stronę Oxford Street, przecięła Great Portland Street i skręciła w jedną z małych uliczek;

I teraz zbliżała się wielka chwila, bo właśnie teraz zwolniła kroku, otworzyła torebkę i rzuciwszy jedno spojrzenie w jego kierunku, ale nie na niego jedno spojrzenie, które go zegnało, które oceniało całą przygodę i kończyło ją tryumfalnie, na zawsze, wsunęła klucz do zamka, otworzyła drzwi i zniknęła! W uszach zadźwięczał mu głos Klarysy, głos Klarysy mówiący: pamiętaj o moim przyjęciu, pamiętaj o moim przyjęciu. Dom był z czerwonej cegły, o płaskim dachu, z wiszącymi koszykami na kwiaty, w wątpliwym guście. Skończyło się.

Cóż, miałem trochę przyjemności, naprawdę miałem, pomyślał patrząc na kołyszące się na wietrze koszyki z geranium. Ale ta jego przyjemność rozpadła się na drobne okruchy, bo była w połowie udawana, o czym dobrze wiedział. Była wymyślona, cała ta eskapada z dziewczyną - jak się wymyśla lepsze chwile w życiu, jak wymyślił siebie, jak wymyślił ją znajdując w tym cudowną rozrywkę; i coś ponadto. Ale - rzecz dziwna i bardzo prawdziwa - takiej

przyjemności nie można dzielić z nikim; rozpada się na drobne okruchy.

Zawrócił, poszedł dalej ulicą, zastanawiając się, gdzie by usiąść, zanim przyjdzie pora na Lincoln's Inn, na panów adwokatów Hoopera i Grateleya. Dokąd iść? Mniejsza o to. A więc dalej ulicą, w stronę Regens Park. Jego buty wybijały na chodniku rytm „mniejsza o to, mniejsza o to”; bo było jeszcze wcześniej, bardzo wcześniej.

Jaki piękny ranek. Puls życia na ulicach miarowy jak uderzenia idealnie zdrowego serca. Żadnego błędzenia, żadnych wahań. Sunąc gładko i zataczając koło precyzyjnie, punktualnie, bezszelestnie, samochód zatrzymał się w odpowiednio wybranym ułamku sekundy przed drzwiami. Wysiadła dziewczyna w jedwabnych pończochach, w kapeluszu z piórami, zwiewna, ale dla Piotra niezbyt pociągająca (miał już przecież swoją przyjemność). Wzorowi lokaje, rdzawe psy chow-chow, hali wyłożony białymi i czarnymi kwadratami płyt, białe story, wydymające się na wietrze – Piotr zobaczył to wszystko przez otwarte drzwi; pochwalił w myślach. Mimo wszystko, na swój własny sposób, to wspaniałe osiągnięcie – Londyn, sezon, cywilizacja. Piotr pochodził z szacownej ang-loindyjskiej rodziny, która najmniej od trzech pokoleń rządziła krajem wielkości całego kontynentu (dziwne, skąd się biorą we mnie te uczucia – we mnie, który nienawidzę Indii, imperium, armii), przeto bywały chwile, kiedy cywilizacja, nawet tego rodzaju cywilizacja, wydawała mu się cenna, jak gdyby była jego osobistą własnością; zdarzały się chwile, kiedy dumny był z Anglii, z lokajów, psów chow-chow, z dziewcząt bezpiecznych w swym bogactwie. Trochę to śmieszne, pomyślał, ale tak jest. I lekarze, biznesmeni, dzielne kobiety – wszyscy oddani swej pracy, wszyscy punktualni, energiczni, silni, wydali mu się naprawdę godni podziwu; zaci ludzie, którym śmiało można powierzyć życie, towarzysze w trudnej sztuce życia, którzy zawsze podadzą rękę. Biorąc jedno z drugim, cały ten interes nie jest taki zły; a on usiadł gdzieś w cieniu i zapali papierosa.

Regens Park. No naturalnie. W dzieciństwie często przychodził do Regens

Park... Dziwne, pomyślał, jak wciąż wraca do mnie dzieciństwo, pewnie dlatego, że widziałem się z Klarysą; bo dla kobiet przeszłość jest dużo ważniejsza niż dla nas. Przywiązują się do miejsc, uwielbiają ojców; każda kobieta jest dumna ze swojego ojca. Lubilem Bou-rtton, pomyślał, bardzo lubilem, ale ze starym Parrym jakoś nigdy nie mogłem się zgodzić. Któregoś wieczoru wybuchła między nami straszna awantura, kłótnia o coś tam, nie mógł sobie przypomnieć o co. Pewnie o politykę, pomyślał.

Tak, pamiętał Regens Park; długa prosta aleja, po lewej kiosk, w którym kupowało się baloniki gdzieś tam po drodze idiotyczna rzeźba z napisem. Rozejrzał się za pustą ławką. Nie chciał, żeby mu ludzie przeszkadzali (czuł się trochę senny) pytaniami o godzinę. Niemłoda, siwowłosa bona z dzieckiem uśpionym w wózku; tak, tu będzie najlepiej, siądzie na drugim końcu ławki, obok tej bony.

Ta dziewczyna ma niezwykły wygląd, pomyślał przypominając sobie nagle Elżbietę, gdy weszła do pokoju i stanęła obok matki. Wysoka, właściwie zupełnie dorosła, trudno ją nazwać ładną, jest raczej przystojna; a przecież ma najwyżej osiemnaście lat. Przypuszczam, że nie bardzo dobrze żyje z Klarysą. „Oto moja Elżbieta” - co za pomysł! Dlaczego nie zwyczajnie i po prostu: „O, Piotrze, Elżbieta!” Jak większość matek Klarysa usiłuje nadać rzeczom pozory czegoś, co nie istnieje. Zanadto ufa swojemu wdziękowi. Wpada w przesadę.

Mocny, dobroczynny dym z cygara ochłodził mu gardło; Piotr wypuścił dym; utworzyły się kółka, które przez chwilę dzielnie stawiały opór powietrzu, niebieskie, regularne (spróbuje dziś wieczorem porozmawiać chwilę z Elżbietą na osobności, pomyślał), a potem stopniowo wydłużały się przybierając kształt klepsydr piaskowych i powoli odpłynęły. Przybierając dziwaczne kształty, pomyślał. Nagle zamknął oczy, z wysiłkiem podniósł rękę i odrzucił ciężki koniec cygara. Wielka miotła przesunęła się gładko, z rozmachem, przez jego świadomość, wymiatając szelest gałęzi, dziecięce głosiki, szurgot nóg, rozmowy ludzi idących aleją, daleki szmer ruchu ulicznego, szmer wzmagający się,

cichnący. Niżej, coraz niżej zapadał w pióra i puch snu, coraz niżej zapadał - aż utonął.

Bona podjęła robotę na drutach w chwili, gdy piotr Walsh siedzący obok niej na rozpalonej ławce zaczął chrapać. W swej szarej sukni, niezmordowanie, lecz spokojnie poruszająca rękami, sprawiała wrażenie szermierza praw istot uśpionych; podobna owym nieziemskim zjawom, które utkane z nieba i gałęzi ukazują się w lesie o zmierzchu. Samotny wędrowiec blakający się po ścieżkach, zakłócający spokój paproci, depczący roślą cykutę, podnosi nagle oczy i widzi na końcu drogi olbrzymią postać.

Chociaż może z przekonania jest ateistą, zaskakują go znienacka chwile niezwykłych uniesień. Poza nimi nie istnieje nic, myśli; istnieje tylko stan ducha, pragnienie pociechy, odpoczynku, pragnienie czegoś innego niż ci godni wzgardy mężczyźni i kobiety, ci pigmeje tak słabi, ohydni, tchórzliwi. Ale skoro widzę tę zjawę, myśli, zjawą ta w jakimś sensie istnieje; i idąc ścieżką, z oczami utkwionymi w niebie i gałęziach, błyskawicznie nadaje jej kształty kobiece; spostrzega ze zdumieniem, jaka bije z nich powaga, jak majestatycznie, gdy powieje wiatr, rozdzielają wśród mrocznego drżenia liści miłosierdzie, zrozumienie, rozgrzeszenie, a potem, podskakując nagle w górę, bezczeszczą uroczysty nastrój dzikim, rozpasanym tańcem.

Takie widziadła spotyka samotny wędrowiec; widziadła ofiarujące mu wielkie rogi obfitości pełne owoców lub szepczące mu do ucha głosem syren rozpartych na grzbiecie zielonych morskich fal, lub jak bukiety róż rzucane mu w twarz, lub jak wypływające na powierzchnię blade kształty, które rybacy wylawiają z toni, aby je zamknąć w objęciach.

Takie widziadła unoszą się bezustannie na powierzchni rzeczywistości, idą z nią krok w krok, zasłaniają ją swymi twarzami; często obezwładniają samotnego wędrowca, zabijają w nim smak ziemi i chęć powrotu, dając w zamian poczucie spokoju, jak gdyby (tak jemu się to przedstawia, gdy idzie leśną ścieżką) całe to gorączkowe życie było czymś najprostszym, jak gdyby miriady spraw były

tylko jedną sprawą, jak gdyby to widziadło utkane z nieba i gałęzi wyszło ze wzburzonego morza (samotny wędrowiec nie jest młody, ma już lat ponad pięćdziesiąt), jak gdyby było zjawą, powstała z fal, aby rozdać swymi cudownymi rękami miłosierdzie, zrozumienie, absolicję. Ach, j myśli więc samotny wędrowiec, wolałbym nigdy nie wracać do światła mojej lampy, do mojego pokoju, wolałbym nigdy nie kończyć mojej książki, nigdy nie wystukiwać popiołu z fajki, nie dzwonić na panią Turner, aby zebrała ze stołu; wolę iść prosto przed siebie, na spotkanie tej ogromnej postaci, która odrzuciwszy do tyłu głowę posadzi mnie na swych skrzydłach i pozwoli mi, wraz z resztą, rozplynać się w nicości.

Takie są widziadła. Samotny wędrowiec wychodzi niebawem z lasu; a tam, przy drzwiach, osłaniając oczy rękami i wypatrując może jego powrotu, w białym fartuchu wydymającym się na wietrze, stoi niemłoda kobieta, która zdaje się (tak wielka jest siła przyzwyczajenia) wypatrywać na pustyni zaginionego syna, poległego jeźdźca, która zdaje się być pomnikiem matki synów padłych w bitwach świata. Gdy więc samotny wędrowiec idzie wiejską ulicą, gdzie kobiety stoją przy furtkach ze swymi robótkami, a mężczyźni kopią w ogródkach, nagle wieczór staje się złowróżbny i postacie ludzi nieruchomieją, jak gdyby jakiś straszny wyrok losu, znany im i oczekiwany bez lęku, miał za chwilę pograżyć ich w nicości.

W domu, pośród zwykłych sprzętów - szafy stołu, doniczek z geranium na parapecie okna

■
, sylwetka gospodyni pochylonej nad stołem, zdejmującej obrus, nagle łagodnieje przesycona światłem, zmienia się w zachwycający symbol, którego tylko wspomnienie wrogości panującej między ludźmi nie pozwala nam objąć i przytulić do serca. Bierze ze stołu dżem pomarańczowy, chowa do kredensu.

- Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś, proszę pana? Ale komu odpowiada samotny wędrowiec?

Tak oto niemłoda bona przebierała drutami pilnując dziecka uśpionego w

Regenfs Park. Tak oto chrapał Piotr Walsh. Obudził się raptownie, mówiąc sobie w myślach: śmierć duszy.

- Boże, Boże - powiedział na głos, przeciągając się i otwierając oczy. - Śmierć duszy. - Słowa odnosiły się do jakiejś sceny, jakiegoś pokoju, jakiegoś fragmentu przeszłości, o którym śnił. Nagle wszystko stało się jaśniejsze: owa scena, ów pokój, fragment przeszłości, o którym śnił.

Bourton, na początku lat dziewięćdziesiątych, lato, kiedy tak bez pamięci kochał się w Klarysie. W pokoju było pełno osób, śmieli się i rozmawiali siedząc przy stole po podwieczorku, pokój był skąpany w złotym świetle i pełen dymu tytoniowego. Rozmawiali o kimś, kto ożenił się ze swoją służącą, pewien ziemianin z sąsiedztwa, Piotr nie pamiętał jego nazwiska. No więc poślubił tę swoją służącą i przywiózł ją do Bourton z wizytą. Straszna historia! Przyjechała śmiesznie wystrojona, „jak papuga”, powiedziała Klarysa przedrzeźniając ją, i przez cały czas nie zamykały się jej usta. Mówiła i mówiła, mówiła i mówiła. Przedrzeźniała ją. Potem ktoś - tak, Sally Seton - spytał, czy ich stosunek do tej kobiety byłby inny, gdyby wiedzieli) że ona przed ślubem miała dziecko (w tamtych czasach, w towarzystwie mężczyzn, były to bardzo śmiałe słowa). Piotr do dziś pamięta, jak się Klarysa zaczerwieniła i powiedziała: - Och, nigdy już nie potrafię się do niej odezwać! - Po tych słowach całe towarzystwo przy stole jakby się skuliło w sobie. Była to bardzo krępująca chwila.

Nie miał do niej pretensji o to, że się zgorszyła, bo w tamtych czasach dziewczęta wychowane jak Klarysa nie wiedziały nic o życiu; ale zirytowała go jej postawa: wstydliva, bezlitosna, arogancka, pruderyjna. „Śmierć duszy.” Powiedział to instynktownie, oznaczając etykietą, jak to miał w zwyczaju, tę chwilę - chwilę śmierci duszy.

Wszyscy skulili się w sobie; gdy Klarysa mówiła, wszyscy jakby schylili głowy, ale podnieśli je zaraz, odmienieni. Piotr do dziś pamięta Sally Seton, która jak dziecko przyłapanie na psocie, zarumieniona, pochyliła się do przodu, chcąc coś powiedzieć, ale nie miała odwagi, bo Klarysa naprawdę onieśmiała.

(Sally była najbliższą przyjaciółką Klarysy, wciąż przesiadywała w Bourton; zachwycające stworzenie, ładna, śniada, miała reputację dziewczyny niezwykle jak na tamte czasy zuchwałej, on sam dawał jej cygara, które paliła u siebie w pokoju; była z kimś zaręczona czy też może pokłóciła się z rodzicami, ojciec Klarysy nie znosił ich obojga, co naturalnie bardzo ich zbliżało.) Potem Klarysa, nadal jakby na nich wszystkich obrażona, wstała od stołu i pod jakimś pretekstem odeszła, sama. Gdy otwierała drzwi, wpadł do pokoju ten jej wielki kudłaty pies, który gonił owce. Klarysa rzuciła się do niego, obsypała go pieścizotami. Było tak, jak gdyby mówiła do Piotra (wiedział, że cała ta scena jest wymierzona w niego): wiem, że kiedy mówiłam o tej kobiecie, uważałeś mnie za idiotkę. Ale spójrz, jaka jestem niezwykle czuła, jak kocham mojego Roba! 0

Zawsze posiadali ten osobliwy dar porozumiewania się bez słów. Ilekroć zganił ją w myślach, zaraz o tym wiedziała. I broniąc się robiła coś śmiesznie oczywistego, jak ta cała komedia i psem, tylko że on ani razu nie dał się nabrać, _zbyt dobrze znał Klarysę. Naturalnie nigdy nic na ten temat nie mówił, siedział tylko ponury. Często ich kłótnie zaczynały się właśnie w ten sposób.

Wyszła i zamknęła drzwi. Natychmiast ogarnęło go bezgraniczne przygnębienie. Wszystko wydało mu się takie beznadziejne - miłość do niej, kłótnie, pojednania; wstał i powłókł się sam w stronę zabudowań gospodarczych i stajen, przyglądał się koniom. (Majątek był bardzo skromny, Parry'o-wie nie mieli pieniędzy. Ale trzymali zawsze groo-mów i chłopców stajennych - Klarysa przepadała za konną jazdą - i mieli starego stangreta... jakże on się nazywał? I niańkę, starą Moody czy Goody, jakoś tak, którą Piotr odwiedzał z Klarysa w pokoiku pełnym fotografii i klatek z ptakami.)

Straszny był ten wieczór! Ogarniało go coraz większe przygnębienie, spowodowane nie tylko tamtą sprawą, wszystkim. I nie był z nią ani chwili sam, nie mógł jej wytłumaczyć, nie mógł w rozmowie doprowadzić do pojednania. Ciągłe kręcili się koło nich ludzie, a ona zachowywała się tak, jak gdyby nic nie

zaszło. To była diabelska strona jej natury - ta lodowatość, kamiennosc, cos, co tkwilo w niej bardzo glęboko i co on wyczul znów tego ranka, kiedy z nią rozmawiał; cos niezglębionego. Ale Bóg świadkiem, że ją kochał. Miała osobliwy dar grania na nerwach ludzkich, jakby to były struny skrzypiec.

Spóźnił się trochę na kolację, powodowany idiotyczną chęcią zwrócenia na siebie uwagi, i usiadł koło starej panny Parry, ciotki Heleny, siostry Pana Parry'ego, która pełniła przy stole funkcję pani domu. Siedziała w swoim białym kaszmirowym szalu, zwrócona plecami do okna - z wyglądu groźna stara dama, ale bardzo dla niego dobra, bo znalazł jej jakiś rzadki kwiat; była zagorzałą botaniczką, wyruszała na łąki w grubych butach, z przewieszoną przez ramię czarną cynową puszką. Usiadł więc obok niej i nie mógł wykrztusić ani słowa. Miał uczucie, że wszystko wokół niego wiruje, siedział więc tylko i jadł. Potem, chyba w połowie kolacji, zmusił się i po raz pierwszy spojrzał na Klarysę. Rozmawiała z młodym mężczyzną siedzącym po jej prawej ręce. I wtedy przyszło nagłe objawienie. Wyjdzie za tego człowieka, pomyślał Piotr. Nie wiedział nawet, jak się nazywa.

Bo właśnie tego popołudnia, tego samego popołudnia przyjechał Dalloway. Klarysa nazywała go „Wickham”, tak się to wszystko zaczęło. Ktoś go przywiózł i przedstawił, a Klarysa źle zrozumiała jego nazwisko. Przedstawiała go wszystkim: Pan Wickham. W końcu powiedział: nazywam się Dalloway! Takie było pierwsze wspomnienie Piotra o Ryszardzie; jasnowłosy, mocno speszony chłopak siedzący na leżaku, nagle wybuchający: nazywam się Dalloway! Sally zaraz to podchwyciła; nie mówiła o nim inaczej jak „Nazywam się Dalloway!”

W tym okresie często miewał takie nagłe objawienia. To - że Klarysa wyjdzie za Dallowaya - obezwładniło go, oślepiło. W jej stosunku do tego człowieka było coś... nie może znaleźć odpowiednich słów... jakaś szczególna swoboda, coś macierzyńskiego, łagodnego. Mówili o polityce. Cały czas przy stole Piotr starał się usłyszeć, o czym mówią.

Pamięta, że potem stał w salonie obok krzesła starej panny Parry. Klarysa podeszła do niego - Klarysa ze swymi doskonałymi manierami - podeszła jak prawdziwa pani domu i chciała go komuś przedstawić; mówiła do niego tak, jakby się widzieli pierwszy raz w życiu, co go doprowadziło do wściekłości. Ale nawet wtedy, nawet za to ją podziwiał. Podziwiał jej odwagę, jej instynkt światowej damy, jej umiejętność stawiania na swoim. _ Wzorowa pani domu - powiedział jej, a ona wyraźnie zadrżała. Ale chciał, żeby ją to zabolalo. Odkąd widział ją z Dallowayem, był gotów zrobić wszystko, żeby jej zadać ból. Odeszła. A jego ogarnęło uczucie, że oni wszyscy tam w salonie spiskują przeciwko niemu, śmieją się i mówią o nim za jego plecami. Stał więc obok krzesła panny Parry, jak gdyby był kawałkiem drewna i rozmawiał z nią o polnych kwiatkach. Nigdy, nigdy nie cierpiał tak straszliwie. Nawet przestał chyba udawać, że słucha; po chwili ocknął się i zobaczył, że panna Parry ma minę zatroskaną, trochę oburzoną, i patrzy przed siebie nieruchomo wypukłymi oczami. Niewiele brakowało, a zacząłby krzyczeć, że jest w piekle i dlatego nie słucha! Towarzystwo zaczęło wychodzić z salonu. Słyszał, jak mówią, że trzeba wziąć palta, że na wodzie jest zimno, i tak dalej. Szli nad jezioro pływać łodziami przy księżycu, jeden z wariackich pomysłów Sally. Słyszał, jak się zachwyca księżycem. Został sam.

- Nie pójdzie pan z nimi? - spytała ciotka Helena. Biedna staruszka odgadła wszystko! A wtedy obejrzał się i znowu zobaczył Klarysę. Wróciła po niego. Jej dobroć, jej szlachetność oszołomiły go.

- Chodź - powiedziała. - Czekamy.

Nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy! Pogodzili się bez słowa. Poszli nad jezioro. Przeżył dwadzieścia minut niewypowiedzianego szczęścia. Jej głos, jej śmiech, jej suknia (coś zwiewnego - białego szkarłatnego), jej werwa, zamiłowanie do przygód. Kazała im wszystkim wysiąść i zwiedzać wyspę; spłoszyła kuropatkę, śmiała się, śpiewała. Piotr wiedział doskonale, że cały ten czas w Dallowayu rodzi się miłość do niej i w niej rodzi się miłość do

Dallowaya; ale to nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Siedzieli na ziemi i rozmawiali, on i Klarysa. Przenikali nawzajem w głąb swoich dusz, bez najmniejszego wysiłku. A potem, w ciągu jednej sekundy, było już po wszystkim; kiedy wsiadali do łodzi, powiedział sobie: Klarysa wyjdzie za tego człowieka. Powiedział to tępo, bez gniewu. Ale to było oczywiste, Dalloway ożeni się z Klarysa.

W drodze powrotnej Dalloway wiosłował. Nie powiedział ani słowa. Ale kiedy się z nimi rozstawał (patrzyli, jak wskakuje na rower, aby przejechać dwadzieścia mil przez lasy), kiedy pomachawszy im ręką zniknął na ścieżce, w jakiś sposób stało się widoczne, że odczuł to wszystko, odczuł instynktownie, głęboko, z mocą - tę noc, roman-tyczność, Klarysę. Zasługiwał na to, żeby ją mieć.

Bo on, Piotr, zachowywał się idiotycznie. Stawiał Klarysie idiotyczne (rozumiał to teraz) wymagania. Żądał rzeczy niemożliwych. Doprowadzał do dzikich scen. Może by go mimo wszystko przyjęła, gdyby się zachowywał mniej idiotycznie. Sally tak przypuszczała. Sally przez całe lato pisywała do niego długie listy; donosiła mu, że o nim mówiły, że wychwalała go przed Klarysa, że Klarysa wybuchała płaczem! Dziwne było to lato - listy, sceny, telegramy, przyjazd do Bourton wczesnym rankiem, czekanie, aż zbudzi się służba, przygnębiające tete-a-tete z panem Parrym przy śniadaniu, ciotka Helena groźna, lecz dobrotliwa, Sally porywająca go na rozmowę w ogrodzie warzywnym, Klarysa w łóżku z bólem głowy.

Ostatnia scena, straszna scena, którą uważał za najważniejszą chwilę w swoim życiu (może to przesada - ale cóż, dotąd mu się taka wydaje), rozegrała się o godzinie trzeciej po południu pewnego upalnego dnia. Sprowokował ją drobiazg; mówiąc coś przy obiedzie o Dallowayu, Sally nazwała go „Nazywam się Dalloway”; słysząc to Klarysa zeszywniała, zaczerwieniła się w swój szczególny sposób i wybuchnęła ostro: - Chyba wszyscy mamy dosyć tego kiepskiego dowcipu! _ Tylko tyle. Ale dla niego zabrzmiało to tak, jak gdyby

Klarysa powiedziała: „Z tobą tylko się bawię; z Ryszardem Dallowayem łączy mnie coś prawdziwego.” Tak Piotr to rozumiał. Nie spał kilka ostatnich nocy. To się musi skończyć, powiedział sobie. Posłał jej przez Sally kartkę, prosił, żeby się z nim spotkała o trzeciej koło fontanny. Na dole dopisał: „Stało się coś bardzo ważnego.”

Fontanna znajdowała się na końcu ogrodu, z daleka od domu, otoczona krzakami i drzewami. Klarysa przyszła nawet trochę za wcześnie i stali rozdzieleni fontanną; z kurka (który był złamany) ciekły bezustannie krople wody. To zdumiewające, jak widoki wbijają się w pamięć! Na przykład ta jaskrawa zieleń mchów.

Stała bez ruchu.

- Powiedz mi prawdę, powiedz mi prawdę - powtarzał. Miał uczucie, że pęknie mu głowa. Klarysa zdawała się jakaś skulona w sobie, skamieniała. Stała bez ruchu. - Powiedz mi prawdę - powiedział, gdy nagle zjawił się Breitkopf z „Timesem” w ręku, spojrzał na nich, wybałuszył oczy i odszedł. Żadne z nich się nie poruszyło. - Powiedz mi prawdę - powtórzył. Zdawało mu się, że natrafia na fizyczny opór; Klarysa nie ustępowała. Była jak z żelaza, jak z krzemienia, miała skamieniały kręgosłup. A kiedy powiedziała:

- Nie warto. Nie warto. To już koniec - po tym, jak on mówił godzinami (takie miał wrażenie) i łzy ciekły mu po policzkach, było tak, jak gdyby uderzyła go w twarz. Odwróciła się, zostawiła go, odeszła.

- Klarysa! - zawołał. - Klarysa! - Ale nie wróciła. Wszystko było skończone. Wyjechał tego wieczoru. Nie zobaczył się z nią więcej.

- To było straszne - zawołał - straszne, straszne!

Mimo wszystko słońce dalej świeci. Mimo wszystko człowiek znajduje pociechę. Mimo wszystko życie idzie naprzód. Mimo wszystko, pomyślał ziewając i rozglądając się dokoła (Regenfs Park niewiele się zmienił od czasów jego dzieciństwa, może tylko te wiewiórki), mimo wszystko zawsze można znaleźć rekompensatę... jak na przykład w tej zabawnej scenie. Maleńka Elise

Mitchell zbierająca kamyki do kolekcji, którą razem z bratem przechowywała na kominku w dzieciennym pokoju, położyła garść kamyków na kolanach bony, a potem pobiegła po nowy zapas i całym rozpędem wpadła na nogę przechodzącej pani. Piotr roześmiał się na głos.

Ale Lukrecja Warren Smith myślała właśnie: to jest okrucieństwo, okrucieństwo. Dlaczego ja tak cierpię? zapytywała się w duchu idąc szeroką aleją. Nie, nie wytrzymam tego dłużej, mówiła zostawiwszy Septimusa, który nie był już Septimusem, który mówił do siebie na głos, który mówił straszne, złe, okrutne rzeczy, który rozmawiał z umarłym tam na ławce pod drzewem; nagle dziecko wpadło na nią całym rozpędem, przewróciło się i wybuchnęło płaczem.

Była w tym jakaś pociecha. Podniosła małą, otrzepała z kurzu, pocałowała.

Przecież nie zrobiła nic złego; kochała Septimusa, była szczęśliwa, miała kiedyś śliczny dom, gdzie dotąd mieszkają jej siostry i robią kapelusze. Dlaczego ona cierpi, właśnie ona?

Dziecko pobiegło do bony i Recja widziała, jak bona odkłada robótkę, bierze małą na kolana, karci ją, pociesza, widziała, jak pan o miłej i dobrej twarzy daje jej na pociechę zegarek do zabawy... ale dlaczego ona, Recja, jest narażona na te cierpienia? Dlaczego nie została w Mediolanie? Dlaczego męczy się tak straszliwie? Dlaczego?

Widziana przez łąy szeroka aleja, bona, pan w szarym ubraniu, wózek - wszystko falowało lekko przed jej oczami, podnosiło się, opadało. Los przeznaczył jej tę okrutną, bezlitosną torturę. Ale dlaczego? Jest jak ptak szukający schronienia pod cienkim daszkiem liścia, jak ptak, który mruga oślepiiony słońcem, gdy liść się przesunie; który drży, słysząc trzask suchej gałązki. Jest skazana na cierpienie, jest otoczona ogromnymi drzewami, olbrzymimi chmurami obojętnego świata, skazana na cierpienie, torturowana. Dlaczego cierpi? Dlaczego?

Zmarszczyła brwi, tupnęła nogą. Musi zaraz wrócić do Septimusa, niedługo

będzie czas na wizytę u sir Williama Bradshawa. Musi wrócić i powiedzieć mu to, wrócić pod drzewo, gdzie siedzi Septimus na zielonym krześle i mówi na głos do siebie albo do Evansa, który nie żyje, którego Recja widziała tylko raz, przez chwilę, kiedy przyszedł do sklepu. Wydał jej się miłym i spokojnym człowiekiem; był najbliższym przyjacielem Septimusa, zginął na wojnie. Ale to się może zdarzyć każdemu. Każdy stracił kogoś na wojnie. Każdy, kto się żeni, wyrzeka się czegoś. Ona wyrzekła się domu, rodziny. Przyjechała tu, do tego ohydneho miasta. Ale Septimus pozwala sobie na straszne myśli; ona też mogłaby myśleć o strasznych rzeczach, niechby tylko raz zaczęła. Robi się z każdym dniem dziwniejszy. Powiedział, że słyszy głosy ludzkie za ścianą ich sypialni. Gospodyni, pani Fil-mer, wydało się to podejrzanym. I miewa przywidzenia; zobaczył głowę starej kobiety między liśćmi paproci w doniczce. Ale jak chciał, umiał być szczęśliwy. Wsiedli na górną platformę autobusu, pojechali do Hampton Court i czuli się naprawdę szczęśliwi. Trawa była usiana czerwonymi i żółtymi kwiatkami; powiedział, że wyglądają jak małe lampiony, i rozmawiał z nią wesoło, gawędził, śmiał się i zmyślał rozmaite historyjki. Nagle powiedział: - Teraz się zabijemy. - Stali nad wodą i Lukrecja zobaczyła w jego oczach wyraz, jaki widywała, gdy patrzył na przejeżdżający pociąg albo autobus... Był czymś urzeczony. Czowała, że odchodzi od niej, i schwyciła go za ramię. Ale w drodze powrotnej był zupełnie spokojny, zachowywał się zupełnie normalnie. Przekonywał ją, że powinni się zabić; tłumaczył, że ludzie są podli, że kiedy mijają ich na ulicy, widzi, jak obmyślają kłamstwa. Zna wszystkie ich myśli, powiedział. Zna wszystko. Zna sens istnienia.

Kiedy wrócili do miasta, z trudem trzymał się na nogach. Położył się na kanapie i powiedział, żeby go wzięła za rękę, bo inaczej spadnie, spadnie, wołał, w płomień! Widział na ścianach twarze ludzi, którzy szydzili z niego i obrzucali najohydniejszymi wyzwiskami, i ręce wskazujące na niego zza parawanu. A przecież byli sami w pokoju. Zaczął mówić na głos, odpowiadać komuś niewidzialnemu, kłócić się, śmiać, płakać, wpadł w straszne podniecenie

i kazał jej zapisywać to, co mówił. Same głupstwa - o śmierci, o pannie Izabelli Pole. Ona nie wytrzyma tego dłużej. Wróci do Mediolanu.

Była teraz blisko niego, widziała, że patrzy nieruchomym wzrokiem w niebo, mamrocze coś do siebie, zaciska ręce. A przecież doktor Holmes twierdzi, że nic mu nie jest. Co się więc stało... dlaczego jest taki inny? Dlaczego, kiedy siedziała przy nim, drgnął, zmarszczył brwi, odsunął się od niej, a potem pokazał na jej rękę, wziął jej rękę i patrzył na nią przerażony?

Czy dlatego, że zdjęła obrączkę?

- Tak mi schudła ręka - powiedziała. - Schowałam obrączkę do portmonetki.

Puścił jej rękę. A więc ich małżeństwo skończyło się, pomyślał z bólem, z ulgą. Sznur został przecięty i teraz on wznosi się w górę, w górę. Jest wolny, tak jak było zapisane w księgach, aby on, Septimus, pan rodzaju ludzkiego, był wolny. Jest sam (skoro jego żona zdjęła obrączkę, skoro go rzuciła), on, Septimus, jest sam, jest wybrany spośród wszystkich ludzi, aby pierwszy usłyszał prawdę, pozna tajemnicę, która teraz, po całym ogromie pracy dokonanej przez ludzkość - przez Greków, Rzymian, Szekspira, Darwina i przez niego samego, Septimusa - zostanie wreszcie wyjawiona... - Komu? - spytał na głos. - Premierowi - odpowiedziały głosy szemrzące nad jego głową. Tak, trzeba powierzyć najwyższą tajemnicę gabinetowi ministrów: po pierwsze, że drzewa żyją, po drugie, że zbrodnia nie istnieje, po trzecie, że miłość, miłość wszechobejmująca, mamrotał łapiąc ustami powietrze, dygocąc na całym ciele, w najwyższej męce wyszarpując z siebie prawdy, które tak głęboko w nim tkwiły, tak były nieuchwytnie, że tylko z najwyższym wysiłkiem mógł je sformułować; ale które zmienią świat, na zawsze zmienią świat.

- Nie ma zbrodni, jest miłość - powtórzył, szukając po kieszeniach papieru i ołówka, gdy wtem podbiegł skye-terier i obwąchał nogawki jego spodni; Septimus podskoczył przerażony. Pi_{es} zaczął zmieniać się w człowieka! Nie chce na to patrzeć! To straszne, to okropne, patrzeć, jak pies zmienia się w człowieka! Ale pies podreptał w inną stronę.

Nieskończone jest miłosierdzie, bezgraniczna łaska Niebios. Oszczędziły go, przebaczyły mu chwilę słabości. Ale jak wytłumaczyć naukowo to zjawisko? (bo do wszystkiego trzeba mieć podejście naukowe). Skąd się bierze ten jego dar widzenia na wskroś poprzez ciała, widzenia przyszłości, kiedy psy staną się ludźmi? Prawdopodobnie jest to wpływ fali ciepła na mózg wysublimowany podczas miliardów lat ewolucji. W sensie ściśle naukowym ciało roztapia się poza światem. Jego ciało jest zmacerowane i zostały tylko włókna nerwowe; jest rozpięte jak tiulowy welon na skale.

Oparł się plecami o krzesło, wyczerpany, ale podniesiony na duchu. Leżał i odpoczywał, czekał, zanim zacznie znów - w trudzie, w męce - przekazywać ludzkości nowe prawdy. Leżał bardzo wysoko, na szczycie świata. Pod nim dygotała ziemia. Czerwone kwiaty wyrastały mu na ciele, słyszał w uszach szelest ich sztywnych liści. Od wysokich ścian skalnych odbijało się echo muzyki. - To klakson samochodu na ulicy - wyszeptał Septimus; ale tu u niego, na szczytach, muzyka odbijała się od ściany do ściany, dzieliła się, rozszczepiała, łączyła znów w wybuchach dźwięków tworzących gładkie kolumny (nowe odkrycie: muzyka jest widzialna!) i w końcu stawała się hymnem, hymnem, który wirował ulatując z fujarki pastuszka (- To stary żebrak grający na flecie przed barem - wymamrotał Septimus), hymnem, który spływał z fujarki jak cichy świergot, gdy chłopiec stał, lecz gdy ^{ws}pinał się wyżej na skały, zawodził rozpaczliwym lamentem płynącym ponad wrzawą uliczną. Ten chłopiec gra swoją elegię pośród wrzawy ulicznej, pomyślał Septimus. Ale teraz odchodzi w śniegi i girlandy róż zwisają wokół niego - tych mięsistych czerwonych róż, które rosną na ścianach w moim pokoju. Muzyka zamilkła. Żebrak dostał swojego pensa i poszedł grać pod następny bar.

Ale on, Septimus, został wysoko na skale, jak żeglarz-topielec na skale. Wychyliłem się z łodzi i wpadłem do wody, pomyślał. Poszedłem na dno morza. - Byłem umarły, a jednak jestem teraz żywy, ale pozwólcie mi jeszcze odpocząć - błagał (znów mówi do siebie na głos, to straszne, straszne!). I podobnie jak tuż

przed obudzeniem głosy ptaków i skrzypienie kół złączone w zadziwiającej harmonii stają się coraz głośniejsze, a człowiek uśpiony czuje, że zbliża się powoli do brzegów życia, tak teraz Septimus czuł, że zbliża się do życia; bo słońce grzało goręcej, dźwięki były wyraźniejsze, za chwilę miało zdarzyć się coś zadziwiającego.

Wystarczy otworzyć oczy, ale miał na oczach ciężar; strach. Zebrał wszystkie siły; dźwignął powieki, spojrzał, zobaczył przed sobą Regenfs Park. Długie promienie słońca łaściły mu się do nóg. Drzewa powiewały, wymachiwały gałęziami. Witam was, zdawał się mówić świat. Przyjmuję, tworzę. Tworzę piękno, zdawał się mówić świat. I aby tego dowieść (naukowo), gdziekolwiek Septimus spojrzał - na domy, na sztachety, na antylopy wyciągające szyje nad ogrodzeniem - tam natychmiast wyrastało piękno. Samo patrzenie na liście poruszające się w podmuchach wiatru było najczystsza radością. Wysoko na niebie jaskółki zataczały kręgi, podrywały się, spadały, krążyły, krążyły, ale wciąż w idealnym porządku, jak gdyby były połączone gumką; muchy wznosiły się, opadały, słońce dotykało raz tego listka, to znów innego, barwiąc je dla żartu, w przyplýwie dobrego humoru, łagodnym połyskiem złota, od czasu do czasu zaś srebrny dzwonek (może klakson samochodu) grał niebiańską melodię na źdźble trawy. Wszystko to, tak teraz spokojne i normalne, powstałe z rzeczy tak zwyczajnych, wszystko to było teraz prawdą; prawda była pięknem. Piękno było wszędzie.

- Już czas - powiedziała Recja.

Słowo „czas” przebiło się przez swoją łupinę; obdarzyło Septimusa swoimi skarbami, a z jego ust posypały się - same - jak łuska, jak wióry z drzewa, twarde, białe, niezniszczalne słowa, które uleciawszy trafiły na właściwe miejsce w odzie do czasu; w nieśmiertelnej odzie do czasu. Septimus śpiewał, Evans odpowiadał mu zza drzewa. Umarli mieszkają w Tesalii, pośród gajów orchide-owych, śpiewał Evans. Tam czekali końca wojny, ale teraz umarli, teraz Evans...

- Na miłość boską, nie zbliżaj się! - zawołał Septimus. Bo nie mógł znieść widoku umarłych.

Ktoś jednak rozchylił gałęzie. Szedł ku nim mężczyzna w szarym ubraniu. To Evans! Ale nie widać na nim błota, nie jest ranny, nie jest zmieniony. - Muszę powiedzieć światu - zawołał Septimus podnosząc rękę (umarły w szarym ubraniu był coraz bliżej), podnosząc rękę jak kolos, co przez wieki, samotny na pustyni, oplakiwał dolę człowieczą, z twarzą w dłoniach, twarzą poraną bruzdami rozpaczy, a teraz widzi światło na krańcu pustyni, światło rozszerzające się, padające na czarną postać kolosa (Septimus na pół podniósł się z krzesła) i teraz on, ów gigantyczny żalobnik, za którego plecami ziemia zasłana jest ludźmi, czuje przez sekundę na twarzy...

- Septimus! Jestem taka strasznie nieszczęśliwa! _ powiedziała Recja, usiłując go przytrzymać na krześle.

Nieprzebrane rzesze lamentowały; smuciły się przez wieki. Ale on wstanie i powie im za kilka chwil, już za kilka chwil, o tej uldze, tej radości, tym zadziwiającym objawieniu...

- Już czas - powtórzyła Recja. - Która godzina?

Mówił dalej; podnosił się z krzesła, aby go umarły dostrzegł. Umarły patrzył na nich.

- Powiem ci, która godzina - odparł Septimus. Mówił bardzo powoli, sennie, uśmiechając się tajemniczo do umarłego w szarym ubraniu. I gdy tak siedział uśmiechając się, zegar wybił trzy kwadranse, trzy kwadranse na dwunastą.

Tak to bywa, gdy się jest młodym, pomyślał Piotr Walsh przechodząc obok nich. Potwornie się klóć - ta biedna dziewczyna ma naprawdę tragiczną twarz - od samego rana. Ale o co im poszło? zastanawiał się. Co ten młody mężczyzna w płaszczu powiedział, że dziewczyna tak teraz wygląda? Co się stało, że oboje mają wyraz tak bezgranicznej rozpaczy na twarzach? Najzabawniejsze jest to, że kiedy wraca się do Anglii po pięciu latach, wszystko jest jakby nowe, jakby

widziane po raz pierwszy w życiu; kłótnia zakochanych pod drzewem, życie rodzinne parków. Nigdy Londyn nie wydawał mu się tak zachwycający; łagodne kontury rzeczy widzianych z oddalenia, bogactwo kształtów, zieleń, cywilizacja - po Indiach, myślał idąc na przełaj przez trawnik.

Wiedział, że ta wrażliwość uczuć i zmysłów jest jego klęską. Mimo swoich lat wciąż jeszcze podlegał - jak młody chłopiec czy dziewczyna - częstym zmianom nastroju, miewał bez żadnego wyraźnego powodu dobre dni i złe dni, ładna twarz dawała mu szczęście, wpadał w rozpacz na widok brzydoty. Naturalnie po powrocie z Indii człowiek zakochuje się w każdej spotkanej kobiecie. Mają w sobie tyle świeżości, nawet te najbiedniejsze ubierają się lepiej niż przed pięciu laty i moda chyba nigdy nie była tak twarzowa: długie czarne płaszcze, smukła sylwetka, elegancja i ten zachwycający, niemal powszechny zwyczaj malowania twarzy. Wszystkie kobiety, nawet te najbardziej liczące się z konwenansami, mają sztuczne róże na policzkach, wargi wykrajane nożem i czarne jak tusz loki. Wszędzie dekoracja, wszędzie sztuka; dokonała się jakaś przemiana. O czym myślą teraz młodzi? - zapytywał się w duchu Piotr Walsh.

Przypuszczał, że te lata - od 11 do 1 - były w jakimś sensie niesłychanie ważne. Ludzie wyglądali teraz inaczej. Gazety wydawały się inne. Na przykład w jednym z najszacowniejszych tygodników ktoś pisał zupełnie otwarcie o klozetach. Przed dziesięciu laty było nie do pomyślenia, żeby ktoś pisał otwarcie o klozetach w szacownym tygodniku. Albo to, że kobiety wyjmują szminkę czy puszek i malują się publicznie! Na statku, w drodze powrotnej z Indii, spotkał mnóstwo młodych dziewcząt i chłopców (pamiętał zwłaszcza jedną parę, Betty i Bertie), którzy zupełnie otwarcie ze sobą romansowali. Stara matka robiąca na drutach przyglądała im się spokojnie. Zdarzało się, że dziewczyna wyciągała puderniczkę i na oczach wszystkich pudrowała sobie nos. Nie byli bynajmniej zaręczeni, ot, bawili się tylko, nikt nikomu nie łamał serca. Twarda dziewczyna, ta Betty, ale z gruntu porządna. Jak dojdzie do trzydziestki, weźmie sobie męża, jeśli będzie miała na to ochotę; wyjdzie za mąż za bogatego człowieka i

zamieszka we wspaniałym domu pod Manchesterem.

Zaraz... zaraz! Kto tak zrobił? zastanawiał się Piotr Walsh, skręcając w szeroką aleję. Kto wyszedł za mąż i zamieszkał we wspaniałym domu w pobliżu Manchesteru? Ktoś, kto napisał do niego niedawno długi list, wylewny list o „niebieskich hortensjach”. Widok niebieskiej hortensji przywiódł jej na myśl jego, Piotra, i dawne czasy... Sally Seton, no naturalnie! Sally była chyba ostatnią osobą na świecie, którą posądzałoby się o to, że wyjdzie za mąż za bogatego człowieka i zamieszka we wspaniałym domu w pobliżu Manchesteru - dzika, zuchwała, romantyczna Sally!

Ale z całej tej dawnej gromady przyjaciół Klarysy - spośród wszystkich Whitbreadów, Kinder-sleyów, Cunnighamów, Kinloch-Jonesów - Sally była najwięcej warta. W każdym razie brała rzeczy od właściwej strony. W każdym razie pierwsza przejrzała Hugh Whitbreada - niezrównanego Hugh - podczas gdy Klarysa i oni wszyscy leżeli przed nim plackiem.

- Whitbreadowie? - powiedziała. Piotr pamięta jeszcze te słowa. - Któż to są Whitbreadowie? Kupcy węglowi. Ogólnie szanowani kupcy węglowi!

Nie cierpiała Hugh z takiego czy innego powodu. Hugh myśli tylko i wyłącznie o swoim wyglądzie, mówiła. Powinien się być urodzić księciem. Na pewno poślubiłby księżniczkę z królewskiego rodu. To prawda, że Piotr nie znał nikogo, kto darzyłby angielską arystokrację większym, bardziej instynktownym, głębszym uwielbieniem niż Hugh Whitbread. Nawet Klarysa musiała to przyznać. Och, kiedy on jest taki kochany, taki nieego-istyczny, wyrzekł się polowań, żeby zrobić przyjemność starej matce, pamiętał o imieninach ciotek, i tak dalej, i dalej...

Trzeba przyznać, że Sally bardzo szybko go przejrzała. Jedno z najżywszych wspomnień Piotra to dyskusja prowadzona kiedyś w niedzielę rano w Bourton na temat (przedpotopowy temat!) praw kobiet. Nagle Sally straciła cierpliwość i rozwścieczona powiedziała Hughowi, że on przedstawia sobą wszystko to, co jest najohydniejsze w angielskim mieszczaństwie. Powiedziała mu, że to on jest

odpowiedzialny za niedolę „tych biednych dziewcząt z Piccadilly” - Hugh, ten wzór dżentelmena, biedny Hugh! Piotr chyba nigdy nie widział takiej zgrozy na twarzy człowieka. Sally powiedziała mu potem, że robiła to naumyślnie (bo mieli zwyczaj spotykać się w ogrodzie warzywnym i porównywać wrażenia). - Nic nigdy nie czytał, w głowie ma zupełną pustkę, nic nie odczuwa - mówiła Sally z emfazą, głosem donioślejszym niż jej się zdawało. - Pierwszy lepszy chłopak stajenny ma w sobie więcej życia niż Hugh - mówiła. - Jest klasycznym okazem wychowanka angielskiej ekskluzywnej szkoły - mówiła. - Żaden kraj prócz Anglii nie potrafiłby wyhodować takiego typu. - Była z jakiegoś powodu naprawdę zjadliwa; miała jakąś pretensję do Hugh’a. O coś, co się zdarzyło w palarni... Piotr nie pamiętał już, co. Hugh ją obraził... może pocałował? Nie, to nieprawdopodobne! Naturalnie nikt by nie uwierzył, że Hugh jest zdolny zrobić coś niewłaściwego. Pocałować Sally w palarni? Ależ skąd! Może gdyby to była jakaś jaśnie wielmożna Edith czy jakaś lady Violet... ale nigdy ta obdarta Sally bez pensa przy duszy, której ojciec czy matka tracili resztę pieniędzy w Monte Carlo! Bo spośród wszystkich znanych Piotrowi ludzi Hugh był największym snobem, najbardziej służalczym - choć nie można powiedzieć, żeby się płaszczyl. Miał na to za bardzo przewrócone w głowie. Najtrafniejsze jest chyba porównanie go do lokaja, doskonałego lokaja; to ktoś, kto szedł z tyłu niosąc walizki; komu można było powierzyć wysłanie pilnego telegramu; ktoś bezcenny dla każdej pani domu wydającej przyjęcie. No i znalazł sobie miejsce w życiu, ożenił się ze swoją jaśnie wielmożną Edith; i dostał małą posadkę przy dworze, pilnuje królewskich piwnic, czyści sprzączki przy królewskich butach i paraduje w czarnych spodniach do kolan, w koronkowym żabocie. Jakże okrutne bywa życie! Mała posadka na dworze!

Ożenił się z tą swoją jaśnie wielmożną Edith i mieszkają gdzieś tutaj (pomyślał Piotr, patrząc na okazałe fasady domów wokół parku). Bo zaprosili go kiedyś na lunch, do domu, w którym było coś (jak we wszystkim, co należało do Hugh’a), czego nie mogło być w żadnym innym domu na świecie...

powiedzmy, szczególne szafy na bieliznę. Trzeba było oglądać te szafy, trzeba było tracić Bóg wie ile czasu na podziwianie - czy to szaf na bieliznę, czy to poszewek, czy starych mebli dębowych, czy obrazów, które Hugh kupił gdzieś za bezcen. Ale zdarzało się, że pani Whitbread wszystko psuła. Była drobną, cichą kobietą o mysim wyglądzie; takie kobiety uwielbiają dużych mężczyzn. Była osobą niemal zupełnie pozbawioną znaczenia. Nagle jednak mówiła coś nieoczekiwanego, coś ostrego. Może odzywały się wtedy pozostałości jej wielkopańskiego wzięcia. Dym węglowy był jej niemiły, powietrze stawało się od niego takie ciężkie! No i tak sobie żyli, pośród tych swoich szaf na bieliznę, starych mistrzów i poszewek obszytych prawdziwą koronką, wydając pewnie pięć czy dziesięć tysięcy funtów na rok, podczas gdy on, Piotr, który jest dwa lata starszy od Hugh'a, będzie musiał zebrać o posadę.

W pięćdziesiątym trzecim roku życia będzie musiał iść do nich i prosić, żeby go umieścili w jakimś biurze, żeby mu dali posadkę nauczyciela uczącego małych chłopców łaciny, urzędniczyny gotowego na każde skinienie szefa - coś, co mu przyniesie pięćset funtów na rok. Bo jeśli się ożeni z Daisy, sama emerytura nie wystarczy i będzie musiał tyle zarobić. Whitbread mógłby mu taką posadę znaleźć; albo Dalloway. Prośenie o pomoc Dalloway-a nie zrobi mu przykrości. To niezwykle porządny człowiek, trochę ograniczony, trochę tępawy, tak. Ale niezwykle porządny. Czegokolwiek się podejmie, doprowadzi do końca zawsze w ten sam rzeczowy, rozsądny sposób - bez iskierek wyobraźni, bez śladu błyskotliwości, ale z niezwykłą gładkością typową dla ludzi jego pokroju. Powinien mieszkać na wsi, być ziemianinem, szkoda go na politykę. Najkorzystniej przedstawiał się pod gołym niebem, pośród psów i koni; na przykład jaki był wspaniały tego dnia, kiedy wielki, kudłaty pies Klarysy złapał się w potrzask i miał zmiażdżoną łapę. Klarysa o mało co nie zemdląła, a Dalloway zrobił wszystko, co trzeba - zabandażował, założył łupki i powiedział Klarysie, żeby nie była idiotką. Może właśnie za to go lubiła, może to jej było potrzebne. - Kochanie, nie bądź idiotką. Trzymaj to... podaj tamto. - I cały czas

mówił do psa, jakby ten kudłacz był człowiekiem.

Ale jak ona mogła przełknąć te wszystkie bzdury o poezji? Jak mogła pozwolić mu na te perory o Szekspirze? Poważny, uroczysty Ryszard Dalloway stanął na tylnych łapkach i oznajmił, że żaden przyzwoity człowiek nie powinien czytać sonetów Szekspira, bo to jest tak, jakby ktoś podsłuchiwał pod drzwiami (poza tym nie pochwalał samego związku). Żaden przyzwoity człowiek nie powinien pozwolić żonie, żeby odwiedzała siostrę jego zmarłej żony. Nieprawdopodobne! Właściwie można było zareagować na to w jeden tylko sposób: obrzucić go cukrzonymi migdałami, bo rozmowa toczyła się przy obiedzie. Ale Klarysa przełknęła te wszystkie bzdury; uważała, że dowodzą J^og^o uczciwości, jego samodzielności w myśleniu. Bóg raczy wiedzieć, czy nie uznała go za jeden z najoryginalniejszych umysłów epoki!

To była jedna z więzi łączących go z Sally. Mieli zwyczaj przechadzać się po ogrodzie warzywnym otoczonym wysokim parkanem, pełnym róż i olbrzymich kalafiorów - pamięta, że Sally zerwała różę, że zachwycała się pięknem liści kapuścianych w blasku księżyca (jak zdumiewająco żywe wracają wspomnienia spraw, o których nie myślał od lat), cały czas błagając go, naturalnie półzartem, żeby porwał Klarysę, żeby ją ratował przed Hug-hami, Dallowayami i całą resztą tych „wzorowych dżentelmenów”, którzy „zabijają w niej duszę” (Sally pisywała wtedy poezję), zrobią z niej klasyczną panią domu i rozbudzą instynkty światowej damy. Ale trzeba oddać Klarysie sprawiedliwość. Nie miała zamiaru wyjść za Hugha. Doskonale wiedziała, czego chce. Jej uczuciowość była powierzchowna. Głębiej Klarysa była bardzo przenikliwa, dużo lepiej znała się na ludziach niż Sally, a przy tym wszystkim miała mnóstwo kobiecości; miała ów szczególny, właściwy kobietom dar tworzenia własnego świata wszędzie tam, gdzie się przypadkiem znalazła. Wchodziła do pokoju; stawała na progu (często ją tak widywał) otoczona mnóstwem osób. Ale pamiętało się tylko Klarysę. Nie znaczy to, że jej uroda była uderzająca; Klarysa nie była piękna, nie była efektowna, nie mówiła nigdy nic specjalnie

błyskotliwego. Ale stała tam na progu, była.

Nie, nie, nie! Nie kocha jej już! Tyle tylko, że po tym dzisiejszym spotkaniu, po tym, jak ją widział tego ranka, z nożyczkami i jedwabiem na kolanach, przygotowującą się na wieczorne przyjęcie, nie może przestać o niej myśleć; ona wraca wciąż do niego, jak pasażer uspiiony na ławce wagonu, poszturchujący sąsiada, co naturalnie nie jest miłością. Po prostu myśli o niej, krytykuje ją, po trzydziestu latach usiłuje ją zrozumieć. Najbardziej uderza w Klarysie jej światowość, to, że przywiązuje nadmierną wagę do pozycji, do towarzystwa, do sukcesów życiowych, co w pewnym sensie jest prawdą; sama to przyznawała. (Jeżeli ktoś zadał sobie trud, mógł zmusić Klarysę do przyznania słuszności. Klarysa była szczera.) Ale mówiła za-ws"ze, że nie cierpi niedojdów, pomyleńców, wyko-lejeńców (prawdopodobnie takich jak on). Uważała, że człowiek nie ma prawa wałkonić się z rękami w kieszeniach, że powinien robić coś, być kimś; a cały ten elegancki świat, wszystkie te księżne i stuletnie hrabiny spotykane w jej salonie, które dla Piotra nie znaczyły nic, absolutnie nic, dla Klarysy przedstawiały jakąś wartość naprawdę rzeczywistą. Lady Bexborough, powiedziała kiedyś Klarysa, trzyma się bardzo prosto (Klarysa też; nigdy nie pozwalała sobie na niedbałość, w żadnym sensie tego słowa; była prosta jak trzcina, może nawet trochę sztywna). Według niej te stare arystokratki odznaczały się odwagą, którą ona z wiekiem coraz bardziej ceniła. We wszystkim tym był naturalnie ogromny wpływ Dallowaya; mnóstwo z ducha klasy rządzącej - bardzo brytyjsko-imperialnego ducha, przejętego dobrem publicznym, reformą podatkową - który ją opanował, jak to zwykle bywa. Chociaż była dwakroć inteligentniejsza od Ryszarda, musiała patrzeć na świat jego oczyma, co jest jedną z tragedii życia małżeńskiego. Chociaż umiała myśleć samodzielnie, zawsze musiała go cytować - jak gdyby nie było dokładnie wiadomo, co myśli Ryszard po przeczytaniu egzemplarza „Morning Post”! Na przykład te przyjęcia urządzała dla niego, a raczej dla własnego wyobrażenia o nim (trzeba oddać Ryszardowi sprawiedliwość, że czułby się

dużo szczęśliwszy na farmie w Norfolk). Zrobiła ze swojego salonu miejsce spotkań, była w tych sprawach geniuszem. Ileż razy Piotr widział, jak brała w ręce jakiegoś młodego chłopca i lepila go niczym glinę, ciosała, budziła, puszczała w ruch. Naturalnie gromadziły się wokół nieprzebrane zastępy najrozmaitszego rodzaju nudziarzy. Ale czasem zjawiał się ktoś niezwykle, nieoczekiwany, niekiedy malarz, niekiedy pisarz - dziwolągi w tej atmosferze. A w głębi za tym wszystkim rozciągała się sieć wizyt, zostawiania biletów wizytowych, uprzejmości, uganianie z bukietami kwiatów i drobnymi podarkami: ten a ten jedzie do Francji - trzeba mu dać w prezencie poduszkę nadmuchiwaną powietrzem. Jak to wysysa siły - ten bezustanny ruch, w którym żyją kobiety jej rodzaju; tylko że ona robiła to szczerze, jakby z naturalnej potrzeby.

Chociaż wydaje się to dziwne, Klarysa była jednym z największych sceptyków, jakich Piotr spotkał w życiu, i prawdopodobnie (toeretyczne założenie, za pomocą którego usiłował zrozumieć tę kobietę - tak przejrzystą pod pewnymi względami, tak nieprzeniknioną pod innymi), prawdopodobnie mówiła sobie: skoro jesteśmy gatunkiem przeklętym, przykutym łańcuchami do tonącego statku (jej ulubieni pisarze młodości, Huxley i Tyndall, mieli słabość do tego rodzaju marynistycznych metafor), skoro życie jest kiepskim żartem, róbmy przynajmniej to, co do nas należy; starajmy się łagodzić udrękę naszych towarzyszy więzienia (znów Huxley), ozdabiajmy lochy kwiatami i poduszkami nadmuchiwanymi powietrzem; bądźmy prawi w miarę naszych możliwości. Niech ^o łajdacy, bogowie, nie mają zbyt łatwego zadania; wierzyła bowiem, że bogowie, którzy wykorzystują każdą okazję, żeby pokrzyżować, złamać, zniszczyć życie ludzkie, tracą kontenans, jeżeli powiedzmy, ona zachowuje się jak prawdziwa dama. Ta faza rozpoczęła się tuż po śmierci Sylwii. Potworny wypadek! Patrząc na śmierć własnej siostry zmiażdżonej walącym się drzewem (wszystko wina starego Parry'ego, wina jego niedbalstwa), dziewczyny wchodzącej dopiero w życie, i według Klarysy najzdolniejszej z nich

wszystkich! Takie przeżycie dostatecznie tłumaczy cały sceptycyzm. Później Klarysa nie była już o tym tak przekonana; uważała, że nie ma bogów; nikt nie ponosi winy. Wtedy stworzyła sobie tę ateistyczną religię czynienia dobra w imię dobroci.

I naturalnie była w Klarysie ogromna radość życia. Leżało to w jej naturze (choć Bóg jeden wie, że miewała swoje zahamowania; nawet on, po tych wszystkich latach, nie potrafi dać pełnego jej obrazu, co najwyżej szkic). W każdym razie nie było w Klarysie ani cienia goryczy; nie było świadomości własnych cnót moralnych, tej odpychającej cechy porządnych kobiet. Cieszyło ją właściwie wszystko; klomb tulipanów na spacerze w Hyde Parku albo dziecko w wózku, albo absurdalny mały dramat, który wymyślała na poczekaniu. (Zupełnie możliwe, że gdyby ci zakochani wydali się jej nieszczęśliwi, podeszłaby do nich i wszczęła rozmowę.) Miała niezrównany dar rozśmieszania innych, ale musiała mieć wokół siebie ludzi, wciąż musiała mieć wokół siebie ludzi, żeby go demonstrować, co prowadziło naturalnie do tego marnotrawstwa czasu na lunche, kolacje, na te bezustanne przyjęcia, na rozmowy o głupstwach, na mówienie rzeczy, których nie myślała - cały czas spływając inteligencją, stępując bystrością sądu o rzeczach. Siedziała na przykład na głównym miejscu przy stole i wychodziła wprost ze skóry, żeby zabawić jakiegoś starego półgłówka, który mógł się przydać Dallowayowi - znali wszystkich najpotworniejszych nudziarzy w Europie; albo nagle wpadają do pokoju Elżbieta i wszystko inne stawało się nieważne. Podczas jego ostatniego pobytu Elżbieta chodziła jeszcze do szkoły średniej i była w charakterystycznym dla jej wieku stadium skrytości; blade stworzenie o okrągłych oczach, zupełnie niepodobne do matki, milcząca, apatyczna dziewczyna, która przyjmowała to wszystko jako rzecz najnaturalniejszą w świecie, pozwalała matce robić mnóstwo zamieszania wokół swojej osoby, a potem pytała: - Czy mogę już iść? - jak gdyby była czteroletnim dzieckiem; a Klarysa tłumaczyła, z ową mieszaniną rozbawienia i dumy, którą budził w niej również Dalloway, że

Elżbieta poszła grać w hokeja na trawie. Teraz Elżbieta „weszła” już prawdopodobnie „w świat”; uważa jego, Piotra, za starego głupca i naśmiewa się z przyjaciół matki. Niech tam! Rekompensata starzenia się, pomyślał Piotr Walsh wychodząc z Regent's Park, z kapeluszem w ręku, polega na tym, że namiętności nie tracą nic ze swej siły, ale człowiek zdobywa - nareszcie! - pewną umiejętność, która nadzwyczajnie poprawia smak życia, umiejętność posługiwania się własnym doświadczeniem, dokładnego zbadania go, obejrzenia ze wszystkich stron, w świetle.

Straszne wyznanie (włożył kapelusz na głowę), ale w pięćdziesiątym trzecim roku życia nie potrzebuje się już ludzi. Samo życie, każda chwila życia, każda kropla, tu, w tej sekundzie, teraz w słońcu, w Regent's Parku - to dosyć. Teraz, kiedy posiada się już tę umiejętność, całego życia nie starczy, żeby wydobyć wszystek smak; żeby wydobyć każdy łut przyjemności, każdy odcień znaczenia, które są obecnie o tyle rzeczywistsze o tyle mniej osobiste niż dawniej. Nigdy już nie będzie tak cierpieć, jak cierpiał przez Klarysę Całymi godzinami (oby Bóg dał, żeby można był_o mówić takie rzeczy nie będąc słyszany!), całymi godzinami i całymi dniami nie myśli o Daisy.

Czy ją więc kocha? Czy pamiętając mękę, tortury, namiętność tamtych dni może to uczucie nazwać miłością? To jest zupełnie inna sprawa, znacznie przyjemniejsza, bo przecież teraz ona kocha jego. Może tym się tłumaczy, że kiedy statek odpłynął, Piotr poczuł tak niewypowiedzianą ulgę, pragnął jedynie samotności; że zirytowały go wszystkie drobne dowody pamięci Daisy: cygara, kartki, pled na drogę w kabinie. Każdy uczciwy człowiek powie to samo: po pięćdziesiątce niepotrzebni są już ludzie; nie ma się już ochoty mówić kobietom, że są ładne. Wszyscy ludzie po pięćdziesiątce - jeżeli są szczerzy - powiedzą to samo.

Ale skąd ten niespodziewany przypływ uczuć, te łzy dzisiejszego ranka... co to wszystko znaczy? Co sobie Klarysa o nim pomyślała? Pomyślała zapewne - i to nie po raz pierwszy - że jest głupcem. Kryła się za tym zazdrość, zazdrość,

która żyje dłużej niż wszystkie inne namiętności ludzkie. Daisy napisała mu w ostatnim liście, że widziała się z majorem Orde; napisała to rozmyślnie, Piotr wiedział; napisała, żeby wzbudzić w nim zazdrość; widział ją niemal, jak marszczy brwi szukając słów, które go zranią. A mimo to jest wściekły! Przecież nie dlatego zdecydował się na ten cały kłopot przyjazdu do Anglii i rozmów z adwokatami, żeby się z nią ożenić, tylko żeby uniemożliwić jej wyjście za męża za kogoś innego. To jest powód jego udręki, to właśnie spadło na niego, kiedy zobaczył Klarysę tak spokojną, tak chłodną, tak pochłoniętą szyciem sukni czy czegoś tam; to, że uświadomił sobie nagle, przed czym Klarysa mogła go ustrzec i co z niego zrobiła... rozmazanego, płaczącego starego osła. Ale kobiety, pomyślał Piotr zamykając scyzoryk, nie mają pojęcia, czym jest namiętność. Nie wiedzą, ile namiętność znaczy dla mężczyzny. Klarysa jest zimna jak sople lodu. Siedziała obok niego na kanapie, pozwoliła mu się wziąć za rękę, cmoknęła go w policzek... Zbliżał się właśnie do skrzyżowania.

Zatrzymał go dźwięk; kruchy, drżący dźwięk, głos mamroczący bez kierunku, bez początku czy końca, zawodzący słabo i piskliwie pieśń odartą z wszelkiej treści:

ee um fah um so foo swee too eem oo...¹

głos bez wieku i bez płci, głos pradawnego źródła bijącego z ziemi; głos, który wydawała z siebie stojąca naprzeciwko stacji kolei podziemnej Re-gent's Park wysoka i drżąca postać przypominająca komin, przypominająca zardzewiałą rurę, smagane wichrami drzewo odarte z liści, które pozwala, aby wiatr hulał i śpiewał w jego gałęziach:

ee um fah um so foo swee too eem oo...

i kołysze się, chwieje, zawodzi w bezustannych podmuchach wichury.

Przez wszystkie wieki - kiedy bruk uliczny był trawą, kiedy był bagniskiem, przez wieki kłów i mamutów, przez wieki milczących wschodów słońca, ta wyniszczona kobieta - bo postać nosiła Słowa są celtyckie, niezrozumiałe dla

Piotra. Ich sens jest mniej więcej taki: O biada mi, już nie ma go.

suknię - z prawą ręką wyciągniętą, lewą przyciśniętą do boku, stała śpiewając o miłości. Miłość, śpiewała kobieta, która ma milion lat, która zwycięża wszystko, bo milion lat temu jej ukochany, który umarł przed wiekami, przechadzał się z nią, śpiewała, i był maj; ale gdy minęły wieki długie jak dni letnie i płonące, pamięta, czerwonymi astrami, ukochany ją rzucił; ogromna kosa śmierci zmiotła z powierzchni te podniebne góry; a gdy wreszcie ona, przerażająco stara, złoży swą siwą głowę na ziemi, która będzie już wtedy tylko garstką wystygłego popiołu, poprosi bogów, aby położyli przy niej wiązkę fioletowego wrzosu - tam, na podniebnej mogile, muskanej ostatnimi promieniami ostatniego słońca; bo wtedy skończy się widowisko wszechświata.

Gdy dźwięki tej pradawnej pieśni bulgotały naprzeciwko stacji Regens Park, ziemia była wciąż zielona i usiana kwiatami; a chociaż wydobywały się z ust tak pospolitych - podobnych raczej zwykłej dziurze w ziemi, błotnistej, oblepionej płataniną traw i korzeni - to jednak ta bulgocąca, szemrząca pradawna pieśń przeciekała przez gęstwinę wieków, przez szkielety i drogie sercu pamiętki i płynęła strugami po bruku Marylebone Road i dalej ku Euston, użyźniała, pozostawiała swój wilgotny ślad.

Wciąż pamiętając, że ongiś, jakiegoś pradawnego majowego dnia przechadzała się ze swym ukochanym, ta przyrdzewiała pompa, ta wyniszczona kobieta z jedną ręką wyciągniętą po jałmużnę i drugą przyciśniętą do boku będzie nadal stała za miliony lat, będzie nadal pamiętać, jak ongiś przechadzała się w maju - tam, gdzie teraz huczy morze - mniejsza o to, z kim. Był mężczyzną, o tak, mężczyzną, który ją kochał. Ale pochód wieków zmaćcił czystość tego pradawnego majowego dnia i pokrył szronem, ściał mrozem barwne kielichy kwiatów; i gdy prosiła ukochanego (słowa pieśni brzmiały teraz bardzo wyraźnie): „Niech twoje drogie oczy zajrzą w głąb mej duszy”, nie widziała już ani piwnych oczu, ani czarnych włosów, ani opalonej twarzy, tylko majaczący kształt, kształt utkany z cienia, do którego świergotała z ptasim

zapalem ludzi bardzo starych. „Podaj mi dłoń, zamknę ją w łagodnym uścisku” (Piotr Walsh wsiadając do taksówki nie mógł się powstrzymać i dał nieszczęśliwej monetę). „Jeśli nas zobaczą, miły mój, to co?”, zapytywała; i z pięścią przyciśniętą do boku, uśmiechnięta, schowała szylinga; i zdawało się, że znikają natrętne, ciekawe spojrzenia, że ciżba ludzka - chodniki były zatłoczone - znika jak liście, które ta wieczna wiosna zdepcze, zmiażdży, zrosi i obróci w nawóz.

ee um fah um so foo swee too eem oo...

- Biedna kobieta! - powiedziała Recja Warren Smith. - Och, biedna, nieszczęsna starowina! - powiedziała, czekając na przejście przez ulicę.

A jeżeli wieczorem zacznie padać deszcz? A gdyby tak jej ojciec albo ktoś, kogo znała w lepszych czasach, przechodził tędy przypadkiem i zobaczył ją stojącą w rynsztoku? I gdzie się podziewa w nocy?

Pogodnie, niemal radośnie niezniszczalna nic dźwięków wzbijała się w powietrze jak dym z wiejskiego komina, oplatała czerwone buki i wyrastała kitą niebieskiego dymu pośród najwyższych konarów. „A jeśli nas, miły mój, zobaczą, to co?”

Odkąd Recja była tak bardzo nieszczęśliwa (od wielu, wielu tygodni), dopatrywała się ukrytego sensu we wszystkich drobnych wydarzeniach i często miewała wprost nieodpartą chęć zatrzymywać przechodniów na ulicy - jeżeli wyglądali na zacnych, dobrych ludzi - po to tylko, żeby im powiedzieć: jestem nieszczęśliwa. Widok tej starej kobiety śpiewającej na ulicy: „jeżeli nas zobaczą, miły mój, to co?”, zbudził w niej przekonanie, że wszystko skończy się dobrze. Idą do sir Williama Bradshaw; to takie ładne nazwisko, pomyślała Recja; sir William Bradshaw natychmiast wyleczy Septimusa. No i ta furgonetka browaru zaprzężona w siwe konie, którym sterczą z ogonów źdźbła słomy; te afisze reklamowe dzienników. Cóż to za głupie, głupie przywidzenie - czuć się nieszczęśliwą.

Oto idą państwo Warren Smith, przechodzą na drugą stronę ulicy i

powiedźcie, czy naprawdę jest w nich coś, co zwraca uwagę, co zbudziłoby w przechodniu podejrzenie, że ten młody mężczyzna niesie zamknięte w sercu największe posłannictwo dla świata, że, co więcej, jest najszczęśliwszym i jednocześnie najbardziej nieszczęśliwym z ludzi? Może idą trochę wolniej niż inni przechodnie, może w chodzie mężczyzny jest wahanie, ociąganie się, ale czy można się dziwić, że urzędnik, który od lat nie zaglądał w dzień powszedni i o tej porze na West End, patrzy w niebo, patrzy tu, tam, jak gdyby Portland Place był pokojem, do którego wszedł podczas nieobecności właścicieli; kandelabry okryte są płótnem, a gospodyni podnosi róg zasłony i podczas gdy długi, zmatowiały od kurzu promień słońca pada na opustoszałe fotele o dziwacznym wyglądzie, ona tłumaczy zwiedzającemu, jak piękny jest ten pokój; jak piękny, myśli Sep-timus, i jednocześnie jak dziwaczny.

Z wyglądu można by go wziąć za urzędnika, ale urzędnika na wyższym stanowisku; bo ma na nogach brązowe półbuty i jego dłonie są dłońmi człowieka wykształconego, podobnie jak profil _ kanciasty profil o wydatnym nosie, inteligentny, wrażliwy; nie można tego powiedzieć o ustach, bo usta ma miękkie, obwisłe, a jego oczy, jak to często bywa, są tylko oczami: jasnoorzechowymi, ogromnymi oczami; ogólnie rzecz biorąc można 0 uznać za coś pośredniego między jednym a drugim - ani to, ani tamto. Może za kilka lat będzie miał willę w Purley i samochód, a może do końca życia będzie wynajmował mieszkanie na nędznej ulicy; jeden z tych niedokształconych samouków, którzy czerpali całą wiedzę z książek wypożyczonych w bibliotekach publicznych, czytanych wieczorami, po pracy, według wskazówek otrzymanych w liście od znanego pisarza.

Jeśli idzie o inne doświadczenia, o doświadczenia, które człowiek gromadzi w samotności - w czterech ścianach własnego pokoju, w biurze, wędrując po ścieżkach wiejskich, po ulicach Londynu - zdobył je wszystkie; jako młody chłopiec rzucił dom, ponieważ jego matka kłamała, ponieważ po raz pięćdziesiąty siadł do podwieczorku z brudnymi rękami, ponieważ w Stroud nie

widział dla poety przyszłości; przeto wtajemniczywszy w swój zamiar młodszą siostrę uciekł do Londynu. Zostawił w domu idiotyczny list; takie listy pisują wielcy ludzie, a potem, gdy historia ich zmagają nabierze rozgłosu, czyta je cały świat.

Londyn pochłonał wielu młodych mężczyzn nazwiskiem Smith; Londyn nic sobie nie robi z fantastycznych imion jak Septimus, którymi rodzice pragną odróżnić swoje dzieci od innych Smithów. W pokoju na jednej z przecznicy Euston Road zbierał doświadczenia, mnóstwo doświadczeń - takich, jakie w ciągu dwóch lat zmieniają różową twarz o niewinnym owalu w twarz wychudłą, pełną napięcia, wrogą. Ale na widok tych zmian nawet najbardziej spostrzegawczy przyjaciel powiedziałby tylko to, co mówi ogrodnik, kiedy wchodząc rankiem do cieplarni widzi nowy kwiat: rozkwitł! Rozkwitł z ziarna ambicji, próżności, idealizmu, namiętności, samotności, odwagi, lenistwa, z zawsze tych samych, pospolitych ziaren, które kiełkując (w pokoju na jednej z przecznicy Euston Road) sprawiły, że stał się nieśmiały, że się jąkał, że pragnął gorąco zdobyć wykształcenie, że się zakochał w pannie Izabelli Pole, która przy Waterloo Road wykladała o Szekspirze.

Czy nie jest podobny do Keatsa? zastanawiała się panna Izabella Pole; i zastanawiała się, jak sprawić, by zasmakował w *Antoniuszu i Kleopatrze*, w całym Szekspirze; pożyczała mu książki; pisała do niego liściki; i rozpałała w nim taki ogień, jaki płonie tylko raz w życiu, bez żaru, ogień rzucający czerwonożłoty blask, nieskończenie eteryczny i niematerialny, na pannę Pole, na Antoniusza i Kleopatę, na Waterloo Road. Wydawała mu się piękna, uważał, że jest nieskończenie mądra; śnił o niej, pisał na jej cześć wiersze, które ona, nie zwracając uwagi na treść, poprawiała czerwonym atramentem. Widział ją któregoś letniego wieczoru przechadzającą się w zielonej sukni po skwerze. „Rozkwitł”, powiedziałby ogrodnik, gdyby otworzył drzwi; to jest, gdyby wszedł pierwszej lepszej nocy o tej mniej więcej porze i zobaczył go w trakcie pisania, zobaczył go, jak drze strony rękopisu, zobaczył go, gdy o godzinie

trzeciej nad ranem kończy arcydzieło, a potem wybiega na miasto i przemierza ulice, odwiedza kościoły, pości jednego dnia, upija się drugiego, pochłania żarłocznie Szekspira, Darwina, *Historę cywilizacji* i Bernarda Shaw.

Coś tu jest nie w porządku, pan Brewer był pewien. Pan Brewer, dyrektor firmy „Sibley i Arrow_{sr}nith, Sprzedawcy Nieruchomości Miejskich i Ziemskich”. Coś tu nie jest w porządku, pomyślał, a że miał w stosunku do tego chłopaka dużo uczuć ojcowskich, cenił wysoko zdolności Smitha i prorokował, że za dziesięć czy piętnaście lat obejmie on po nim skórą kryty fotel w dyrektorskim gabinecie pod oszklonym sufitem, pośród żelaznych skrzynek z aktami kupna-sprzedaży; „jeżeli nie zmarnuje zdrowia”, powiedział pan Brewer, i w tym tkwiło niebezpieczeństwo, bo chłopak nie wyglądał na silnego. Radził mu więc grę w piłkę nożną, zapraszał na obiady i zastanawiał się, jak by tu podsunąć właścicielom firmy myśl o podwyżce dla Smitha, gdy nagle zdarzyło się coś, co przekreśliło większość kalkulacji pana Brewera, zabrało mu najzdolniejszych młodych pracowników i w końcu - tak chciwe i zaborcze były szpony wojny światowej - zważyło figurę gipsową przedstawiającą Ceres, wywierciło dziurę na grzędach geranium i zszarpało na strzępy nerwy kucharki w domu pana Brewera na Muswell Hill.

Septimus jeden z pierwszych zgłosił się na ochotnika. Pojechał do Francji bronić Anglii, na którą składały się niemal wyłącznie dramaty Szekspira i panna Izabella Pole przechadzająca się w zielonej sukni po skwerze. Tam, w okopach, dokonały się natychmiast zmiany, które miał na myśli pan Brewer radząc grę w piłkę nożną; Septimus zmężniał, awansowano go, zwrócił na siebie uwagę, a nawet zaskarbił sobie przyjaźń swojego dowódcy, porucznika Evansa. Byli jak dwa psy bawiące się na dywanie przed kominkiem; jeden bawi się kulką papieru, warczy, kłapie zębami, od czasu do czasu chwyta drugiego, starszego, za ucho; tamten leży senny i ociężały, patrzy w ogień, uderza łapą, odwraca się i warczy dobrotliwie. Nie rozstawali się, dzielili się wszystkim, sprzeczekali się,

kłócili. Ale kiedy Evans (Recja, która widziała go tylko raz, powiedziała o nim: „taki spokojny człowiek”, krępy, rudy mężczyzna, powściągliwy w towarzystwie kobiet), kiedy Evans poległ we Włoszech, na krótko przed zawieszeniem broni, Septimus, ani nie okazując wzruszenia, ani nie rozumiejąc, że jest to koniec przyjaźni, gratulował sobie, że przyjmuje śmierć przyjaciela tak spokojnie i tak rozsądnie. Wojna go nauczyła. To było niezrównane! Przeszedł wszystko - przyjaźń, wojnę europejską, śmierć, awansował, nie miał jeszcze trzydziestu lat i był pewien, że przeżyje. Nie pomylił się. Ominęły go ostatnie pociski. Patrzył obojętnie, jak wybuchają. Kiedy przyszedł pokój, Septimus znajdował się w Mediolanie, mieszkał na kwaterze w domu oberżysty, gdzie było podwórze, kwiaty w doniczkach, małe stoliki na powietrzu i córki robiące kapelusze; z najmłodszą, Lukrecją, zaręczył się pewnego wieczoru, kiedy ogarnęło go przerażenie, że nie odczuwa nic, absolutnie nic.

Bo teraz, kiedy skończyło się już wszystko, kiedy podpisano zawieszenie broni i pochowano poległych, spadał na niego, zwłaszcza wieczorem, obezwładniający strach. Nie odczuwał już nic. Gdy otwierał drzwi pokoju, w którym siedziały młode Włoszki i robiły kapelusze, widział je; słyszał je; z brzękiem nadziewały na drut kolorowe paciorki leżące na spodeczkach; wyciągały płócienne formy to w tę, to w tamtą stronę; stół był zasłany piórami, błyskotkami, skrawkami jedwabiu, wstążkami; stukały nożyczki przesuwane po stole. Ale Septimusowi czegoś tu było brak; nie odczuwał nic, absolutnie nic. Mimo to stuk nożyczek, śmiech dziewcząt, fasonowanie kapeluszy, wszystko to chroniło go; zapewniało mu bezpieczeństwo; nie obawiał się niczego. Nie mógł tam jednak siedzieć całą noc. A bywały przebudzenia wczesnym rankiem. Łóżko zapadało się pod nim; on się zapadał. Och, marzył wtedy o nożyczkach, o świetle lampy, o płóciennych formach! Poprosił o rękę Lukrecję, tę młodszą, tę wesołą, zalotną, o szczupłych palcach artystki, które pokazywała mówiąc: wszystko jest w nich. Pod dotykiem tych palców ożywały pióra, jedwab, wszystko.

Kapelusz jest najważniejszy - mówiła, gdy wychodzili razem na spacer. Przyglądała się mijanym kapeluszom, paltom, sukniom, sylwetkom kobiecym. Piętnowała brak gustu, przesadę w ubraniu, ale bez zjadliwości; najczęściej niecierpliwym gestem ręki, jak malarz, który odsuwa od siebie kicz, uderzający, choć nie pozbawiony dobrych intencji kicz. A potem nagradzała hojnym, lecz krytycznym uznaniem wysiłki sprzedawczyni sklepowej, która nosiła swoje szmatki z elegancją;

1 wychwalała - całym sercem, entuzjastycznie, z zawodową znajomością rzeczy - francuską damę wysiadającą z samochodu, ubraną w szynszyle, jedwabie, perły.

- Cudowna! - szeptała trącąc Septimusa łokciem, żeby też zobaczył. Ale dla niego piękno znajdowało się jakby za szklaną szybą. Nawet w smaku (Recja lubiła lody, czekoladę, słodycze) nie znajdował żadnej przyjemności. Odstawiał filiżankę na marmurowy blat małego stolika. Przyglądał się ludziom na ulicy; wydawali się szczęśliwi, przystawali na środku chodnika wrzeszcząc, śmiejąc się, kłócąc bez powodu. Ale on nie ma już smaku, nic już nie odczuwa. W kawiarni, między stolikami, pośród uwijających się kelnerów, chwycił go znów za gardło duszący strach; bo nie odczuwał nic, absolutnie nic. Mógł myśleć logicznie, mógł czytać bez trudu, na przykład Dantego (Septimus, proszę cię, przestań czytać, mówiła Lukrecja zamykając łagodnie *Boską komedię* otwartą na rozdziale *Piekieło*), mógł robić rachunki-jego mózg działał sprawnie; a więc jest to winj świata - to, że nic nie odczuwa.

- Anglicy są tacy cisi, tacy milczący - mówił_a Recja. Podobało jej się to, mówiła. Miała duży_o uznania dla Anglików, bardzo chciała zobaczyć Anglię i angielskie konie, damskie kostiumy szyte przez krawców; i pamiętała też, że jedna jej ciotka która wyszła za męża i mieszkała w dzielnicy Soho' opowiadała cuda o angielskich sklepach.

To możliwe, myślał Septimus patrząc na Anglię z okna pociągu, po opuszczeniu Newhaven; to możliwe, myślał, że cały świat pozbawiony jest

sensu.

W biurze awansowano go na odpowiedzialne stanowisko. Wszyscy byli z niego dumni, zdobył krzyże, medale.

- Spełnił pan swoją powinność, teraz my musimy... - zaczął pan Brewer i nie mógł skończyć, tak miłe było wzruszenie, które go wypełniło po brzegi.

Wynajęli śliczne mieszkanko na jednej z przecznic Tottenham Court Road.

Tam, w tym mieszkaniu, raz jeszcze otworzył Szekspira. Dawna chłopięca rozkosz upajania się słowem - *Antoniusz i Kleopatra* - zniknęła bez śladu. Jakże Szekspir nienawidził ludzi - ubieranie się, rodzenie dzieci, plugastwo języka i brzucha! Septimus dopiero teraz to zrozumiał, zrozumiał sens ukryty pod pięknem słów. Wstręt, nienawiść, rozpacz - oto tajemne posłannictwo przekazywane z pokoleń na pokolenia, starannie kamuflowane. To samo dotyczy Dantego. To samo - Ajschylosa. Recja siedzi przy stole i szyje kapelusze. Szyła kapelusze dla przyjaciółek pani Filmer; godzinami szyła kapelusze. Jest blada, tajemnicza, jak lilia pływająca pod powierzchnią wody, pomyślał.

, Anglicy są tacy poważni - mówiła Recja obejmując Septimusa za szyję, przyciskając policzek do jego policzka.

Miłość między mężczyzną i kobietą była dla Szekspira czymś odpychającym. Kopulacja była dla niego plugastwem. Ale Recja mówi, że chce mieć dzieci. Są małżeństwem od pięciu lat.

Zwiedzali razem londyńską Tower, zwiedzali Muzeum Wiktorii i Alberta, stali w tłumie, żeby zobaczyć króla otwierającego parlament. No i były sklepy - były na wystawach kapelusze, suknie, torebki, przed którymi Recja zatrzymywała się, które podziwiała. Ale chciała koniecznie mieć syna.

Chciała mieć syna podobnego do Septimusa, powiedziała. Tylko że nikt nie będzie tak łagodny, tak poważny, tak mądry jak Septimus. Czy nie mogłaby i ona czytać Szekspira? Czy Szekspir jest bardzo trudnym autorem, pytała.

Na takim świecie nie wolno rodzić dzieci. Nie wolno przedłużać cierpienia.

Nie wolno rozmnażać tych chutliwych zwierząt, które nie wiedzą, co to stałość uczuć, które powodują się kaprysmi i zachciankami pchającymi je raz w tym, to znów w innym kierunku.

Obserwował Recję krojącą, układającą materiał, tak jak obserwuje się ptaka, który trzepoce skrzydłami w trawie - nie śmiał ruszyć palcem. Bo prawdą jest (ona jej nie zna), że ludzie mają w sobie tylko tyle dobroci, tyle wiary, tyle miłosierdzia, ile im potrzeba, żeby zwiększyć rozkosz chwili. Polują stadami. Ich stada przebiegają pustynię i wyjąc zapadają w pustkowiach. Porzucają tych, co padną. Mają przylepione do twarzy grymasy. Taki Brewer w biurze, ze swoim czernionym wąsikiem, ze swoją kolorową szpilką w węźle krawata, ze swoją czułościowością - w środku zimny i lepki - ze swoimi klombami geranium, zniszczonym; podczas wojny, ze swoją kucharką o zdarty[^] nerwach; albo taka Amelia jak jej tam, podają_{Ca} herbatę punktualnie o piątej - lubieżna, obleśna sprośna mała megiera; albo ci wszyscy Tomowie i Bertowie w koszulach o sztywnym gorsie, wyn_a.cający z siebie grube krople występku. Nie wiedzą, że on ich rysuje w swoim notatniku, nagich i oddających się bezceństwu. Na ulicy samochody mijają go z ogłuszającym hukiem, na afiszach panoszy się brutalność; ludzie uwięzieni w podziemiach kopalni; kobiety spalone żywcem; kiedyś mała kolumna kalek-obłąkańców czy to wyprowadzona na przechadzkę, czy też pędzona ulicami dla rozrywki tłumu (który śmiał się głośno), minęła go na Tottenham Court Road, potykając się, szczerząc zęby, kiwając głowami, a każdy z nich - na pół wstydliwie, na pół tryumfalnie - popisywał się swoim nieszczęściem. Czy on też oszaleje?

Przy podwieczorku Recja powiedziała, że córka pani Filmer spodziewa się dziecka. Ona, Recja, nie chce się przecież zestarzeć i nie mieć dzieci! Jest nieszczęśliwa, jest bardzo samotna! Rozplakała się po raz pierwszy, odkąd byli małżeństwem. Słyszał jej szloch z bardzo daleka; słyszał dokładnie, wyraźnie, pomyślał, że mu to przypomina pracę tłoka. Ale nie odczuwał nic, absolutnie

nic.

Jego żona płakała, a on nic nie odczuwał; ile razy usłyszał ten jej głęboki, milczący, rozpaczliwy szloch, schodził o krok niżej w otchłań.

W końcu melodramatycznym gestem, który wykonał odruchowo, zdając sobie doskonale sprawę z jego nieszczerości, Septimus ukrył twarz w dłoniach. Poddał się; niech mu teraz ludzie pomogą-Trzeba wezwać ludzi na ratunek. Poddał się.

Nie sposób było wyrwać go z odrętwienia. Recja kazała mu się położyć do łóżka. Wezwała doktora T. J. J. Holmese, który leczył panią Filmer. Doktor Holmes zbadał Septimusa. Powiedział, że to głupstwo. Och, co za ulga! Jaki to miły, jaki dobry Człowiek! pomyślała Recja. Doktor Holmes powiedział, że kiedy sam się tak czuje, idzie do music-hallu. Przerywa na dzień pracę i wyjeżdża z żoną, a wieś, gra w golfa. Zresztą, niech Recja da mężowi przed spaniem dwie tabletki bromu rozpuszczone w szklance wody. Zdarza się często, powiedział doktor Holmes stukając o ścianę, że te stare domy w Bloomsbury wyłożone są bardzo piękną boazerią, na którą głupi właściciele kładą warstwy tapety. Załedwie wczoraj, kiedy był z wizytą u swojego pacjenta, sir takiego czy innego, na Bedford Square...

A więc nie ma usprawiedliwienia; nic mu nie jest, nic, tylko ten grzech, za który natura ludzka skazała go na śmierć, grzech nieodczuwania niczego. Nic go nie obeszała śmierć Evansa; to było najgorsze. Ale we wczesnych godzinach świtu wszystkie inne zbrodnie podnoszą łby nad poręczą łóżka, potrzęsają pięściami i uśmiechają się szyderczo do bezwładnego ciała, które zdaje sobie w pełni sprawę z własnej nikczemności: ożenił się z Re-cją, chociaż jej nie kochał, okłamywał ją, uwiódł ją, skrzywdził pannę Izabellę Pole i nosi na sobie tak wyraźne piętno występku, że kobiety dygocą ze strachu widząc go na ulicy. Na takiego nędznika natura ludzka musiała wydać wyrok śmierci.

Doktor Holmes przyszedł powtórnie. Wysoki, o zdrowej cerze, przystojny,

wytarł starannie buty, spojrzął w lustro, lekceważąco machnął na wszystko ręką - na bóle głowy, bezsenność, lęki, przywidzenia; zwykle objawy wyczerpania nerwowego, powiedział. Jeżeli doktor Holmes traci choć łut ze swych stu sześćdziesięciu funtów żywej wagi, prosi żonę o dodatkowy talerz owsianki na śniadanie.

(Recja będzie się musiała nauczyć gotować owsiankę.) Ale zdrowie, ciągnął doktor Holmes w ogromnej mierze zależy od nas samych. Sen! timus powinien skierować swoje zainteresowania ku światu zewnętrznemu; powinien znaleźć sobie jakieś hobby. Otworzył Szekspira - *Antoniusz i Kleopatra*; odsunął Szekspira. Tak, koniecznie powinien znaleźć sobie jakieś hobby, bo czyż on, doktor Holmes, nie zawdzięcza swej znakomitej kondycji fizycznej (a pracuje jak mało kto w Londynie) temu, że w każdej chwili potrafi zapomnieć o pacjentach i skierować zainteresowania na antyki? Ach, jeśli wolno mu o tym wspomnieć - jaki piękny grzebień ma pani Warren Smith we włosach!

Kiedy ten przeklęty głupiec przyszedł znowu, Septimus nie chciał go wpuścić do pokoju. - Ach, tak? - spytał doktor Holmes z miłym uśmiechem, bardzo zresztą przyjaźnie. I doprawdy - żeby się dostać do sypialni pacjenta, musiał wpierw odepchnąć tę czarującą kobietkę, panią Warren Smith.

- A więc jesteśmy w depresji - powiedział serdecznie siadając przy łóżku. Pan Smith groził żonie, że się zabije, prawda? A żona taka młodziutka, chyba cudzoziemka, prawda? Czy pan Smith nie sądzi, że to dało jej zgoła dziwne wyobrażenie o angielskich mężach? Czy przypadkiem mężczyzna nie ma obowiązków wobec własnej żony? Czy nie byłoby lepiej, żeby Septimus wstał i robił coś, zamiast leżeć tak ciągle w łóżku? Bo doktor Holmes ma za sobą czterdzieści lat praktyki i pan Smith może mu wierzyć na słowo: jest zdrowy, nic mu nie dolega. I doktor Holmes wyraził nadzieję, że jak przyjdzie następnym razem, pan Smith nie będzie leżał w łóżku, i tym samym oszczędzi zmartwień tej czarującej kobietce, pani Smith.

Słowem, natura ludzka go prześladowuje - ten odrażający potwór o krwawych

nozdrzach. Holmes go prześladuje. Doktor Holmes przychodził teraz co dzień. Raz się potkniesz, napisał Septimus, a odwrocie koperty, a natura ludzka skacze ci do gardła. Holmes skacze ci do gardła. Ich jedyna szansa, to uciec, uciec w tajemnicy przez Holmesem. Do Włoch - gdziekolwiek, gdziekolwiek, byleby daleko od doktora Holmesa.

Ale Recja go nie rozumiała. To taki dobry człowiek, ten doktor Holmes. Tak się interesuje zdrowiem Septimusa. Naprawdę chciałby im pomóc, powiedziała. Doktor Holmes ma czworo małych dzieci i zaprosił ją na podwieczorek, powiedziała Septimusowi.

A więc jest sam, Recja go opuściła. Cały świat woła do niego: zabij się, przez litość dla nas - zabij się! Ale właściwie dlaczego miałyby się dla nich zabijać? Jedzenie sprawia mu przyjemność, słońce jest gorące. I w jaki sposób człowiek się zabija - nożem kuchennym, ohydnie, z krwią buchającą na wszystko dokoła... wsadza do ust rurkę od gazu? Nie ma siły, ledwie może podnieść rękę. Zresztą teraz, kiedy jest samotny, skazany, opuszczony, samotny samotnością tych, co mają niebawem umrzeć, odnajduje w tym wszystkim cudowny smak zbytku, wspaniałe uczucie izolacji, swobody nie znanej ludziom skrepowanym więzami. Holmes zwyciężył, to prawda; ten potwór o krwawych nozdrzach zwyciężył. Ale nawet Holmes nie zdoła osiągnąć tego ostatniego z żyjących, który błąka się na krawędzi świata, tego wygnańca, który ogląda się na ziemi zamieszkałe, który leży jak żeglarz wyrzucony przez toń na nadbrzeżnych Piachach świata.

W tym właśnie momencie (Recja poszła po zakupy) spłynęło na niego to wielkie objawienie.

Odezwał się głos mówiący zza parawanu. Mówił Evans. A więc umarli są po jego stronie.

- Evans! Evans! - zawołał Septimus.
- Pan Smith rozmawia sam ze sobą - wykrztusiła Agnes, służąca, do pani Filmer, wpadając do kuchni. Kiedy wносиła tacę, mówił: „Evans! Evans!”

Aż podskoczyła, naprawdę. Uciekła na dół.

Wróciła Recja z kwiatami, przeszła przez pokój i wstawiła róże do wazonu; natychmiast padł na nie promień słońca i skacząc, śmiejąc się obiegł pokój.

Recja powiedziała, że kupiła te róże od jakiegoś biedaka na ulicy, po prostu musiała je kupić. Ale zwiędły już prawie zupełnie, powiedziała, układając róże w wazonie.

A więc tam na ulicy jest jakiś człowiek, prawdopodobnie Evans; to on zebrał róże, które już zwiędły, na polach Grecji. Posłannictwo jest zdrowiem, posłannictwo jest szczęściem. - Posłannictwo - wymamrotał Septimus.

- Co ty mówisz, Septimus? Coś powiedział?

- spytała Recja półprzytomna z przerażenia, bo Septimus mówił do siebie na głos.

Czym prędzej posłała Agnes po doktora Holmesa. Jej mąż, powiedziała, oszalał. Nie poznaje jej- Potworze! Potworze! - zawołał Septimus na widok natury ludzkiej, czyli doktora Holmesa wchodzącego do pokoju.

- Co to wszystko znaczy? - spytał doktor Holmes najprzyjaźniejszym z przyjaznych tonów.

- Mówi pan głupstwa, żeby nastraszyć żonę? - Da mu jednak proszki na sen. Ależ, naturalnie, jeżeli są ludźmi bogatymi, powiedział doktor Holmes obrzucając pokój ironicznym spojrzeniem, niech koniecznie idą do specjalisty na Harley Street. Bo widocznie nie mają do niego zaufania, dodał doktor Holmes tonem już nie tak przyjaznym.

Była dokładnie dwunasta, dwunasta według Big Bena; niesiony wiatrem jego głos popłynął nad północną część Londynu, stopił się z głosem innych dzwonów, zmieszał - eteryczny i cichy - z chmurami i smugami dymu i zamarł wysoko pośród mew; biła właśnie dwunasta, gdy Klarysa Dalloway kładła zieloną jedwabną suknię na łóżku i gdy państwo Warren Smith szli przez Harley Street. Wizytę mieli zamówioną na dwunastą. Sir William Bradshaw, pomyślała Recja, mieszka na pewno w tym domu, przed którym stoi szare auto. (Ołowiane

kręgi rozplynęły się w powietrzu.)

Nie pomyliła się, był to samochód sir Williama Bradshawa, niska, szara, potężna maszyna, z prostym monogramem na drzwiach, jak gdyby pompa heraldyki była czymś niestosownym dla tego nadprzyrodzonego dobroczyńcy, dla tego kapłana wiedzy; a ponieważ samochód był szary, zharmonizowano z jego spokojną wytwornością szare futra i srebrnoszare pledy, które chroniły lady Bradshaw przed zimnem, kiedy czekała na męża. Zdarzało się bowiem często, że sir William wyjeżdżał sześćdziesiąt lub nawet więcej mil za Londyn do pacjentów, którzy mogli sobie pozwolić na zapłacenie bardzo wygórowanego honorarium, jakie (nader słusznie) pobierał za swe konsultacje. Jaśnie pani okryta pledami czekała godzinę lub dłużej, myśląc niekiedy o pacjencie, niekiedy (co się tu dziwić) o złotym murze bezustannie rosnącym, podczas gdy ona czekała; o złotym murze, który rósł i wznosił się między nimi a wszelkim borykaniem się i wszelkimi niepokojami (mieli ^ życiu ciężkie chwile, które ona zniosła bardzo dzielnie), aż wreszcie teraz lady Bradshaw czuje się tak, jakby ją unosiły fale spokojnego oceanu, nad którym wieją same tylko wonne wiatry; wszyscy darzą ją szacunkiem, podziwiają, zazdroszczą jej, zaspokoila wszystkie niemal pragnienia, oprócz chyba tego, żeby schudnąć; co czwartek wielkie obiady dla kolegów męża, od czasu do czasu otwarcie jakiejś wenty, powitanie króla lub królowej. Niestety za mało czasu z mężem, którego praktyka wciąż się rozrasta; syn doskonale uczący się w Eton; pragnęła mieć też córkę; ale interesuje ją mnóstwo rozmaitych spraw; opieka nad dzieckiem, pomoc dla wracających do zdrowia epileptyków, fotografia; jeżeli zobaczyła gdzieś kościół budujący się albo kościół w ruinie, przekupywała zakrystiana, brała klucz i robiła fotografie, niewiele gorsze od zdjęć wykonywanych przez zawodowców.

Sir William nie był już młody. Pracował bardzo ciężko; zdobył swoją pozycję (był synem sklepikarza) pracą i zdolnościami; kochał swój zawód; prezentował się świetnie na oficjalnych uroczystościach i miał dar wymowy. Wszystko to wycisnęło na jego twarzy piętno ociążałości i znużenia (pacjenci

napływali bezustannie, a zarówno odpowiedzialność, jak zaszczyty jego zawodu były niezwykle uciążliwe!), ten zaś wyraz znużenia w połączeniu z siwymi włosami zwiększył jeszcze (mniej więcej w tym czasie sir William został uszlachcony) jego i tak ogromną dystynkcję i dał mu sławę (niesłychanie ważne dla psychiatry) zarówno lekarza głębokiej wiedzy i znakomitego diagnosty, jak i człowieka współczującego, taktownego, znawcy ludzkiej duszy. Wiedział wszystko, zaledwie weszli do gabinetu (nazywali się Warren Smith); wystarczyło, że raz spojrzął na tego mężczyznę; przypadek bardzo ciężki. Daleko posunięte symptomy kompletnego wyczerpania fizycznego i nerwowego, potwierdził stawianą w myślach diagnozę, zapisując jednocześnie na różowej karcie odpowiedzi na pytania zadawane cichym, dyskretnym głosem.

- Jak długo leczył go doktor Holmes?
- Sześć tygodni.
- Przepisał trochę bromu? Powiedział, że panu Smithowi nic nie jest? Ach, tak! - (Jeszcze jeden lekarski omnibus! pomyślał sir William. Połowę czasu marnuje na odrabianie błędów tych ludzi! Niektóre są nie do odrobienia.)

- Był pan na wojnie, otrzymał pan najwyższe odznaczenia?

Pacjent powtórzył tonem pytającym:

- Na wojnie?

Własna interpretacja słów o znaczeniu symbolicznym. Objaw poważny, należy go zanotować na różowej karcie.

- Na wojnie? - spytał pacjent. Ach, wojna europejska, ta bójka uczniów bawiących się prochem? Czy otrzymał najwyższe odznaczenia? Naprawdę nie pamięta. Jeśli idzie o samą wojnę, nie spełnił pokładanych w nim nadziei.

- Tak, był na wojnie i otrzymał najwyższe odznaczenia - zapewniła Recja lekarza. - Dali mu awans.

- W biurze ma pan doskonałą opinię - rzekł cicho sir William zerkając na pełen hojnych pochwał list pana Brewera. - A więc nie ma żadnych powodów do żartów, żadnych kłopotów finansowych... nic?

Popełnił straszną zbrodnię, za którą natura ludzka skazała go na śmierć.

- Ja... ja... - zaczął Septimus - popełniłem zbrodnię...

- Nie zrobił nic złego, naprawdę nie zrobił nic złego - zapewniała Recja lekarza. Jeżeli pan Smith zechce chwilę poczekać, powiedział sir William, zamieni kilka słów z panią Smith w sąsiednim pokoju. Jej mąż jest poważnie chory, powiedział sir William. Czy groził, że sobie odbierze życie?

- Och, tak! - zaszlochała Recja. - Ale nie mówił tego poważnie. Oczywiście, że nie.

- Potrzebny mu jest tylko odpoczynek - powiedział sir William - długi, długi odpoczynek w łóżku. - Jest na wsi taka śliczna klinika, gdzie jej mąż znajdzie doskonałą opiekę. Sam, bez niej? spytała. Niestety tak; bliscy, których najbardziej kochamy, w chorobie nie są dla nas dobrymi opiekunami. Ale przecież jej mąż nie jest obłąkany... nie jest, prawda? Sir William odpowiedział, że nigdy nie używa tego słowa; nazywa takie stany utratą poczucia równowagi. Kiedy jej mąż nie lubi lekarzy. Nie zechce tam pojechać. W kilku dobrotliwych słowach sir William wyjaśnił Recji sytuację. Pan Smith groził, że się zabije. A więc nie ma alternatywy. Jest to kwestia przepisów prawnych. Będzie sobie leżał w łóżku, w pięknym domu na wsi. Pielęgniarki są nadzwyczajne. Sir William będzie go odwiedzał raz na tydzień. Jeżeli pani Warren Smith jest zupełnie pewna, że nie ma już żadnych pytań (sir William nigdy nie popędzał swoich pacjentów), wróć teraz do jej męża. Nie, Recja nie chciała już o nic pytać. W każdym razie nie chciała już o nic pytać sir Williama.

Wrócili więc do najwyżej wyniesionego z ludzi, do zbrodniarza oczekującego wyroku sędziów, do ofiary porzuconej na wierzchołkach gór, do zbiega, do żeglarza-topielca, do twórcy nieśmiertelnej ody, do boga, który dla śmierci porzucił życie, do Septimusa Warren Smitha, który siedział w fotelu pod światłem płynącym z sufitu i patrząc na fotografię lady Bradshaw w dworskim stroju szeptał słowa posłannictwa o pięknie.

- Odbyliśmy małą konferencję - powiedział sir William.

- Pan doktor mówi, że jesteś bardzo, bardzo chory - rozpląkała się Recja.
- Ustaliliśmy, że pojedzie pan do kliniki na wsi - wyjaśnił sir William.
- Do jednej z klinik Holmesa? - spytał szyderczo Septimus.

Ten młody mężczyzna budził w sir Williamie najwyższy niesmak. Bo sir William (którego ojciec był drobnym kupcem) miał wrodzony szacunek dla ludzi dobrze wychowanych i dobrze ubranych; pospolitość niepomiernie go irytowała. Ale z drugiej strony tkwiła też w nim tajona, głęboko ukryta niechęć do ludzi wykształconych (sam nie miał nigdy czasu na lekturę), którzy wchodząc do gabinetu dawali mu natychmiast odczuć, że lekarz, którego zawód wymaga bezustannego natężania wszystkich najbardziej wysublimowanych władz umysłowych, nie jest człowiekiem wykształconym.

- Do jednej z moich klinik, panie Warren Smith - powiedział. - Nauczymy tam pana wielkiej sztuki odpoczynku.

Aha, jeszcze jedno.

Sir William jest pewien, że kiedy pan Warren Smith czuje się dobrze, nigdy nie przysparza zmartwień swojej żonie, nigdy jej nie straszy. Groził jednak, że odbierze sobie życie.

- Wszyscy mamy swoje chwile depresji - powiedział sir William.

Jeżeli raz upadniesz, powtarzał sobie Septimus, natura ludzka rzuca się na ciebie. Holmes i Bradshaw rzucają się na ciebie. Przebiegają pustynie. Wyjąc uciekają w pustkowia. Łamią cię kołem, szarpną szczypcami. Natura ludzka nie zna litości.

- Czy miewa pan czasem nieopanowane impulsy? - spytał sir William, trzymając ołówek tuż nad różową kartą.

Septimus odpowiedział, że jest to jego sprawa.

- Żaden człowiek nie żyje tylko dla siebie - odparł sir William, rzucając przelotne spojrzenie na fotografię żony w dworskim stroju.

- I ma pan przed sobą wspaniałą karierę - powiedział sir William. Na stole leżał list pana Bre-wera. - Wspaniałą.

A gdyby się tak przyznał? Gdyby przekazał im swoje posłannictwo? Czy puściliby go wtedy wolno, Holmes i Bradshaw?

- Ja... ja... - wyjąkał.

Ale jaką właściwie zbrodnię popełnił? Nie mógł sobie przypomnieć.

- Tak, słucham? - spytał zachęcająco sir William. (Było już jednak późno.)

Miłość, drzewa, nie ma zbrodni... jakie było jego posłannictwo?

Nie mógł sobie przypomnieć.

- Ja... ja... - wyjąkał Septimus.

- Niech się pan stara nie myśleć o sobie - powiedział dobrotliwie sir William. Tak, trzeba go jak najprędzej odizolować.

Czy chcieliby jeszcze o coś zapytać? Sir William sam załatwi wszystko (powiedział szeptem do Recji) i da jej znać między piątą a szóstą po południu.

- Proszę się we wszystkim zdać na mnie - powiedział.

Nigdy, nigdy Recja nie była tak nieszczęśliwa. Zwróciła się o ratunek, ale go jej odmówiono! Sir William Bradshaw nie jest dobrym człowiekiem.

- Samo utrzymanie takiego samochodu kosztuje majątek - powiedział Septimus, gdy wyszli na ulicę.

Trzymała się kurczowo jego ramienia. Odmówiono im pomocy.

Ale czego więcej mogła się spodziewać?

Sir William Bradshaw poświęcił swoim pacjentom trzy kwadranse. A jeśli w tej trudnej gałęzi wiedzy, która zajmuje się czymś, o czym w gruncie rzeczy nic nie wiemy - systemem nerwowym, mózgiem ludzkim - lekarz straci poczucie proporcji, kończy się jako lekarz. Zdrowie jest wszystkim, a zdrowie jest proporcją; jeśli więc do gabinetu lekarza wejdzie człowiek i powie, że jest Chrystusem (bardzo pospolite urojenie) i że ma do spełnienia posłannictwo, co jest bardzo częste, i zagrozi, co też jest bardzo częste, że odbierze sobie życie, lekarz przywołuje na pomoc zdrowie; zaleca odpoczynek w łóżku, odpoczynek w samotności, ciszę i odpoczynek; odpoczynek bez przyjaciół, bez książek, bez listów, sześć miesięcy odpoczynku; w końcu pacjent, który ważył sto funtów,

wychodzi ważąc sto czterdzieści funtów.

Proporcja, boska proporcja, bogini sir Willia-ma, której oddawał cześć chodząc pieszo do szpitala, jeżdżąc na ryby, płodząc z lady Bradshaw, w swoim domu na Harley Street, jednego syna; z lady Bradshaw, która też jeździła na ryby i robiła fotografie niewiele gorsze od zdjęć fotografów zawodowych. Jako wyznawca kultu proporcji sir William działał w interesie własnym i interesie Anglii - odosabniał jej szaleńców, zabraniał im płodzić dzieci, uczynił rozpacz karalną, uniemożliwiał ludziom obłąkanym rozpowszechnianie obłąkanych poglądów - dopóty, dopóki nie zaczęli dzielić jego poczucia proporcji; jego, jeśli byli mężczyznami, lady Bradshaw, jeśli byli kobietami (lady Bradshaw haftowała, robiła na drutach i cztery wieczory w tygodniu spędzała w domu z synem). W rezultacie koledzy go szanowali podwładni bali się go, a co najważniejsze, przyjaciele i krewni pacjentów darzyli go uczuciem głębokiej wdzięczności za to, że żądał, aby ci Chrystusowie płci męskiej i żeńskiej, przepowiadający koniec świata lub zstąpienie Boga na ziemię, pili mleko w łóżku, bo taką kurację przepisał im sir William. Sir William ze swoją trzydziestoletnią praktyką, ze swoim nieomylnym instynktem; to jest obłąd, to jest zdrowie; sir William ze swoim poczuciem proporcji. Ale Proporcja ma siostrzycę, mniej uśmiechniętą i groźniejszą, boginię, która również teraz, w tej chwili - na rozpalonych piaskach Indii, na moczarach i bagniskach Afryki, na przedmieściach Londynu, słowem, wszędzie tam, gdzie klimat lub diabeł kusi ludzi, aby porzucili prawdziwą wiarę, czyli jej wiarę - zwała ołtarze, rozbija bóstwa i na ich miejsce wznosi podobizny swojego własnego surowego oblicza. Bogini ta ma na imię Konwersja; żywi się wolą słabych i lubi imponować, lubi narzucać swe poglądy innym, jest szczęśliwa, kiedy ujrzy swoje własne rysy wyciśnięte na obliczu motłochu. Wygłasza kazania z beczki na Hyde Park Corner; zarzuca na ramiona biały płaszcz i w pątnicznych szatach, w masce miłości braterskiej idzie do fabryk i parlamentów; ofiarowuje pomoc, lecz pragnie władzy; brutalnie depta na swej drodze odszczepieńców i

niezadowolonych; udziela swoich łask tym, co zwracając ku niej wzrok pokornie czerpią z jej oczu blask rozświecający własne ich oczy. Ta bogini (Recja Warren Smith odgadła to instyktownie) również miała swą świątynię w sercu sir Williama Bradshawa, choć ukrywała się tam, jak to zwykle czyni, pod stosowną maską, pod czcigodnym imieniem - miłości, obowiązku, poświęcenia. Ileż trudu zadawał sobie sir William, jak ciężko pracował zbierając fundusze, propagując reformy, zakładając instytucje! Ale IConwersja, wymagająca bogini, woli krew niż „głę” i najchętniej żywi się wolą ludzką. Za przykład może służyć lady Bradshaw. Piętnaście lat temu została pożarta; nie było to nic uchwytne, nic dramatycznego - żadnych scen, żadnych awantur, tylko powolne zanurzanie się, jakby to była łąka pełna wody, jej woli w jego woli. Łagodny był jej uśmiech, szybkie poddanie się; obiad w domu przy Harley Street, składający się z ośmiu czy dziewięciu dań, gromadzący przy stole dziesięć do piętnastu osób z wolnych zawodów, przebiegał sprawnie i wśród wzajemnych grzeczności. Ale w miarę jak upływały godziny, ledwie zauważalna nuda czy może skrepowanie, nerwowy skurcz twarzy, zająknięcie się, potknięcie, wskazywały na to, w co doprawdy przykro było uwierzyć - że biedna pani domu kłamie. Kiedyś, bardzo dawno temu, jeździła, kiedy chciała, na połowy łososia; teraz, gotowa na każde wezwanie sycić żądzę władzy, żądzę panowania, która płonęła oleistym płomieniem w oku jej męża, kuliła się w sobie, kurczyła, malała, cofała, niknęła, aż w końcu prawie nie było jej widać; choć więc trudno byłoby powiedzieć na pewno, dlaczego wieczór jest nieprzyjemny i skąd się bierze ten ucisk na czubku głowy (można to było naturalnie przypisać rozmowom o charakterze zawodowym oraz zmęczeniu wielkiego lekarza, którego życie - według słów lady Bradshaw - nie należało do niego, tylko do pacjentów), wieczór naprawdę był nieprzyjemny i goście wychodzący o godzinie dziesiątej z rozkoszą (choć wydaje się to nieprawdopodobne), z rozkoszą wdychali w płuca powietrze Harley Street; jednakże pacjentom sir Williama Bradshawa nie była dana nawet ta pociecha.

Tam, w szarym gabinecie, pośród cennych obrazów i sprzętów, pod matową szybą, przez którą światło sączyło się z sufitu, dowiadywali się o bezmiarze swoich przewinień. Skuleni w fotelu patrzyli, jak dla ich dobra sir William wykonuje rękami dziwną gimnastykę, to wyrzucając je w powietrze, to znów ruchem gwałtownym kładąc na biodra, aby dowieść (jeżeli pacjent był uparty), że sir William Bradshaw jest panem swoich uczynków, czego nie można powiedzieć o pacjencie. Tam, w szarym gabinecie, słabsi załamywali się, wybuchali szlochem, ulegali; inni, działający w porywie Bóg raczy wiedzieć jakiego szaleństwa, mówili sir Williamowi w oczy, że jest przeklętym szarlatanem, lub - rzecz bardziej jeszcze niegodziwa - podawali w wątpliwość sens istnienia. Po co żyć? pytali. Sir William odpowiadał, że życie jest piękne. To prawda, lady Bradshaw w strusich piórach wisiała nad kominkiem, a sir William zarabiał najmniej dwanaście tysięcy funtów na rok. Ale dla nas, upierali się pacjenci, życie nie jest tak hojne. Sir William przyznawał słuszność. Nie mieli poczucia proporcji. A może mimo wszystko Bóg nie istnieje? Sir William wzruszał ramionami. W takim razie sprawa: życie czy śmierć, dotyczy tylko nas samych? Ale tu popełniali omyłkę! Sir William miał przyjaciela w Surrey, u którego uczono - sir William przyznawał szczerze, że nie jest to łatwa sztuka - poczucia proporcji. Ponadto istniały jeszcze uczucia rodzinne, honor, odwaga i świetna kariera; wszystkim tym sir William szermował pewnie i zręcznie. A jeżeli i te wartości zawiodły, miał w odwodzie policję i interes publiczny, które (nadmieniał bardzo spokojnie) dopilnują, aby owe społeczne impulsy pozostawały w Surrey pod ustawiczną kontrolą. I wtedy wymykała się ze swej kryjówki i wstępowała na tron bogini, która pożąda tylko jednego: chce łamać opór przeciwników, chce pozostawiać swą niezataętą podobiznę w sanktuariach duszy ludzkiej. Na nich - na obnażonych, bezbronnych, wyczerpanych, samotnych - sir William wyciskał piętno swojej woli. Rzucił się na swą zdobycz; pożerał ją. Zamykał ludzi. To właśnie połączenie stanowczości z humanitaryzmem czyniło sir Williama tak szczególnie drogim sercom krewnych

jego ofiar.

Ale Recja idąca Herley Street mówiła przez łzy, że nie podobał jej się ten człowiek.

Tnąc i krając, dzieląc na coraz to mniejsze części, zegary Harley Street skubały ten dzień czerwcowy, doradzały mu pokorę, śpiewały peany na cześć władzy i chórem wskazywały na korzyści wynikające z posiadania poczucia proporcji; w końcu piramida czasu tak bardzo się zmniejszyła, że zegar reklamowy, wiszący nad sklepem przy Oxford Street, oznajmił serdecznie, przyjaźnie, jak gdyby właściciele firmy, panowie Rigby i Lowndes, znajdowali największą przyjemność w udzielaniu gratis tej informacji, że jest godzina pierwsza trzydzieści.

Podniósłszy oczy widziało się, że każda litera nazwisk tych panów odpowiada jednej godzinie; podświadomie przechodzień odczuwał wdzięczność dla Rigby'ego i Lowndesa, że podają darmo czas potwierdzony przez obserwatorium w Green-wich; ta zaś wdzięczność (rozmyślał Hugh Whitbread zatrzymując się przed wystawą) przybiera później formę zaopatrywania się u Rigby'ego i Lowndesa w skarpetki i trzewiki. Tak rozmyślał Hugh Whitbread. Było to jego zwyczajem. Nie miał głębokiego umysłu. Przemykał się po powierzchni; języki klasyczne, języki nowożytne, Konstantynopol, Paryż, Rzym, konna jazda, polowania, tenis - wszystko to było kiedyś. Złośliwi twierdzili, że teraz Hugh Whitbread, w jedwabnych pończochach i spodniach do kolan, strzeże w Buckingham Pałace - nie wiadomo czego! Robił to jednak bardzo zręcznie. Przez lat pięćdziesiąt pięć utrzymywał się na samej powierzchni śmie-tanki towarzyskiej Anglii. Znał premierów. Przypisywano mu powszechnie głębię uczuć. A jeśli nawet nie uczestniczył w żadnym z wielkich ruchów swej epoki ani nie zajmował nigdy żadnego ważnego stanowiska, to jednak należy zapisać na jego dobro kilka skromnych reform: jedną była przebudowa schronów publicznych, drugą - wprowadzenie czasu ochronnego na sowy w Norfolk; miały też za co być mu wdzięczne służące. A jego nazwisko na listach

do „Timesa”, w których namawiał do składania funduszków, odwoływał się do ogółu o ochronę, opiekę, konserwację, o walkę z brudem, walkę z dymem, walkę z niemoralnością w parkach, budziło powszechny szacunek.

A jak wspaniale wyglądał, kiedy tak stał zatrzymawszy się na chwilę (właśnie umilkło dzwonienie zegara), aby krytycznie, ze znanstwem, spojrzeć na skarpetki i buty; nieomylny, solidny, jak gdyby patrzył na świat z wyżyn i stosownie do tego się ubierał, lecz jednocześnie jak gdyby zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką pociąga za sobą solidna budowa, zdrowie, bogactwo, i przestrzegał ściśle, nawet gdy to nie było konieczne, rozmaitych drobnych gestów kurtuazji i staroświeckich ceremoniałów, dzięki którym jego sposób bycia zyskał cechy indywidualne, stał się czymś godnym naśladowania, czymś godnym zapamiętania; na przykład, ile razy szedł na lunch do lady Bruton, którą znał lat dwadzieścia, przynosił jej w wyciągniętej ręce bukiet goździków i zawsze pytał pannę Brush, sekretarkę lady Bruton, jak się wiedzie jej bratu w Południowej Afryce, co pannę Brush, osobę zupełnie pozbawioną atrybutów wdzięku kobiecego, z jakichś względów tak irytowało, że odpowiadała: bardzo dziękuję, wiedzie mu się doskonale w Południowej Afryce - gdy tymczasem naprawdę od lat sześciu działo mu się bardzo źle w Portsmouth.

Lady Bruton wołała Ryszarda Dallowaya, to zrozumiałe. Dalloway był zrobiony z dużo subtelniejszego kruszcu. Ale nigdy nie pozwoliłaby skrzywdzić zacnego, biednego Hugh'a. Nie zapomni nigdy jego dobroci... był naprawdę strasznie kochany i dobry... chociaż nie przypomina sobie przy jakiej okazji. Ale na pewno był... strasznie kochany i dobry. Zresztą, różnice między jednym mężczyzną a drugim nie są znów takie duże. Nie rozumiała nigdy sensu tego krajaniania ludzi na kawałki - jak to robiła Klarysa Dalloway - krajaniania ludzi na kawałki i zlepiania ich z powrotem; zwłaszcza jest to pozbawione sensu, kiedy ma się sześćdziesiąt dwa lata. Podziękowała Hughowi za goździki swoim kanciastym, posępnym uśmiechem. Poza nimi nie będzie na lunchu nikogo,

powiedziała. Zaprosiła ich pod fałszywym pretekstem, żeby jej pomogli wybrnąć z pewnej trudności...

- Ale najpierw zjemy - oznajmiła.

I tak rozpoczęła się, poprzez drzwi skrzydłowe, bezgłośnie, zachwycająca krzątanka ubranych w białe fartuszki i czepki pokojówek, które nie są służącymi pracującymi dla zarobku, tylko kapłankami misterium czy też wielkiej mistyfikacji uprawianej przez panię domu na Mayfair między godziną pierwszą trzydzieści a drugą, kiedy to od jednego gestu ręki milknie gwar uliczny i powstaje ta niezwykła iluzja; a więc przede wszystkim, że jedzenie spada z nieba; dalej, że stół sam się nakrył kieliszkami i srebrem, małymi serwetkami, misami pełnymi czerwonych owoców. Welony sosu śmietankowego maskują tuńczyka; w kaserolach pływają obrane z kości kurczęta; kolorowy, dziwny ogień płonie na kominku. A wraz z kawą i winem (które też spadły z nieba) radosne wizje powstają przed rozmarzonymi oczami; są to oczy pełne łagodnej zadumy i oczom tym życie wydaje się harmonijne i tajemnicze; oczy te patrzą teraz z ser-decznym zainteresowaniem na czerwone goździki, które lady Bruton (ruchy miała zawsze kanciaste) położyła obok swego nakrycia, tak że Hugh Whit-bread, pełen przyjaznych uczuć do całego wszechświata i jednocześnie bardzo pewny swego miejsca w nim, spytał odkładając widelec:

- Czy nie wyglądałyby ładnie przy pani koronkach?

Ta poufałość oburzyła pannę Brush. Jakież to źle wychowany człowiek! Lady Bruton roześmiała się widząc jej minę.

Lady Bruton wzięła do ręki goździki i trzymała je sztywno, gestem bardzo podobnym do tego, jakim generał na portrecie za nią trzymał rulon pergaminu. Znieruchomiała, zamarła w tym ruchu. Kimże ona jest, prawnuczką generała? A może praprawnuczką? zastanawiał się Ryszard Dał-loway. Sir Roderick, sir Miles, sir Talbot... tak, było ich trzech. To zdumiewające, że w tej rodzinie podobieństwo uwydatnia się w kobietach. Sama powinna być generałem dragonów. A Ryszard z największą radością służyłby pod jej rozkazami; miał

dla niej bezgraniczny szacunek; w jego poglądach na te mocno osiadłe stare damy ze znakomitych rodów było mnóstwo romantyzmu i byłby rad - bez cienia złości - gdyby mógł przyprowadzić do niej na lunch kilku młodych zapaleńców spośród swoich znajomych; tylko że kobiety jej gatunku nie wywodziły się spośród sympatycznych, popijających herbatę intelektualistów! Ryszard Dalloway znał strony, z których pocho. Znał jej rodzinę. Była w ich majątku winna latorośl wciąż owocująca, pod którą Herrik albo Lovelace - lady Bruton nie czytywała poezji, ale tak głosiła legenda - ongiś siadywał. Lepiej poczekać ze sprawą, która ją dręczy (czy odwołać się do opinii publicznej i ewentualnie jak sformułować list; itp.), lepiej poczekać, aż wypiją kawę, pomyślała lady Bruton; i wobec tego położyła goździki obok swego talerza.

- Jak się miewa Klarysa? - spytała niespodziewanie.

Klarysa twierdziła, że lady Bruton jej nie lubi. I rzeczywiście lady Bruton miała opinię osoby bardziej interesującej się polityką niż ludźmi; prowadziła męskie rozmowy; mówiono, że maczała palce w pewnej słynnej intrydze lat osiemdziesiątych, o czym ostatnio zaczynały się pokazywać wzmianki w pamiętnikach. Tak czy inaczej, w jej salonie była alkowa, w tej alkwie był stół, a na tym stole stała fotografia nie żyjącego już generała sir Talbota Moore'a, który pewnego wieczoru w latach osiemdziesiątych, w obecności lady Bruton, za jej wiedzą, a może nawet radą, napisał na tym stole telegram rozkazujący armii brytyjskiej ruszyć do ataku w pewnym historycznym momencie. (Dotąd ma to pióro i opowiada tę historię.) Gdy więc zapytywała szorstko: jak się miewa Klarysa? mężom nie było łatwo przekonać żony (prawdę mówiąc nawet ci najbardziej kochający sami mieli wątpliwości), że lady Bruton odnosi się życzliwie do kobiet, które często przeszkadzają mężom w karierze, odmawiają im wyjazdów na placówki zagraniczne i w najgorętszym momencie sesji parlamentarnej każą się wywozić nad morze, bo przeszły właśnie ciężką influencę. Niemniej jednak kobiety wiedziały, że jej pytanie: jak się miewa Klarysa? jest dowodem życzliwości niemal nigdy nie wyrażanej słowami,

życzliwości osoby, której wypowiedzi (może było ich sześć w ciągu całego życia) świadczą o solidarności kobiecej łączącej, poza tymi męskimi lunchami, lady Bruton z Kla-ryszą Dalloway; łączącej je więzią tym osobliwszą, że podczas rzadkich spotkań odnosiły się do siebie obojętnie, a nawet wrogo.

- Spotkałem Klarysę dzisiaj rano w Parku - powiedział Hugh Whitbread zanurzając widelec w kamionce z kurą, zadowolony, że może sobie złożyć ten mały hołd, bo wystarczy, żeby przyjechał do miasta, a zaraz wszystkich spotyka! Ale co za łakomczuch, pomyślała Milly Brush, która obserwowała mężczyzn z surową bezstronnością i umiała się zdobyć na największe poświęcenia, zwłaszcza w stosunku do przedstawicielek własnej płci, ponieważ była brzydka, niezgrabna, kanciasta w ruchach i zupełnie pozbawiona kobiecego wdzięku.

- Wiecie, kto przyjechał? - spytała lady Bruton przerywając nagle bieg jej myśli. - Nasz kochany Piotr Walsh.

Uśmiechnęli się wszyscy. Piotr Walsh! A pan Dalloway naprawdę się ucieszył, pomyślała Milly Brush. Pan Whitbread myślał tylko o kurczaku.

Piotr Walsh! Wszyscy troje, lady Bruton, Hugh Whitbread i Ryszard Dalloway, pomyśleli o tym samym: że Piotr kochał się bez pamięci, że dostał kosza, pojechał do Indii, nic tam nie zdziałał, zmarnował życie; a Ryszard Dalloway naprawdę był przywiązany do tego kochanego chłopca! Milly Brush zaraz to zauważyła; spostrzegła głębie w jego brązowych oczach, zobaczyła, że się waha, zamyśla, co bardzo ją zaintrygowało (pan Dalloway zawsze ją intryguje), bo co też może myśleć o Piotrze Walshu? zastanawiała się Milly Brush.

Że Piotr Walsh kochał kiedyś Klarysę, że on, Ryszard, zaraz po lunchu pójdzie do domu i zobaczy Klarysę, i powie jej, prosto i wyraźnie, że ją kocha. Tak, powie jej, że ją kocha.

Milly Brush kiedyś o mało co nie zakochała się w jego milczeniach; pan Dalloway jest takim godnym zaufania człowiekiem; a co więcej, to prawdziwy

dżentelmen. Chociaż Milly miała lat czterdzieści, wystarczyło, żeby lady Bruton skinęła głową albo trochę szorstkim ruchem obróciła głowę, a Milly Brush natychmiast wykonywała zlecenie - jakkolwiek głębokie rozmyślenia snuł właśnie jej beznamiętny umysł, jej niezepsuta dusza, której życie nie zdołało omamić, ponieważ życie nie dało jej w podarku ani jednego drobiazgu, ani jednej ozdoby posiadającej choćby najmniejszą wartość: loku czy uśmiechu, warg czy policzka, nosa; nic, absolutnie nic. Wystarczyło, żeby lady Bruton skinęła, a Perkins wiedział, że ma prędkiej przynieść kawę.

- Tak, Piotr Walsh wrócił - powiedziała lady Bruton. W jakiś nieuchwytny sposób pochlebiało to im wszystkim. Wrócił na ich bezpieczny brzeg; pokonany, złamany niepowodzeniem wrócił na ich bezpieczny brzeg. Ale dopomóż mu, powiedzieli sobie, jest niemożliwością; wszystko z winy jakiejś zasadniczej skazy w jego charakterze. Hugh Whitbread powiedział, że można by naturalnie wspomnieć o nim takiej a takiej osobistości. Zrobił żalobną, pompatyczną minę na myśl o liście, jaki napisze do szefów biur ministerialnych w sprawie „mojego drogiego starego przyjaciela, Piotra Walsha, itd.” Nie da to jednak żadnego rezultatu, żadnego trwałego rezultatu, bo na przeszkodzie stoi ten jego charakter.

- Kłopoty z kobietą - powiedziała lady Bruton. Wszyscy się domyślali, że właśnie to było przyczyną.

- Ale dowiemy się o wszystkim od samego Piotra - dodała lady Bruton, chcąc jak najprędzej zmienić temat.

(Bardzo długo nie podają tej kawy.)

- Czy mogłaby mi pani podać jego adres? - spytał cicho Hugh Whitbread; i natychmiast wezbrał i zafalował szary, jednostajny nurt obsługi, który dzień po dniu płynął wokół lady Bruton, zgarniając, zatrzymując, otulając ją w delikatną tkaninę; który chronił od wstrząsów, usuwał przeszkody, rozpościerał w całym domu przy Brook Street gęstą sieć; w okach tej sieci umieszczano to wszystko, co w razie potrzeby znajdował natychmiast, niemal na ślepo Perkins, od

trzydziestu lat w służbie u lady Bruton; Perkins zapisał teraz adres i wręczył go panu Whitbreadowi; a pan Hugh Whitbread wyjął z kieszeni portfel, podniósł brwi i wsunawszy kartkę między państwowe dokumenty najwyższej wagi oznajmił, że powie Evelyn, aby zaprosiła Piotra na lunch.

(Czekali z wniesieniem kawy, aż pan Whitbread skończy jeść.)

Jakiż ten Hugh powolny, myślała lady Bruton. Zauważyła, że utył. Ryszard utrzymuje zawsze doskonałą formę. Zaczynała tracić cierpliwość; wszystkie jej myśli skupiły się - władczo odsuwając na bok te niepotrzebne głupstwa (jak Piotr Walsh i jego przeżycia) - na sprawie, która pochłaniała całą jej uwagę; i nie tylko uwagę, lecz także to, co było najistotniejszą częścią jej duszy, to, bez czego Millicent Bruton nie byłaby Millicent Bruton; na sprawie emigracji młodych ludzi obojga płci z porządnych rodzin do Kanady i zapewnienia im tam przyszłości. Posunęła się za daleko, przesadziła. Może nawet straciła poczucie proporcji. Dla innych emigracja nie była jedynym ratunkiem, niezrównaną koncepcją. Nie była dla nich (dla Hugh'a, dla Ryszarda, nawet dla pełnej oddania panny Brush) klapą bezpieczeństwa, przez którą uchodzi egoizm gromadzący się w silnej, wojowniczej kobiecie, dobrze odżywionej, z dobrego domu, impulsywnej, o nieskomplikowanej uczuciowości, niemal zupełnie pozbawionej daru introspek-cji (szczerść i prostota - dlaczego ludzie nie są szczerzy i prości, zastanawiała się lady Bruton); gdy minie młodość, taka kobieta czuje narastającą w niej energię, którą musi skierować na coś - na emigrację, emancypację; ale czymkolwiek jest ów obiekt czerpiący co dzień z soków jej duszy, stanie się nieuchronnie pryzmatem - ni to zwierciadłem, ni to szlachetnym kamieniem raz ukrywanym starannie, w obawie, że ludzie będą z niego szydzili, kiedy indziej znów okazywanym z dumą. Słowem, emigracja w dużej mierze utożsamiła się z lady Bruton.

Zdarzało się jednak, że lady Bruton musiała coś napisać. A jeden list do „Timesa”, jak mówiła pannie Brush, kosztował ją więcej wysiłku niż zorganizowanie ekspedycji do Południowej Afryki (co zrobiła w czasie wojny).

Spędziwszy ranek na ciężkich zmaganiach - zaczynając list, drąc, zaczynając od nowa - uświadamiała sobie wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd bezradność swojej płci i z wdzięcznością zwracała myśli ku Hughowi, który posiadał, tego nikt nie może mu odmówić, sztukę pisania listów do „Timesa”.

Istota tak od niej różna, tak inaczej skonstruowana, panująca nad słowami, umiejąca nadać myślom taki kształt, jaki lubią redaktorzy - nie, o takiej istocie nie można powiedzieć, że jej jedyną namiętnością jest jedzenie! Lady Bruton często powstrzymywała się od wygłaszania sądów o mężczyznach; powodował ją szacunek dla owej tajemniczej uległości, z jaką mężczyźni, nigdy kobiety, poddają się prawom wszechświata; wiedzą, jak wyrazić myśli, znają opinię publiczną. Była więc pewna, że jeśli Ryszard jej poradzi, a Hugh za nią napisze, wszystko będzie w porządku. Przeto pozwoliła Hughowi skończyć suflet, spytała o zdrowie biednej Evelyn i dopiero gdy panowie zapalili cygara, powiedziała:

- Milly, bądź taka dobra i przynieś papiery.

Panna Brush wyszła, wróciła; położyła papiery na stole, Hugh wyjął z kieszeni wieczne pióro; swoje srebrne wieczne pióro, które służy mu już dwadzieścia lat, powiedział zdejmując nakrętkę. Jest wciąż w doskonałym stanie; pokazał je fabrykantom, którzy oznajmili, że nic nie wskazuje na to, że się kiedykolwiek zepsuje; co w jakiś sposób miało dobrze świadczyć o Hughu i o poglądach, które Hugh wyraża tym piórem, pomyślał Ryszard Dalloway, podczas gdy Hugh z namaszczeniem stawiał na marginesie duże litery w kółkach i w magiczny sposób wprowadzał ład w gmatwaninę myśli lady Bruton, wprowadzał gramatykę, która z pewnością, myślała lady Bruton obserwując tę cudowną metamorfozę, zrobi korzystne wrażenie na redaktorze „Timesa”. Hugh był powolny, Hugh był systematyczny. Ryszard powiedział, że należy czasem ryzykować. Hugh proponował zmiany „z uwagi na szacunek dla uczuć czytelników”, a gdy Ryszard wybuchnął śmiechem, powiedział dość ostro, że „należy się z nimi liczyć”, i przeczytał: „Dlatego też sądzimy... że czasy

dojrzały... nadmiar młodzieży w naszym wciąż rozrastającym się społeczeństwie... nasz obowiązek wobec zmarłych...". Ryszard pomyślał, że to wszystko woda i czcza gadanina, ale naturalnie nieszkodliwa, przeto Hugh spisywał, w porządku alfabetycznym, najszlachetniejsze z ludzkich uczuć, strzepywał popiół z kamizelki, od czasu do czasu rekapitulował postęp, jaki dotąd zrobili, i w końcu odczytał na głos projekt listu, który lady Bruton uznała za istne arcydzieło. Czy możliwe, żeby jej własne myśli przyoblekły się w taki kształt? Hugh nie mógł zagwarantować, że list ukaże się w „Timesie”, ale w najbliższych dniach spotka się z kimś na lunchu.

Wtedy lady Bruton, która rzadko zdobywała się na gesty uprzejmości, wsunęła wszystkie goździki Hugh'a za dekolt sukni i wyciągnawszy ramiona zawołała: - Mój ty premierze! - Naprawdę nie wie, co by bez nich zrobiła! Wstali od stołu. A Ryszard Dalloway poszedł, jak zwykle, rzucić okiem na portret generała, ponieważ zamierzał kiedyś, jeśli mu czas pozwoli, napisać historię rodu lady Bruton.

Millicent Bruton była bardzo dumna ze swoich przodków. Ale mogą poczekać, mogą poczekać, zawołała spoglądając na obraz; chciała przez to powiedzieć, że jej przodkowie - w większości generałowie, wielkorządcy, admirałowie - byli ludźmi czynu, którzy spełnili swój obowiązek, a pierwszym obowiązkiem Ryszarda jest służyć ojczyźnie. Ale to naprawdę piękna twarz, powiedziała, i wszystkie dokumenty czekają na Ryszarda w Aldmixton, czekają, aż przyjdzie odpowiednia pora; miała na myśli rząd labourzystowski. - Ach, te wiadomości z Indii są naprawdę alarmujące - zawołała.

Potem w hallu, gdy brali z misy na malachitowym stoliku żółte rękawiczki i Hugh ofiarowywał pannie Brush z przesadną kurtuazją jakiś bilet, którego sam nie chciał, czy prawil jej grzeczności, co skwitowała głuchą nienawiścią w sercu i gwałtownym rumieńcem na twarzy, Ryszard, z kapeluszem w ręku, zwrócił się do lady Bruton i powiedział:

- Naturalnie zobaczymy panią dziś wieczorem? - Słyszac to lady Bruton przywołała natychmiast cały swój majestat, starty na proch podczas pisania listu. Może przyjdzie; ale z drugiej strony może nie przyjdzie. Klarysa ma doprawdy niespożyta energię. Lady Bruton boi się śmiertelnie przyjąć Ale cóż, starość. Wszystko to dała im do zrozumienia stojąc na progu - urodziwa, bardzo wyprostowana - podczas gdy jej chow-chow przeciągał się w hallu, a panna Brush znikła gdzieś w głębi niosąc plik dokumentów.

Majestatyczna, imponująca lady Bruton poszła na górę do sypialni i położyła się - z jedną ręką wyciągniętą - na sofie. Wzdychała, pochrapywała, ale to wcale nie znaczy, że zasnęła, tylko była senna i ociężała, senna i ociężała jak pole koniczyny, nad którym krążą pszczoły i żółte motyle. Zawsze wracała myślami do tego pola koniczyny w Devonshire, gdzie przeskakiwała przez strumyki na swoim kucu Patty, wraz z braćmi, Mortimerem i Tomem. I były psy; były szczury; był jej ojciec i matka na trawniku pod drzewami, gdzie podawano podwieczorek, były klomby dalii, były róże pnące, były ozdobne trawy; a oni, smarkacze, zawsze gotowi do psoty! Wracając z szaleńczych wypraw przekradali się przez krzaki, żeby nikt nie zobaczył ich zniszczonych ubrań. Jak stara niańka gderała na widok jej sukienek!

Ach, Boże, przypominała sobie! To środa, i ona jest na Brook Street. Ci dwaj pocziwcy, Ryszard Dalloway i Hugh Whitbread, wyszli na rozpalone słońcem ulice, których gwar docierał tu do niej na sofie. Tak, ma wpływy, pozycję, ma pieniądze. Przeżyła życie na świeczniku swoich czasów. Miała przyjaciół. Znała najwybitniejszych ludzi swojej epoki. Pomruk Londynu dociera tu do niej i jej dłoń leżąca na oparciu kanapy zaciska się na urojonej buławie - takiej, jaką dzierżyli jej przodkowie; a gdy tak leży, senna i ociężała, wydaje się sprawować dowództwo nad pułkami emigrantów maszerujących do Kanady i nad tą parą zacnych przyjaciół, którzy idą ulicami Londynu, ulicami tego ich własnego terytorium, tego maleńkiego skrawka ziemi wyściełanego

dywanami, zwanego Mayfair.

Oddalają się od niej, a w miarę jak się oddalają, cienka nić (jedli przecież u niej lunch), która ich *i* nią łączyła, rozciąga się, staje się coraz cieńsza, gdy tak idą ulicami Londynu; mogłoby się zdawać, że przyjaciele po zjedzeniu lunchu są przywiązani nicią do ciała gospodyni, cienką nicią, która (gdy ona drzemie tu na kanapie) zatracą się pod dźwiękami dzwonów wybijających godzinę, wzywających na nabożeństwo, tak jak pojedyncza nić pajęczyny poznaczona kroplami deszczu obwisa pod ich ciężarem i pęka. Lady Bruton zasnęła.

A Ryszard Dalloway i Hugh Whitbread zawahali się i przystanęli na rogu Conduit Street w chwili, kiedy leżąca na kanapie Millicent Bruton dopuściła do zerwania się nici; chrapnęła. Wiatr hulał na Conduit Street. Ryszard i Hugh spojrzeli na wystawę sklepu; nie mieli ochoty ani nic kupować, ani rozmawiać ze sobą, pragnęli tylko rozstać się jak najprędzej, ale ponieważ wiatr hulał na rogu ulicy, ponieważ w ciałach odczuwali jakby odpływ sił żywotnych - dwie siły zderzające się z sobą, ranek i popołudnie - przystanęli na rogu ulicy. Jakiś afisz wzbił się w powietrze, najpierw śmiało, podobny do latawca, ale nagle znieruchomiał, zadygotał, zaczął spadać; welon przy damskim kapeluszu też obwisł. Żółte markizy drżały na wietrze. Poranny ruch uliczny zelżał i pojedyncze wozy dudniły na pół wyludnionymi ulicami. W Norfolk, o którym Ryszard Dalloway niejasno myślał, łagodny, ciepły wiatr podrywa w górę płatki kwiatów, marszczy tafle wody, muska kwitnące trawy. Kosiarze, odsypiający pod żywopłotami trud poranka, rozsuwają zasłony zielonych to, poruszają drżące kule dzikiej trybulki, aby spojrzeć w niebo; w błękitne, spokojne, letnie niebo buchające żarem.

Choć Ryszard orientował się, że patrzy na srebrny puchar z epoki Jakuba I, z dwoma uchami, i że Hugh Whitbread przygląda się dość łaskawie, z miną konesera, hiszpańskiemu naszyjnikowi, o którego cenę miał zamiar spytać, bo może spodoba się Evelyn, nadal czuł w całym ciele odrętwienie, nie mógł ani zebrać myśli, ani się poruszyć. Życie wyrzuca mnóstwo takich wraków;

wystawy sklepowe pełne są kolorowych szkiełek, a człowiek stoi odrętwiały letargiem starości, zeszywniały drętwością starości i patrzy. Evelyn Whitbread może zechce kupić ten hiszpański naszyjnik - a niech kupuje. Ryszard musi ziewnąć. Hugh wchodzi do sklepu.

- Masz rację! - powiedział Ryszard idąc za nim.

Bóg mu świadkiem, że nie chce kupować naszyjników z Hughiem Whitbreadem. Ale ciało ma swoje przyływy i odpływy. Ranek spotyka się z popołudniem. Utrzymujący się jak krucha łupina na głębokich, głębokich wodach pradziadek lady Bruton, wraz ze swoimi pamiątkami i swoimi kampaniami w Ameryce Północnej, zalany falą poszedł na dno. Millicent Bruton także poszła na dno. Ryszarda nic nie obchodzi emigracja ani ten list - czy się ukaże w „Timesie”, czy nie. Naszyjnik wisiał rozpostarty na niezrównanych palcach Hug-ha. Jeśli musi kupować klejnoty, niechże da ten naszyjnik jakiejś dziewczynie, wszystko jedno jakiej, pierwszej lepszej na ulicy. Bo nagle uderzyła Ryszarda jałowość tego życia - kupowanie naszyjników dla Evelyn! Gdyby miał syna, powiedziałby mu: pracuj, pracuj! Ale ma swoją Elżbietę; uwielbia swoją Elżbietę.

- Chciałbym zobaczyć pana Dubonneta - powiedział Hugh oschłym tonem człowieka światowego. Otóż ów Dubonnet znał wymiary szyi pani Whitbread, a co jeszcze bardziej zdumiewające, znał jej upodobania i wiedział, ile posiada sztuk hiszpańskiej biżuterii (Hugh nie mógł sobie tego przypomnieć). Wszystko to wydało się Ryszard-(jowi Dallowayowi niesłychanie dziwne. Bo sam nigdy nie dawał Klarysie prezentów - oprócz tej jednej bransoletki przed dwoma czy trzema laty, ale prezent nie bardzo mu się udał. Klarysa nigdy jej nie nosi. Zrobiło mu się przykro, kiedy sobie przypominał, że Klarysa nie nosi tej bransoletki. I tak jak pojedyncza nić pajęczyny po odbyciu krętej drogi przyczepia się w końcu do czubka liścia, tak myśli Ryszarda, gdy ocknął się z letargu, pobiegły do żony, Klarysy, którą Piotr Walsh kochał kiedyś bez pamięci. Nagle Ryszard zobaczył ją, podczas lunchu, zobaczył siebie i Klarysę,

zobaczył ich wspólne życie; i przyciągnąwszy tackę ze starą biżuterią brał do ręki najpierw tę starą broszkę, potem tamten stary pierścionek i pytał: ile kosztuje? ale nie ufał własnemu gustowi. Pragnął otworzyć drzwi salonu i wejść trzymając coś w ręku; prezent dla Klarysy. Ale jaki prezent? Tymczasem Hugh poczuł się znów sobą. Był niewypowiedzianie pompatyczny. Od trzydziestu pięciu lat jest klientem tego sklepu i nie pozwoli, żeby taki młokos nie znający się na fachu zbywał go niczym. Otóż Dubonnet wyszedł, a Hugh oświadczył, że nie kupi nic, dopóki Dubonnet nie zechce łaskawie wrócić; słysząc to młody subiekt zaczerwienił się i pochylił głowę w swoim poprawnym ukłonie. Całej tej scenie nie można było nic zarzucić. A jednak Ryszard za skarby świata by tego nie powiedział! Że też ci ludzie przyjmują bez protestu taką arogancję! Głupota Hugh'a doszła do szczytu. Ryszard Dalloway nie wytrzymał w jego towarzystwie dłużej niż godzinę. Machnąwszy więc na pożegnanie melonikiem, skręcił za róg Conduit Street, pragnąc - tak, gorąco pragnąc - iść za tą pajęczą nicią czułości, która go wiązała z Klarysą; pójdzie prosto do niej, do Westminsteru.

Ale chciał wejść trzymając coś w ręku. Kwiat) Tak, kwiaty, skoro nie ufa własnemu gustowi przy wyborze klejnotów; kwiaty - mnóstwo róż, orchidei, żeby uczcić coś, co było, jakkolwiek na to spojrzeć, wydarzeniem; to, co czuł do niej, kiedy przy lunchu wspomniano o Piotrze. Nigdy sobie nie mówią, że się kochają; od lat sobie tego nie mówili; co jest błędem, pomyślał biorąc do ręki białe i czerwone róże (duży bukiet owinięty w bibułkę), niewybaczalnym błędem. Przychodzi taka chwila, kiedy nie można już sobie tego powiedzieć; nieśmiałość nie pozwala tego powiedzieć, myślał chowając do kieszeni resztę; i z wielkim bukietem w ręku kierował się w stronę Westminsteru, żeby powiedzieć Klarysie prosto i zwyczajnie (niech to traktuje, jak chce), podając kwiaty: kocham cię. Właściwie dlaczego nie miałby jej tego powiedzieć? To naprawdę jest cud, kiedy się pomyśli o wojnie i o tych tysiącach biedaków, którzy mieli całe życie przed sobą, wrzuconych do wspólnego grobu i już na pół

zapomnianych. To cud, że idzie ulicami Londynu, żeby powiedzieć Klarysie prosto i zwyczajnie, że ją kocha. Żeby jej powiedzieć to, czego nigdy się nie mówi, pomyślał. Częściowo z lenistwa, częściowo z nieśmiałości. A Klarysa... trudno o niej myśleć, chyba tylko w nagłych porywach, jak teraz przy lunchu, kiedy nagle zobaczył ją bardzo wyraźnie, zobaczył całe ich życie. Zatrzymał się na skrzyżowaniu i powtórzył - bo był człowiekiem prostym z natury i niezepsutym, bo dużo polował i dużo obcował z naturą; bo był człowiekiem wytrwałym i upartym, obrońcą nieszczęśliwych i uciśnionych, bo pozostał wierny sobie w Izbie Gmin; bo chociaż zachował swoją prostotę nienaruszoną, stał się jednak człowiekiem powściągliwym, małomównym, trochę sztywnym - powtórzył, że to cud, to, że się ożenił z Klarysą. To cud, pomyślał; całe jego życie to cud. Tak myślał, czekając na przejście przez jezdnię. Ale zawrzało w nim, kiedy nagle zobaczył pięcio- czy-sześćioletnie dzieci przechodzące same przez Piccadilly. Policjant powinien był natychmiast zatrzymać ruch. Nie miał złudzeń co do londyńskich policjantów. Zbierał nawet dowody ich wykroczeń; ci wózkarze, którym nie wolno stać na jezdni; i prostytutki; mój Boże, to nie ich wina ani wina młodych mężczyzn, tylko naszego oburzającego systemu społecznego, i tak dalej. Oto o czym rozmyślał, oto jak się go widziało, gdy siwy, stanowczy, zręczny w ruchach i schludny szedł przez park, żeby powiedzieć żonie, że ją kocha.

Tak, kiedy wejdzie do pokoju, powie jej to prosto i zwyczajnie. Bo to marnotrawstwo nie mówić nigdy o tym, co się czuje, myślał idąc przez Green Park i przyglądając się z zadowoleniem rodzinom, całym rodzinom biedaków rozłożonym na trawie w cieniu drzew; niemowlęta bijące nóżkami, ssące piersi; na ziemi pełno torebek i papierów, które z łatwością mógłby pozbierać (gdyby to komu przeszkadzało) jeden z tych otyłych panów w liberii. Bo Ryszard Dalloway uważał, że wszystkie parki i wszystkie skwery powinny być w miesiącach letnich udostępnione dzieciom. (Trawa w parku mieniła się migotliwym światłem, rzucając blask na biedne matki z Westminsteru i pełzające po ziemi

niemowlęta, jak gdyby ktoś przesuwiał pod spodem żółtą lampę.) Ale w jaki sposób dopomóc kobietom-włóczęgom, takim jak to biedne stworzenie rozciągnięte na trawie, oparte na łokciu (mogłoby się zdawać, że zerwawszy wszystkie więzy rzuciła się na ziemię, aby obserwować ciekawie, aby spekulować śmiało, aby rozważać wszystkie „jak”i „dlaczego” - bezczelna, wygadana, dowcipna), tego Ryszard Dalloway nie wiedział. Niosąc swój bukiet kwiatów jak oręż, zbliżał się do niej; pochłonięty własnymi myślami minął ją, ale w ostatniej chwili przebiegła między nimi iskierka - ona roześmiała się na jego widok, on uśmiechnął się dobrotliwie, cały czas rozważając w myślach problem włóczęgotwa wśród kobiet; naturalnie nie zamienili ani jednego słowa. Tak, powie Klarysie, że ją kocha, powie jej to prosto i zwyczajnie. Kiedyś, dawno temu, był zazdrosny o Piotra Walsh; zazdrosny o niego i o Klarysę. Ale ona mnóstwo razy mu mówiła, że postąpiła słusznie, bo nie powinna była wychodzić za Piotra, co dla kogoś, kto ją zna, jest aż nadto oczywiste; bo Klarysą trzeba się opiekować. Nie znaczy to wcale, że jest słaba, ale trzeba się nią opiekować.

Trzeba przyznać, pomyślał Ryszard Dalloway patrząc na Buckingham Pałace (co niby podstarzała primadonna stoi w bieli przed publicznością), że ma w sobie pewną godność; i naprawdę nie wolno szydzić z tego, co ostatecznie dla milionów (niewielki tłum stał przed bramą czekając na wyjazd króla) jest symbolem, może niedorzecznym, ale symbolem; dziecko rozporządzające pudełkiem klocków wybudowałoby coś lepszego, pomyślał spoglądając na pomnik królowej Wiktorii (którą widział raz jeden, w rogowych okularach jechała powozem przez Kensington), na jego biały masyw, na macierzyńską rozłożystość. Ale był rad, że rządzą nim potomkowie Horsy, cieszyła go ta ciągłość; cieszyła świadomość, że uczestniczy w przekazywaniu przyszłym pokoleniom tradycji przeszłości. Żyje w wielkiej epoce. A czy samo jego życie nie jest cudem? Oto idzie, on, Ryszard Dalloway, mężczyzna w sile wieku, idzie do swojego domu w Westminster, żeby powiedzieć Klarysie, że ją kocha. To

właśnie jest szczęście, pomyślał.

To jest szczęście, powiedział sobie wchodząc na Dean's Yard. Odezwał się Big Ben, najpierw ostrzegawczo, melodyjnie, potem nieodwołalnie wydzwaniał godziny. Te prośzone lunche psują całe popołudnie, pomyślał zbliżając się do drzwi.

Głos Big Bena wpłynął przez okno i dźwięki wypełniły salon, gdzie Klarysa siedziała przy biurku zdenerwowana, zirytowana. To prawda, że nie zaprosiła EUie Henderson na przyjęcie, ale zrobiła to rozmyślnie. A teraz pani Marsham pisze: „O-biecałam Ellie Henderson, że Ci przypomnę... Ellie tak bardzo chciałaby przyjść.”

Bo właściwie dlaczego miałyby zapraszać wszystkie nudne kobiety Londynu? Dlaczego pani Marsham wtrąca się do nie swoich spraw? A tam na górze Elżbieta siedzi od nie wiedzieć jak dawna zamknięta w pokoju z panną Kilman. Obrzydliwość - modlić się o tej porze z tą kobietą! Dzwon zatopił pokój swoimi melancholijnymi falami dźwięku, które cofnąwszy się zbierały siły, aby ponownie uderzyć, gdy nagle Klarysa usłyszała jakiś szelest, jakiś szmer za drzwiami. Kto to może być - o tej godzinie? Mój Boże, trzecia! Już trzecia! Bo z obezwładniającą prostotą i godnością zegar wybił trzy razy; Klarysa nie słyszała już więcej, ale klamka poruszyła się i do pokoju wszedł Ryszard! Co za niespodzianka! Wszedł Ryszard z kwiatami w wyciągniętej ręce. Zrobiła mu kiedyś zawód w Konstantynopolu; a lady Bruton, której prośzone lunche są podobno takie zabawne, nie zaprosiła jej do siebie. Trzymał w wyciągniętej ręce kwiaty, róże, czerwone i białe róże! (Ale nie mógł, nie potrafił jej powiedzieć, że ją kocha; nie potrafił jej powiedzieć tego prosto i zwyczajnie.)

- Jakie śliczne - powiedziała biorąc kwiaty. Zrozumiała; zrozumiała, chociaż on nic nie powiedział; jego Klarysa. Wstawiła róże do wazonu na półce nad kominkiem. Jak tu ślicznie wyglądają, powiedziała. A czy lunch był zabawny? Czy lady Bruton o nią pytała? Piotr Walsh wrócił. Dostała list od pani Marsham. Czy naprawdę musi zaprosić Ellie Henderson? Ta straszna Kilman

jest na gorze.

- Ale siądźmy na pięć minut - powiedział Ryszard.

Salon wydaje się taki pusty. Wszystkie krzesła stoją pod ścianą. Co tu zrobiono? Och, przyjęcie! Nie, skądże, nie zapomniał o przyjęciu. Piotr Walsh wrócił. A tak, był u niej. Chce wystąpić o rozwód; zakochał się w jakiejś kobiecie, tan w Indiach. I nic a nic się nie zmienił. Siedziała u cerując suknię...

- I myślałam właśnie o Bourton - powiedziała.

- Hugh był na lunchu - powiedział Ryszard. Ona też go dzisiaj spotkała! Naprawdę trudno z nim wytrzymać. Kupuje Evelyn naszyjniki; znowu utył; nieprawdopodobny błazen.

- I przysłała mi do głowy taka myśl: „Mogłam była wyjść za niego!” - powiedziała Klarysa myśląc o Piotrze, jak siedział tu, w tej swojej małej muszce, zamykając wciąż i otwierając scyzoryk.

- Wiesz, jest taki jak zawsze.

Rozmawiali o nim podczas lunchu, powiedział Ryszard. (Ale nie mógł jej powiedzieć, że ją kocha. Trzymał ją za rękę. To jest właśnie szczęście, pomyślał.) Redagowali list, który Millicent Bruton chce wysłać do „Timesa”. To jedyna rzecz, do której Hugh się nadaje.

- A jak tam z naszą ukochaną panną Kilman?

- spytał. Klarysa pomyślała, że róże wyglądają naprawdę pięknie; najpierw zbite w ciasny pęk, teraz nagle same zaczęły się układać w wazonie.

- Kilman przysłała, kiedy kończyliśmy lunch - powiedziała. - Elżbieta cała w rumieńcach. Poszły na górę. Pewnie się modlą.

Ach! Nie podobało mu się to. Ale te rzeczy mijają, jeżeli nie zwracać na nie uwagi.

- W deszczowym płaszczu i z parasolką - powiedziała Klarysa.

Nie powiedział: kocham cię, ale ją trzymał za rękę. To jest szczęście, właśnie to, pomyślał.

- Czy ja muszę prosić na przyjęcie wszystkie nudne kobiety Londynu? -

spytała Klarysa. Czy jak pani Marsham robi przyjęcia, ona, Klarysa, zaprasza do niej gości?

- Biedna Ellie Henderson - powiedział Ryszard; to naprawdę dziwne, jak wielką wagę przywiązuje Klarysa do tych swoich przyjęć, pomyślał.

Cóż, Ryszard nie jest wrażliwy na wygląd salonu. Ale co jej poradzi?

Jeżeli ona aż tak bardzo przejmuje się tymi przyjęciami, nie pozwoli jej zapraszać gości. Czy żal jej, że nie wyszła za Piotra? Ale musi już iść.

Musi już iść, powiedział wstając. Ale nie odchodził przez chwilę, jakby chciał jej jeszcze coś powiedzieć. Zastanawiała się - co. Dlaczego? Przyniósł róże.

- Jakaś komisja? - spytała, gdy otwierał drzwi.

- Armeńczycy - powiedział; albo może powiedział: „Albańczycy”.

W ludziach głęboko tkwi poczucie godności; istnieje potrzeba samotności; nawet między mężem i żoną istnieje przepaść. I to należy uszanować, pomyślała Klarysa przyglądając mu się, gdy otwierał drzwi; bo gdyby sama jej się wyrzekła albo zabrała ją, wbrew woli, mężowi, straciłaby jednocześnie własną niezależność, szacunek dla siebie - coś, co w gruncie rzeczy jest bezcenne. Wrócił z poduszką i pledem.

- Po lunchu godzina odpoczynku - powiedział.

I poszedł.

Jakie to dla niego charakterystyczne! Do końca życia będzie powtarzał: po lunchu godzina odpoczynku, ponieważ kiedyś zalecił jej to doktor. Jakie to dla niego charakterystyczne, że bierze dosłownie wszystkie zalecenia lekarzy; jest to częśćka jego zachwycającej, jego boskiej prostoty, w której nikt na świecie mu nie dorówna; ta właśnie prostota kazała mu działać, kiedy ona i Piotr tracili czas na sprzeczki. Ułożył ją na kanapie, wpatrzoną w jego róże, a sam jest już w połowie drogi do Izby Gmin, do swoich Armeńczyków czy Albańczyków. A ludzie powiedzieliby: „Klarysa Dalloway jest nieprawdopodobnie psuta.” Dużo więcej obchodzą ją róże niż Armeńczycy. Zaszczuci, znękani, konający z zimna,

ofiary okrucieństwa i niesprawiedliwości (ileż razy słyszała Ryszarda wypowiadającego te słowa)... nie, nie może wzbudzić w sobie żadnych uczuć do Albańczyków... czy może chodziło o Armeńczyków? Ale kocha swoje róże (czy to nie pomaga Armeńczykom?), jedyne cięte kwiaty, których okaleczały widok nie sprawia jej przykrości. Ryszard jest już w Izbie Gmin, na posiedzeniu komisji, a zanim wyszedł, pomógł jej rozwiązać wszystkie trudności. Ach nie - wcale nie! Nie zrozumiał, dlaczego Klarysa nie chce prosić Ellie Henderson. Zaprosi ją, naturalnie, skoro on sobie tego życzy. A ponieważ przyniósł poduszkę, odpocznie chwilę... Ale dlaczego... dlaczego poczuła się nagle, bez żadnego wyraźnego powodu, tak strasznie nieszczęśliwa? Jak osoba, która zgubiła w trawie perłę albo brylant i rozsuwa wysokie łądźki z tej strony i z tamtej, szuka na próżno tu i tam i wreszcie znajduje zgubę między korzonkami, tak Klarysa zastanawiała się kolejno to nad tym, to nad tamtym. Nie, to nie dlatego, że Sally Seton powiedzia-}a kiedyś (przypomniało jej się nagle), że Ryszard nigdy nie wejdzie do rządu, ponieważ jest człowiekiem miernej inteligencji; wcale jej to nie martwi. Mie miało to też nic wspólnego z Elżbietą i Doris Kilman, to są przecież fakty. Nie... gnębi ją jakieś uczucie, niemiłe uczucie, może z wcześniejszych godzin dnia; wywołane czymś, co powiedział Piotr, w połączeniu z chwilową depresją, tam na górze w sypialni, kiedy zdejmowała kapelusz, i pogłębione czymś, co powiedział Ryszard... ale co on powiedział? Przyniósł jej róże. Ach, przyjęcia! Tak, naturalnie! Przyjęcia! Obaj krytykują ją niesłusznie, wyśmiewają się niesprawiedliwie z tych jej przyjęć. Ależ tak, naturalnie, o to chodzi.

No, więc jak się będzie bronić? Z chwilą kiedy już wiedziała, co ją gnębi, poczuła się najzupełniej szczęśliwa. Wyobrażają sobie - w każdym razie Piotr sobie wyobraża - że ona lubi imponować, że lubi otaczać się wybitnymi ludźmi, że kolekcjonuje wielkie nazwiska; słowem, że jest snobką. Piotr tak to chyba widzi. Ryszard uważa tylko, że to niemądrze z jej strony, skoro wie, że ruch i podniecenie szkodzą jej na serce. Uważa, że to dziecinada. I, naturalnie, obaj nie

mają racji. Przecież chodzi tylko o to, że ona lubi życie.

- Dlatego robię moje przyjęcia - powiedziała na głos zwracając się do życia.

Ponieważ leżała na kanapie - odosobniona, uwolniona - to, czego obecność wydawała jej się tak oczywista, przybrało nagle kształty konkretne, fizyczne; przyodziane w suknię gwaru ulicznego, rozświeconie, o gorącym oddechu, szepczące, poruszające storami. Ale gdyby Piotr spytał: dobrze, dobrze, ale te twoje przyjęcia... wytłumacz mi sens tych przyjęć, mogłaby odpowiedzieć tylko jedno (i naturalnie nikt by tego nie zrozumiał): są ^T ofiarą, składam je jako ofiarę - co oczywiście brzmi strasznie mętnie. Ale czy Piotr ma prawo twierdzić, że życie jest prostą sprawą? Piotr, wciąż zakochany, wciąż źle lokujący swoje uczucia? A czymże jest twoja miłość? mogłaby go spytać. Zna oczywiście odpowiedź: że miłość jest najważniejszą rzeczą na świecie i że kobiety nie rozumieją miłości. Doskonale. Ale czy jakkolwiek mężczyzna zdołałby zrozumieć, co ona odczuwa? Jaki jest jej stosunek do życia? Nie wyobraża sobie, żeby Ryszard albo Piotr zadali sobie trud wydania przyjęcia - ot tak, pozornie bez powodu.

Ale sięgając głębiej, pod warstwę ludzkich sądów (jak powierzchowne są te sądy, jak fragmentaryczne!), na samo dno jej duszy - czymże jest dla niej ta rzecz zwana życiem? Och, to bardzo osobliwe. Ktoś taki a taki mieszka w South Kensington, ktoś inny w Bayswater, jeszcze ktoś inny, powiedzmy, w Mayfair. A ona bezustannie jest świadoma ich istnienia; i mówi sobie: co za marnotrawstwo, jaka niepowetowana strata. I mówi sobie: żeby tak można ich zebrać wszystkich! No i zbiera ich u siebie. I właśnie to jest jej ofiara - tworzenie, obmyślanie; ale komu składa tę ofiarę?

Ofiara w imię samej ofiary - może.

Tak czy inaczej, jest to jej dar. Nie posiada przecież żadnych innych wartości. Nie umie ani myśleć, ani pisać, ani nawet grać na fortepianie. Mylą jej się Armeńczycy z Turkami; pragnie powodzenia, nie cierpi niewygody, chce, aby ją wszyscy lubili, mówi tysiące głupstw i do dziś nie ma pojęcia, co to

właściwie jest równik.

Ale już samo to, że jeden dzień następuje po drugim - środa, czwartek, piątek, sobota; że człowiek budzi się rano, widzi niebo, że idzie przez park, spotyka Hugh'a Whitbreada, że przychodzi Piotr, że są te róże... to wystarczy. Jak nieprawdopodobna wydaje się po tym śmierć! I że życie musi się skończyć! Nikt nie będzie wiedział, jak ona je bardzo kochała; jak bardzo, każdą sekundę...

Otworzyły się drzwi. Elżbieta wiedziała, że matka odpoczywa. Weszła bardzo cicho. Przystanąła, znieruchomiała. Czy to możliwe, że fale wyrzuciły na brzeg Norfolku jakiegoś Mongoła z rozbitego statku (tak powiadała pani Hilbery) i że ten Mongoł, powiedzmy sto lat temu, zaprzyjaźnił się z którąś z pań Dalloway? Bo Dallowayowie są niemal wszyscy jasnowłosi, niebieskoocy; a Elżbieta, przeciwnie, ma ciemne włosy, skośne oczy i bladą twarz; otacza ją atmosfera wschodniej tajemniczości; jest łagodna, delikatna, spokojna. Jako dziecko odznaczała się ogromnym poczuciem humoru; ale teraz, w siedemnastym roku życia, stała się nagle (Klarysa nie mogła zrozumieć dlaczego) poważna; była jak hiacynt otulony błyszczącą zielenią liści, o ledwie zaznaczonych pąkach, jak hiacynt, który nie widzi słońca.

Stała nieruchomo i patrzyła na matkę; ale drzwi były szeroko otwarte i Klarysa wiedziała, że za drzwiami jest panna Kilman. Panna Kilman w swoim przeciwdeszczowym płaszczu, łowiąca uchem każde ich słowo.

Tak, panna Kilman stała na podeście schodów ubrana w płaszcz od deszczu; ale miała po temu swoje powody. Po pierwsze, takie płaszcze są tanie; po drugie, panna Kilman skończyła czterdzieści lat i nie zależy jej na tym, żeby się komuś podobać. Co więcej, jest biedna, upokarzająco biedna. Inaczej nie brałaby pracy u takich ludzi jak Dallowayowie; u ludzi bogatych, którzy są dobrzy, bo im to sprawia przyjemność. Właściwie trzeba przyznać, że pan Dalloway jest dobry. Ale pani Dalloway nie jest dobra. Jest protekcyjna.

Pochodzi z najmniej wartościowej klasy - klasy bogaczy o powierzchownej kulturze. W domu mają mnóstwo kosztownych przedmiotów; obrazy, dywany,

mnóstwo służby. Panna Kilman uważała[^] że to, co Dallowayowie dla niej robią, słusznie jej się należy.

Życie ją oszukało. Tak, to wcale nie jest przesada, bo ostatecznie każda kobieta ma chyba prawo do szczęścia. A ona nigdy nie była szczęśliwa, i w dodatku jeszcze ta figura, ta jej beznadziejna bieda! Potem, kiedy się zdawało, że ma pewne widoki w szkole panny Dolby, przysłała wojna; a ona nie umie kłamać. Panna Dolby uważała, że będzie jej lepiej wśród ludzi, którzy podzielają jej poglądy na sprawę niemiecką. Musiała odejść. To prawda, że jej rodzina pochodziła z Niemiec i w osiemnastym wieku pisownia nazwiska była inna, Kiehlman; ale jej brat zginął na froncie. Wyrzucili ją, bo nie chciała kłamać, nie chciała mówić, że wszyscy Niemcy to bandyci; przecież miała wśród Niemców przyjaciół, przecież jedyne szczęśliwe chwile spędziła w Niemczech! Ale cóż, zawsze jeszcze mogła uczyć historii. Musiała jednak wziąć pierwszą lepszą pracę. Z panem Dallowayem zetknęła się podczas swojej pracy u kwa-krów. Zaproponował jej (co było naprawdę ładne z jego strony), żeby uczyła historii jego córkę. Ponadto miała jeszcze trochę wykładów zleconych, i tak dalej. A potem przyszedł do niej Pan (w tym miejscu panna Kilman pochylała zawsze głowę). Ujrzała światło dwa lata i trzy miesiące temu. Teraz nie zazdrościła już takim kobietom jak Kłara Dalloway; teraz współczuła im tylko.

Współczuła im i gardziła nimi z całego serca, gdy tak stała na puszystym dywanie spoglądając na stary sztych przedstawiający dziewczynkę z mufką w rękę. Czy na świecie może się poprawić skoro ludzie pławią się w takim zbytku? Zamiast leżeć na kanapie („Moja matka odpoczywa”, powiedziała Elżbieta), pani Dalloway powinna pracować w fabryce, powinna stać za ladą! Pani Dalloway i wszystkie inne wytworne damy!

Dwa lata i trzy miesiące temu panna Kilman - rozgoryczona, pałająca nienawiścią - wstąpiła do kościoła. Usłyszała tam kazanie wielebnego Edwarda Whittakera, usłyszała śpiew chóru chłopięcego, zobaczyła blask uroczystych

świąteł; i czy to dzięki muzyce, czy pieniągom (sama wieczorami, w czterech ścianach swego pokoju, znajdowała pociechę w grze na skrzypcach, ale grała strasznie, zupełnie nie miała słuchu), burzące się w niej i fermentujące gwałtowne uczucia ucichły, płakała długo i niepowstrzymanie, a potem poszła do wielebnego Whittakera, który mieszkał w Kensin-gton. Jest to palec Boży, powiedział pastor. Bóg wskazał jej drogę. Teraz więc, ilekroć zaczynały się w niej burzyć te gwałtowne i bolesne uczucia, ta nienawiść do pani Dalloway, te pretensje do całego świata, zaczynała myśleć o Bogu. Zaczynała myśleć o wielebnym Whittakerze. Cichło szaleństwo, zstępował na nią spokój, rozkoszna słodycz rozchodziła się po całym ciele. Same rozchyłały się wargi. Groźna w swoim płaszczu patrzyła z ponurą pogodą na panią Dalloway, która wyszła z salonu.

Elżbieta powiedziała, że zapomniała rękawiczek. To dlatego, że matka i panna Kilman nienawidziły się. Nie mogła na nie patrzeć, kiedy były razem. Pobiegnęła na górę.

Ale panna Kilman wcale nie czuła do pani Dalloway nienawiści. Zwróciła na Klarysę swoje duże agrestowe oczy i przyglądając się jej różowej twarzyczce, jej delikatnej postaci, otaczającej ją atmosferze elegancji i świeżości, myślała: idiotko!

r prostaczko! Ty, która nie wiesz, co to prawdziwy ból i prawdziwa radość, któraś zmarnowała życie na głupstwach! I poczuła przemożne pragnienie opanowania tej kobiety, zderzenia z niej maski. Byłoby jej lżej, gdyby ją mogła zwalić na ziemię! Ale nie pragnęła przecież zwycięstwa nad ciałem; pragnęła zwycięstwa nad duchem, nad tym szyderczym duchem, pragnęła dowieść swojej wyższości, przewagi. Gdyby tylko mogła zmusić ją do płaczu, gdyby mogła ją złamać, upokorzyć, gdyby mogła mieć ją u swych stóp szlochającą: tak, tak, masz słuszność! Ale to musiałyby się stać z woli Boga, nie z woli panny Kilman. Musiałyby to być zwycięstwo religii. Patrzyła więc na Klarysę, wpatrywała się w nią płonącymi oczyma.

Klarysa była naprawdę wstrząśnięta. To ma być wzór chrześcijanki - ta kobieta! Ta kobieta zabrała jej córkę! Ta kobieta obcuje z niewidzialnymi mocami! Gruba, brzydka, pospolita, ani odrobiny w niej dobroci czy łagodności - i ona miałyby znać ostateczny sens istnienia?

- Idzie pani z Elżbietą do Army and Navy Stores? - spytała pani Dalloway.

Panna Kilman odpowiedziała, że tak, idzie. Stały więc na podeście schodów. Panna Kilman nie miała zamiaru wysilać się na przyjazne tony. Całe życie zarabiała na chleb. Posiada głęboką znajomość nowożytnej historii. Ze swoich skromnych dochodów odkłada dużo na sprawy, w które wierzy, podczas gdy ta kobieta nic nie robi, w nic nie wierzy, wychowuje swoją córkę... Ale Elżbieta już jest z powrotem, trochę zdyszana i jaka śliczna!

A więc idą do domu towarowego Army and Navy. Dziwna rzecz, ale gdy panna Kilman stała tak na schodach (a stała potężna i milcząca jak przedhistoryczny potwór uzbrojony do pierwotnej walki), potęga jej osobowości malała z każdą se'

icundą, nienawiść (nie do ludzi, do idei) kruszyła się, zniknął jad, zmniejszyły się wymiary, z każdą sekundą bardziej upodabniała się do zwykłej, ubranej w płaszcz od deszczu panny Kilman, której Klarysa z całego serca pragnęła dopomóc.

Widząc to kurczenie się potwora Klarysa wybuchnęła śmiechem. Żegnając się z nią wybuchnęła śmiechem.

Odeszły, panna Kilman i Elżbieta. Zaczęły schodzić ze schodów.

Pod wpływem nagłego impulsu, pod wpływem obezwładniającego strachu, bo ta kobieta zabrała jej córkę, Klarysa wychyliła się przez poręcz i zawołała:

- Pamiętaj o przyjęciu! Pamiętaj o moim przyjęciu.

Ale Elżbieta otworzyła już drzwi frontowe; przejeżdżała ciężarówka; Elżbieta nie odpowiedziała.

Miłość i religia! pomyślała Klarysa wracając do salonu. Drżała na całym ciele. Jakże są ohydne, jak nieskończenie ohydne! Bo teraz, kiedy już nie miała

przed oczyma samej panny Kilman, myśl o tym, co panna Kilman sobą reprezentuje, uderzyła ją ze zdwojoną mocą. Dwie najokrutniejsze rzeczy na świecie, pomyślała; i zobaczyła je - niezdarne, zgrzane, despotyczne, obłudne, podsłuchujące, zazdrosne, nieskończenie okrutne, pozbawione skrupułów, stojące w przeciwdeszczowych płaszczach na podeście schodów; miłość i religia. Czy ona, Klarysa, próbowała kiedykolwiek kogoś nawracać? Czy nie pragnęła zawsze, żeby każdy był tylko sobą? Wyrzała przez okno i zaczęła obserwować starą panią w domu po drugiej stronie ulicy, która wchodziła na schody. Niech sobie wejdzie na schody, jeśli ma na to ochotę, niech się zatrzyma; potem niech wejdzie do sypialni (jak to ^T Klarysa często widywała), niech rozsunie firanki, niech zniknie gdzieś w głębi pokoju. To naprawdę budziło szacunek - ta stara kobieta wyglądająca przez okno, nieświadoma, że ją ktoś obserwuje. Było w tym coś uroczystego, ale miłość i religia zniszczyłyby to, bo miłość i religia niszczą intymność ludzkiej duszy. Ta wstrętna Kilman zniszczyłaby to. Widok ten budził w niej chęć do płaczu.

Miłość też niszczy. W zetknięciu z nią przepada wszystko, co piękne, wszystko, co prawdziwe. Piotr Walsh jest świetnym przykładem. Człowiek czarujący, mądry, posiadający własne poglądy na wszystko. Jeżeli ktoś chciał się dowiedzieć czegoś o Pope'ie albo o Addisonie, albo chciał po prostu pomówić o głupstwach - jacy są ludzie, co znaczy to czy tamto - Piotr był niezrównany. To Piotr zawsze jej pomagał; Piotr pożyczał jej książki. A teraz kobiety, w których się kochał - wulgarne, głupie, pospolite! Piotr zakochany! Przyszedł ją odwiedzić po tylu latach i o czym mówił? O sobie! Odrażająca namiętność, pomyślała Klarysa Dalloway. Poniżająca namiętność, dodała myśląc o Kilman i Elżbiecie, które były w drodze do domu towarowego Army and Navy.

Big Ben wybił pół godziny.

Czy to nie jest zdumiewające, niezwykle, a nawet wzruszające - widok tej starej damy (były sąsiadkami od wielu lat), gdy odchodzi od okna, zupełnie

jakby była przywiązana nicią do tego dźwięku, do tego sznura. Bo chociaż ten dźwięk jest tak gigantyczny, ma jednak z nią coś wspólnego. Niżej, coraz niżej, pomiędzy zwykle ludzkie sprawy spada wskazówka zegara i nagle chwila staje się uroczysta. Ten dźwięk (myślała Klarysa) wprawia ją w ruch, zmusza do pójścia... ale dokąd? Klarysa spoglądała na nią, gdy staruszka odwróciwszy się szła w głąb pokoju; zniknęła, ale wciąż jeszcze widać było jej biały czepeczek poruszający się w głębi. Była tam, krzątała się na drugim końcu pokoju. Jaki sens mają wszystkie dogmaty, modlitwy, płaszcze od deszczu, kiedy to, właśnie to jest cud, właśnie to jest tajemnica; ta stara kobieta (bo ją miała na myśli), którą wciąż widzi poruszającą się między szafą a toaletką. Wciąż ją widzi. A najwyższa tajemnica (Kilman może sobie twierdzić, że ją posiadała, albo Piotr może sobie twierdzić, że ją posiadał, chociaż Klarysa była pewna, że żadne z nich jej dotąd nie posiadało) sprowadza się po prostu do tego: tu jest jeden pokój, tam jest drugi. Czy religia albo miłość potrafią przeniknąć tę tajemnicę?

Miłość... ale w tym momencie drugi zegar, ten, który bije zawsze w dwie minuty po Big Benie, wpadł zaaferowany niosąc w zanadru mnóstwo drobiazgów; cisnął je na podłogę, jakby chciał powiedzieć, że Big Ben, taki uroczysty, taki punktualny, nadaje się doskonale dla króla ustanawiającego prawa, ale istnieje przecież mnóstwo rzeczy o których Klarysa powinna pamiętać - pani Mar-sham, Ellie Henderson, talerzyki do lodów... najrozmaitsze drobne sprawy napłynęły niczym rozkołysane, ruchliwe fale idące śladem tamtego głosu, który legł jak sztaba złota na powierzchni morza. Pani Marsham, Ellie Henderson, talerzyki do lodów... Musi zaraz zatelefonować.

Rozgadany, podniecony bił zegar, który się spóźniał; jego głos płynął śladem Big Bena niosąc w zanadru mnóstwo błahostek. Miażdżone, rozbijane przez pojazdy, napadane brutalnie przez ciężarówki, przez mrowie śpieszących się barczystych mężczyzn i strojnych kobiet, przez kopuły i wieżyczki biur i szpitali resztki dźwięków z tego zanadru pełnego drobiazgów rozbiły się, niczym zamierająca fala, o postać panny Kilman, która przystanąła na ulicy,

aby wyszeptać: - Tak, to wina ciała.

Musi zapanować nad ciałem. Klarysa Dalloway obraziła ją. Cóż, panna Kilman spodziewała się tego. Ale sama też nie odniosła zwycięstwa; nie poskromiła ciała. Jest brzydka, niezdarna, dlatego Klarysa Dalloway z niej szydziła; a tym szyderstwem zbudziła w niej cielesne pragnienia, bo w obecności Klarysy Doris Kilman była świadoma własnej brzydoty. Mówić też nie potrafi tak jak ona. Ale właściwie dlaczego pragnie być do niej podobna? Dlaczego? Przecież gardzi panią Dalloway z całego serca. Pani Dalloway nie jest kobietą poważną, nie jest kobietą dobrą. Jej życie to jedno pasmo kłamstw, kłamstw popełnianych w imię próżności. A mimo to Doris Kilman czuje się zwyciężona; i doprawdy o mało co nie wybuchnęła płaczem, kiedy Klarysa Dalloway roześmiała się szyderczo. - To wina ciała, ciała! - mamrocze teraz (bo ma zwyczaj mówić do siebie na głos), idąc Victoria Street i usiłując zapanować nad tym bolesnym wzburzeniem. Przecież modli się żarliwie. Przecież to nie jej wina, że jest brzydka; nie może sobie pozwolić na ładne suknie. Klarysa Dalloway śmiała się z niej... ale ona odegna od siebie te myśli, odegna je, zanim dojdzie do tamtej skrzynki pocztowej. Ma zresztą Elżbietę. Zacznie myśleć o czymś innym, zanim dojdzie do tamtej skrzynki pocztowej; zacznie myśleć o Rosji.

Jak cudownie musi być teraz na wsi, pomyślała walcząc (jak jej to radził pastor Whittaker) z tą gwałtowną urazą do świata, który gardził nią, szydził z niej, ukarał hańbą brzydkiego ciała, ciała obrażającego wzrok ludzki. Żeby nie wiedzieć jak uczesała włosy, jej czoło jest podobne do jajka, białe, nagie. W żadnej sukni nie jest jej do twarzy. Obojętne, jaką kupi. A dla kobiety znaczy to naturalnie, że nigdy nie spotka swojego mężczyzny. Nigdy nie będzie dla niego najważniejszą osobą na świecie. Ostatnio nawiedzała ją często myśl, że gdyby nie Elżbieta, miałyby tylko jeden cel w życiu, jedzenie; tak, jedzenie, wygody, obiad, podwieczorek, termofor z gorącą wodą do łóżka. Ale trzeba walczyć, trzeba zwyciężać, ufać Bogu. Pastor Whittaker powiedział, że Bóg ma

względem niej swoje zamiary. Ale nikt nie wie, jak ona strasznie cierpi! Bóg wie, powiedział pastor wskazując na krucyfiks. Ale dlaczego ona ma cierpieć, skoro inne kobiety... skoro Klarysa Dalloway uniknęła kary? Kto cierpi, ten znajdzie odpowiedź, zapewnił ją pastor Whittaker.

Minęła skrzynkę pocztową i gdy Elżbieta wchodziła już do chłodnego, brązowego wnętrza działu tytoniowego Army and Navy Stores, ona wciąż jeszcze powtarzała sobie szeptem, co pastor Whittaker mówił o odpowiedzi znajdowanej w cierpieniu i o słabości ludzkiego ciała. - Ciało - szeptała.

Do jakiego działu chce iść panna Kilman, spytała Elżbieta przerywając jej rozmyślenia.

- Halki - odparła krótko i pomaszzerowała do windy.

Pojechały na górę. Elżbieta prowadziła ją tędy, tamtędy; prowadziła ją zatopioną w myślach, jak gdyby była dużym dzieckiem albo trudnym do manewrowania okrętem wojennym. Są halki - brązowe, strojne, w paski, frywolne, solidne, tandetne; w roztargnieniu dokonała wyboru wręcz monstualnego i sprzedawczyni pomyślała, że ma do czynienia z osobą obłąkaną.

Czekały na paczkę i Elżbieta zastanawiała się, o czym myśli panna Kilman. Muszą napić się herbaty, powiedziała panna Kilman oprzytomniawszy nagle, zebrawszy myśli. Napiły się herbaty.

Elżbieta zastanawiała się, czy może panna Kilman naprawdę jest głodna. Sposób, w jaki jadła... jadła z przejęciem, a gdy skończyła, raz po raz rzucała spojrzenia na sąsiedni stół, gdzie stały lukrowane ciasteczka; i czy naprawdę zrobiło jej się żal, kiedy przy stoliku siadła matka z dzieckiem i dziecko wzięło ciastko? Tak, pannie Kilman zrobiło się żal. Miała ochotę właśnie na to ciastko, na to różowe. Radość jedzenia była jedyną prawdziwą radością, jaka jej jeszcze została, ale nawet tu spotykają ją klęski!

Ludzie szczęśliwi mają zapasy szczęścia, powiedziała Elżbiecie, z których mogą czerpać, natomiast ona jest jak koło bez opony (lubiła takie metafory)

kaleczące się o każdy kamień - tak mówiła stojąc obok kominka z torbą pełną książek, we wtorek rano, po lekcji. I mówiła o wojnie. Ostatecznie nie wszyscy ludzie na świecie uważają, że Anglicy zawsze mają słuszość. Są przecież książki. Są zebrania, dyskusje, są inne punkty widzenia. Czy Elżbieta chciałaby pójść z nią i posłuchać wykładu takiego a takiego pana? (Starzec o naprawdę niezwykłym wyglądzie.) Zaprowadziła ją więc do jakiegoś kościoła w Kensington i potem piły herbatę w domu pastora. Pożyczała jej książki. Prawo, medycyna, polityka, wszystkie dziedziny życia, wszystkie zawody są dostępne dla kobiet twojego pokolenia, powiedziała panna Kilman. Jeśli o nią idzie, jej kariera jest złamana - i czy sama zawiniła? Boże święty, nie, powiedziała Elżbieta.

Właśnie wtedy weszła jej matka, bo przysłali z Bourton kwiaty i matka chciała się dowiedzieć, czy panna Kilman nie miałaby ochoty na kilka kwiatów. Matka jest zawsze dla panny Kilman bardzo, bardzo miła, ale panna Kilman ścisnęła wtedy te kwiaty, jakby była zła, nie potrafiła ^T poprowadzić zwykłej towarzyskiej rozmowy, a to, co interesuje pannę Kilman, nudzi matkę i kiedy są razem, są okropne! Panna Kilman udaje ważną i jest bardzo brzydka, ale jest piekielnie inteligentna. Dawniej Elżbieta nigdy nie myślała o biednych. Mieli w domu wszystko, na co im przysłała ochota... jej matka co dzień jadła śniadanie w łóżku, Lucy zanosila jej tacę do pokoju; i Elżbieta lubiła stare kobiety, bo były księżnymi i miały wielkich przodków. Ale panna Kilman powiedziała (kiedyś we wtorek rano, po lekcji): mój dziadek miał sklepik z farbami w Kensington. Panna Kilman była zupełnie inna niż ludzie, których Elżbieta spotykała; Elżbieta czuła się przy niej taka jakaś pomniejszona.

Panna Kilman zamówiła jeszcze jedną filiżankę herbaty. Elżbieta - ze swoją wschodnią urodą, nieprzeniknioną tajemniczością - siedziała bardzo wyprostowana; nie, nie ma już na nic ochoty. Zaczęła szukać rękawiczek, białych rękawiczek. Były pod stołem. Ach, niechże jeszcze nie odchodzi! Panna Kilman nie pozwoli jej odejść - nie pozwoli odejść tej młodości, temu pięknu,

tej dziewczynie, którą naprawdę kocha! Jej duża dłoń na blacie stolika otwierała się i zamykała.

Jakoś się to chyba nie bardzo udało, pomyślała Elżbieta. Naprawdę chciała już iść.

Ale panna Kilman powiedziała:

- Jeszcze nie skończyłam.

Ach, w takim razie Elżbieta poczeka, naturalnie. Chociaż trochę tu duszno.

- Czy będziesz na dzisiejszym przyjęciu? - spytała panna Kilman. Elżbieta sądziła, że chyba tak, matka sobie tego życzy. W takim razie niech pamięta, że przyjęcia nie są najważniejszą rzeczą w życiu, powiedziała panna Kilman biorąc z talerza ostatnie dwa cale czekoladowego eklera.

Elżbieta odparła, że nie lubi przyjęć. Panna Kilman otworzyła usta, lekko wysunęła podbródek i przełknęła ostatnie dwa cale czekoladowego eklera, a potem wytarła palce i opłukała herbatą cukier na dnie filiżanki.

Czuła, że jeszcze chwila, a rozpadnie się, pęknie. Tak przeraźliwie cierpiała. Chwycić ją, objąć, uczynić swoją własnością, na zawsze - a potem umrzeć; niczego więcej nie pragnęła. Ale siedzieć przy tym stoliku, z pustką w głowie, i patrzeć, jak Elżbieta odwraca się od niej, jak nawet w niej budzi się obrzydzenie - nie, tego było już za wiele! Nie zniesie dłużej tej męki. Grube palce zacisnęły się.

- Ja nigdy nie chodzę na przyjęcia - powiedziała panna Kilman, żeby choć chwilę dłużej zatrzymać Elżbietę przy stoliku. - Nikt mnie nie zaprasza na przyjęcia. - I wypowiadając te słowa wiedziała, że właśnie to, ten jej egotyzm ją gubi; pastor Whittaker wielokrotnie jej to tłumaczył, ale ona nie może się powstrzymać. Cierpi tak straszliwie. - Zresztą dlaczego ludzie mieliby mnie zapraszać? - spytała. - Jestem brzydka, jestem nieszczęśliwa. - Wiedziała, że zachowuje się idiotycznie. Ale te słowa wydusili z niej ci ludzie mijający ich stół, ci ludzie niosący paczki, którzy z niej szydzą, którzy nią gardzą! Ona jednak jest kimś, ma swój stopień naukowy! Dała sobie radę w życiu. Jej wiedza

z zakresu historii nowożytnej naprawdę budzi szacunek.

- Ja przecież nie lituję się nad samą sobą - powiedziała. - Lituję się... - chciała powiedzieć „nad twoją matką”, ale nie, tego nie wolno mówić Elżbiecie. - Dużo bardziej lituję się nad moimi bliźnimi.

Elżbieta Dalloway siedziała milcząca, podobna niememu stworzeniu, które przyproawdzone przed bramę w niewiadomym mu celu stoi i marzy o ucieczce. Czy panna Kilman powie coś jeszcze?

- Pamiętaj o mnie choć trochę - powiedziała panna Kilman drżącym głosem. Nieme stworzenie pogalopowało w panice na najodleglejszy kraniec łąki.

Duża dłoń zamykała się, otwierała.

Elżbieta odwróciła głowę. Podeszła kelnerka. Płaci się przy kasie, powiedziała Elżbieta i wstała; a pannie Kilman zdawało się, że odchodząc wyszarpuje jej trzewia, że idąc przez salę ciągnie je za sobą; aż w końcu, szarpnąwszy po raz ostatni, skinęła grzecznie głową i odeszła.

Odeszła. Panna Kilman siedziała przy marmurowym stoliku, między eklerami, i raz po raz chwytały ją paroksyzmy bólu. Odeszła. Pani Dalloway zwyciężyła. Elżbieta odeszła. Piękno odeszło, młodość odeszła.

Siedziała więc czas jakiś. Potem wstała, zaczęła iść niezdarnie między małymi stolikami, kołysząc się lekko na boki, ktoś ją dogonił i podał paczkę z halką, zabłądziła, trafiła w ślepy zaułek kufrów produkowanych specjalnie na podróże do Indii, następnie trafiła między bieliznę dla położnic i wyprawki niemowlęce, przemykała się chyłkiem między towarami z całego świata - między szynkami, lekarstwami, kwiatami, papierem listowym, między smugami zapachów to słodkich, to kwaśnych; zobaczyła w lustrze odbicie całej swojej postaci, w kapeluszu przekrzywionym, z zaczerwienioną twarzą; i w końcu wyszła na ulicę.

Wyrosła przed nią wieża Katedry Westminsterskiej, przybytku Bożego. Przybytek Boży stojący pośród wrzawy ulicznej. Z twarzą zaciętą, trzymając paczkę w ręce, skierowała kroki do drugiego sanktuarium, do Opactwa, gdzie

zasłoniwszy twarz rękami niby namiotem siadła pośród tych co jak ona szukali tu schronienia; zbieranina wiernych, ludzie bez rangi społecznej, bez płci, dopóty zasłaniali twarze rękami; ale wystarczyło, żeby odjęli dłonie, a natychmiast stawali się na powrót członkami szacownego angielskiego mieszczaństwa mężczyznami i kobietami w średnim wieku, którzy przyszedli się tu pomodlić lub obejrzeć rzeźby.

Ale panna Kilman nie odejmowała rąk od twarzy. Raz było pusto wokół niej, raz pełno. Nowi wierni przychodzili na miejsce tych, co odeszli, a ona wciąż - podczas gdy zwiedzający rozglądali się ciekawie i szurając nogami przechodzili przed Grobem Nieznanego Żołnierza - ona wciąż zasłaniała oczy dłońmi i usiłowała w tej podwójnej ciemności (bo światło w Opactwie było bezcielesne) wznieść się duchem ponad próżności tego świata, ponad pragnienia, ponad dobra doczesne, uwolnić się zarówno od nienawiści, jak miłości. Palce drżały jej konwulsyjnie, sprawiała wrażenie osoby prowadzącej ciężką wewnętrzną walkę. A przecież dla innych Bóg był przystępny i droga do niego łatwa. Pan Fletcher, emerytowany urzędnik Ministerstwa Skarbu, pani Gorham, wdowa po słynnym adwokacie, zwracali się do niego najprościej i, pomodliwszy się, siedli wygodniej w ławce, słuchali z upodobaniem muzyki (ciche dźwięki organów wypełniały kościół) i przyglądali się pannie Kilman na końcu rzędu, która modliła się i modliła, a ponieważ wciąż jeszcze stali na progu świata duchowego, myśleli o niej z sympatią, jako o duszy zapuszczającej się w te same co oni rejony; jako o duszy, o substancji niematerialnej; nie jako o kobiecie, jako o duszy.

Ale pan Fletcher musiał już iść. Musiał przejść obok niej, żeby wydostać się z ławki, a ponieważ sam był niezwykle schludny, zrobiło mu się trochę przykro, że ta biedna kobieta jest tak niechlujna:

kapelusz przekrzywiony, obok na ziemi paczka. Nie od razu go przepuściła. I gdy tak stał rozglądając się, patrząc na białe marmury, na szare witraże, na zgromadzone tu bezcenne skarby (pan Fletcher był bardzo dumny z Opactwa),

ogrom, krzepkość, siła tej kobiety, która siedziała ruszając od czasu do czasu kolanami (tak trudna była ścieżka wiodąca do jej Boga, tak uporczywe żądze, które nią miotały), wywarły na nim bardzo silne wrażenie, tak jak wywarły bardzo silne wrażenie na pani Dalloway (myślała o niej przez całe popołudnie), na pastorze Whittakerze i na Elżbiecie.

Elżbieta stała na Victoria Street, czekała na autobus. Na dworze jest tak przyjemnie. Chyba nie musi jeszcze wracać do domu? Na powietrzu jest tak przyjemnie. Przejedzie się autobusem. Ale, gdy tak stała w swoim doskonale skrojonym palcie, zaczęło się tamto... Ludzie zaczęli ją porównywać do smukłej topoli, do wczesnego poranku, do hiacyntu, do łani, do szemrzącego strumyka, do białej lilii. Męczyło ją to, naprawdę, bo stokroć by wolała mieszkać na wsi i robić to, na co ma ochotę, a tymczasem ludzie porównują ją do lilii, musi chodzić na przyjęcia i Londyn strasznie ją nudzi; o ile lepiej jest być na wsi z ojcem i psami!

Autobusy -jaskrawe wozy lśniące złotym i czerwonym lakierem - wpadały na przystanki, zatrzymywały się, odjeżdżały. W który wsiąść? Było jej wszystko jedno. Nie będzie się pchała. Naturę miała raczej bierną. Jej twarz była jeszcze bez wyrazu, ale oczy miała piękne, skośne, wschodnie, a jak mówiła Klarysa, dziewczyna o tak ładnych ramionach i prostej postawie będzie zawsze zachwycać; ostatnio, zwłaszcza wieczorami, kiedy ją coś zainteresowało (bo ożywiona nie bywała nigdy) była prawie piękna; bardzo opanowana, bardzo pogodna. O czym ona myśli? Każdy mężczyzna zaraz się w niej kochał, a to ją naprawdę okropnie nudziło. Bo to był dopiero początek. Jej matka zdawała sobie z tego sprawę - mężczyźni zaczęli prawić Elżbiecie komplementy. Klarysa martwiła się czasem, że tak ją to mało obchodzi i że tak mało interesuje się strojami, ale może to i lepiej, z uwagi na te wszystkie szczeniaki chore na nosówkę i te roje świnek morskich, zwłaszcza że pewna niedbałość dodawała dziewczynie swoistego uroku. A teraz jeszcze ta niezrozumiała przyjaźń z panną Kilman. Ach, pomyślała kiedyś Klarysa, leżąc bezsennie i czytając barona

Marbota, to przynajmniej dowodzi, że ma serce.

Nagle Elżbieta zeszła na jezdnię i bardzo zręcznie, przed wszystkimi, wskoczyła do autobusu. Usiadła na górnym pomoście. Autobus - impetyczny stwór, istny pirat - skoczył do przodu; Elżbieta musiała zacisnąć dłonie na poręczy, żeby nie stracić równowagi, bo autobus naprawdę zachowywał się jak pirat; zuchwały, pozbawiony skrupułów, pędził niebacznym na nic, wymijał niebezpiecznie, śmiało porywał pasażera lub impertynencko pomijał pasażera, prześlizgiwał się bezczelnie między pojazdami i w końcu, na pełnych żaglach, popłynął Whitehallem. I czy Elżbieta pomyślała choć raz o biednej pannie Kilman, która kochała ją uczuciem nie znającym zazdrości, dla której była łanią na polance, księżycem na murawie? Elżbieta była szczęśliwa, że uwolniła się od panny Kilman. Na powietrzu jest tak cudownie. W domu towarowym dosłownie nie miała czym oddychać. A teraz, jadąc autobusem po Whitehallu, ma wrażenie, że jedzie konno; i piękne ciało w jasno-brązowym płaszczu poddaje się każdemu ruchowi autobusu swobodnie, jak jeździec, jak rzeźba na dziobie statku, bo wiatr rozwiał lekko jej włosy upał pokrył policzki barwą drewna malowanego na biało, a piękne oczy nie napotykać po drodze innych oczu, w które mogłyby patrzeć, spoglądają prosto przed siebie - pozbawione wyrazu, błyszczące, nieruchome w owej cudownej niewinności rzeźby.

Najgorsze w pannie Kilman jest to, że wciąż mówi o swoich cierpieniach. A czy ma słusność? jeśli uczestniczenie w pracach różnych komisji i przesiadywanie godzinami na posiedzeniach pomaga biednym, jej ojciec (nie widywała go prawie w Londynie) naprawdę im pomaga... jeżeli, naturalnie, panna Kilman to miała na myśli, kiedy mówiła, że trzeba być chrześcijaninem; ale to tak trudno wiedzieć. Och, ma straszną ochotę pojechać kawałek dalej. Na Strand trzeba dopłacić jeszcze pensa, prawda? No to proszę pensa. Pojedzie na Strand.

Lubi się zajmować ludźmi chorymi. A kobiety jej pokolenia mają dostęp do wszystkich zawodów, tak powiedziała panna Kilman. Mogłaby więc zostać

lekarzem. Albo mogłaby zostać farmerem. Zwierzęta często chorują. Mogłaby uprawiać tysiąc akrów i mieć pracowników. Odwiedzałyby ich, chodziłyby do ich chat. O, teraz przejeżdża obok Somerset House. Mogłaby być naprawdę dobrym farmerem; dziwna rzecz, ale nie umniejszając wpływu panny Kilman, myśl tę zrodził w niej niemal wyłącznie widok Somerset House. Ogromny szary budynek wyglądał tak imponująco, tak poważnie. Sama świadomość, że ludzie tam pracują, sprawia jej przyjemność. I lubi patrzeć na te kościoły, które podobne do form wyciętych z szarej tektury stawiają czoło tłumowi płynącemu StranDEM. Jak tu inaczej niż w Westminsterze, pomyślała wysiadając przy Chancery Lane. Wszystko takie poważne i takie ruchliwe. Słowem, chciałyby mieć jakiś zawód. Tak, zostanie lekarzem albo farmerem, może wejdzie do parlamentu jeżeli uzna, że to konieczne - a wszystko dlatego że tak jej się podoba na Strandzie.

Ruchliwe stopy tych ludzi pochłoniętych swoimi sprawami, dłonie kładące cegłę na cegle, myśl zajęta nie częstą gadaniną (jak porównywanie kobiet do topoli, co naturalnie sprawia przyjemność, ale jest strasznie głupie), tylko okrętami, interesami, prawem, administracją, a przy tym otoczenie majestatyczne (była w Tempie), wesołe (patrzała na rzekę), pobożne (patrzała na kościół), wszystko to zrodziło w niej postanowienie, że jakiegokolwiek będzie zdanie matki, zostanie albo farmerem, albo lekarzem. Tylko że niestety jest trochę leniwa.

I lepiej nic jeszcze o tym nie wspominać. Cały projekt wydaje się strasznie niemądry.

Elżbiecie przytrafiło się to, co zdarza się czasem, kiedy człowiek jest sam - budynek nie oznaczony nazwiskiem architekta, tłumy ludzi wracające z pracy posiadają większą moc niż pastory z Kensington, niż książki panny Kilman, moc pobudzenia i wypchnięcia na powierzchnię tego, co senne, nieporadne i nieśmiałe spoczywa na piaszczystym dnie umysłu; mógł to być drobiazg - westchnienie, gest ręki, impuls, nagle objawienie, nic więcej - ale zanim

zatonęło znów i opadło na piaszczyste dno, pozostawiło swój trwały ślad.

Powinna już wracać. Musi się przebrać do kolacji. Ale która godzina?...
Gdzie jest zegar?

Spojrzała w Fleet Street. Przeszła kawałek w stronę katedry Świętego Pawła, nieśmiało, jak ktoś, kto w nocy, ze świecą w ręku, wędruje na palcach po obcym domu, wylękniony, że lada chwila gospodarz otworzy drzwi sypialni i spyta, co to znaczy; nie śmiała też zapuszczać się w dziwaczne zaułki, w kuszące uliczki, podobnie jak nie odważyłaby się w obcym domu otwierać drzwi, które prowadzą może do pokoi sypialnych, do salonów albo prosto do spiżarni. Bo dotąd Dallowayowie nie zwykli przychodzić na Strand co dzień; była pionierką, pełną ufności, odważną.

Jej matka orientowała się, że pod wieloma względami Elżbieta jest jeszcze bardzo niedojrzała, jak dziecko bawiące się lalkami, starymi rupieciami; i to było czarujące. Ale z drugiej strony w rodzinie Dallowayów istniała tradycja służby publicznej. Przełożone klasztorów, pryncypałki, dyrektorki szkół, dygnitarki w republice kobiecej - oto czym były ich kobiety, chociaż żadna nie odznaczała się umysłem wybitnym. Podeszła jeszcze trochę bliżej do katedry Świętego Pawła. Zgiełk tutaj wydał jej się przyjazny, było w nim coś macierzyń-skiego, braterskiego, siostrzanego. Hałas ogłuszał; i nagle zagrzmiały, zadźwięczały trąby (bezrobotni), powiększając wrzawę; muzyka wojskowa, jak gdyby gdzieś maszerowali ludzie; ale gdyby ktoś umierał... gdyby jakaś kobieta wydała ostatnie tchnienie i gdyby ten ktoś, kto był przy jej śmierci, otworzył okno pokoju, w którym dokonał się przed chwilą ów akt najwyższej godności, gdyby spojrzał w Fleet Street, ta wrzawa, ta muzyka wojskowa przyplęnęłyby do niego zwycięska, niosąca pociechę, bezosobowa.

Bo ta wrzawa była czymś istniejącym poza świadomością. Nie była świadoma losów człowieka, jego przyszłej doli, i właśnie dlatego nawet ci, co oślepieni łzami śledzili na twarzach konających gasnące oznaki świadomości, znajdowali w niej pociechę.

Niepamięć ludzka rani, niewdzięczność jątrzy, ale ten potężny głos płynący nieprzerwanie, bezustannie, zabiera wszystko, co napotka - tę przysięgę, tamten wóz, to życie, ten pochód; obejmuje wszystko i unosi, podobnie jak obsuwający się lodowiec porywa drzazgę kości, niebieski płatek, pnie dębów i niesie je w dół.

Jest później, niż myślała. Matka byłaby niezadowolona, że ona tak sama chodzi po mieście. Wróciła na Strand.

Podmuch wiatru (mimo upału wiał dość silny wiatr) zasnuł słońce i rozpostarł nad StranDEM cienki czarny welon. Twarze ludzi zbladły, autobusy straciły nagle połysk. Bo chociaż chmury podobne były do łańcucha gór pokrytych wiecznym śniegiem (zdawało się, że można by odrąbywać toporkiem twarde drzazgi), o rozległych nasłonecznionych stokach, na których rozpościerały się trawniki ogrodów niebiańskich, i choć sprawiały wrażenie trwałych domostw wzniesionych na użytek bogów, aby mieli gdzie odbywać swoje narady wysoko nad światem, to jednak wrzał między nimi bezustanny ruch. Wymieniano znaki, gdy w myśl jakiegoś z góry ułożonego planu to przewracał się cały szczyt, to znów cała grań w kształcie potężnej piramidy, dotąd nieruchomo tkwiąca na swym miejscu, wysuwała się na wolną przestrzeń lub z uroczystą powagą wiodła długi pochód chmur ku nowej przystani. Choć zdawały się tkwić nieruchomo na swych stanowiskach, choć w idealnej zgodzie zdawały się zażywać spoczynku, trudno sobie wyobrazić coś ruchliwszego, żywszego, na powierzchni wrażliwszego niż te śnieżnobiałe lub zabarwione złotem płaszczyzny; w ciągu sekundy zmieniały się, przesuwwały, burzyły uroczyste domostwa bogów; a mimo że tkwiły w miejscu solidne i krzepkie, na ziemię padał to cień, to znów światło.

Spokojnie i swobodnie Elżbieta Dalloway wsiadła do autobusu jadącego w kierunku Westmins-teru.

Światło i cień, cień i światło; to ściana była szara, to znów banany lśniły

jaskrawą żółtą barwą, a Septimusowi Warren Smithowi, który leżał na kanapie w pokoju, zdawało się, że światło i cień odchodzą, wracają, przywołują go, dają mu znaki; leżał i obserwował płynne złoto, gdy rozumne niby żywa istota rozżarzało się lub płowiało na różach, na tapecie. Za oknem drzewa rozpinały i ciągnęły listowie jak sieci poprzez niezmierzone głębie powietrza; pokój pełen był szmeru wody, a przez szum fal docierał doń świergot ptaków. Wszystkie moce składały mu swoje skarby u stóp, a jego ręka leżała na oparciu kanapy w takiej pozycji, w jakiej ją widywał, gdy podczas kąpieli unosiła się na powierzchni wody; daleko, daleko na brzegu czekały psy. Nie lękaj się już, powiada serce ciału; nie lękaj się już.

Nie lękał się. Natura raz po raz dawała mu do zrozumienia, używając w tym celu najrozmaitszych wesołych aluzji, jak to przesuwanie się po ścianach złotej plamki - o, tam, tam, tam! - że pragnie mu wyjawić swój najgłębszy sekret, i dlatego potrząsa pióropuszcami, powiewa kitami, zarzuca płaszcz raz w tę, to znów w inną stronę i podchodząc blisko - piękna, jakże piękna! - przez złożone dłonie szepce mu do ucha słowa Szekspira.

Recja siedziała przy stole i obracając kapelusz w palcach przyglądała się Septimusowi; zobaczyła uśmiech na jego twarzy. A więc jest szczęśliwy. Ale nie mogła patrzeć na ten jego uśmiech. To nie jest małżeństwo; mąż nie powinien wyglądać tak dziwnie, patrzeć nieruchomo przed siebie, śmiać się, milczeć godzinami albo chwytać ją za rękę i zmuszać do pisania. Szuflada stołu jest pełna tej bazgraniny - o wojnie, o Szekspirze, o wielkich odkryciach, o tym, że śmierć nie istnieje. Ostatnio "▼

bez żadnego powodu wpada w podniecenie (a doktor Holmes i sir William Bradshaw powiedzieli, że to dla niego fatalne), wymachuje rękami i woła, że poznał prawdę! Że wie wszystko! Powiedział, że przyszedł do niego ten przyjaciel, który zginął na wojnie, Evans. Że jest za parawanem i śpiewa. Recja zapisała dokładnie wszystko, co jej Septimus mówił. Niektóre rzeczy są naprawdę piękne; inne zupełnie bez sensu. A kiedy mówi, zatrzymuje się w pół

zdania, wciąż chce coś dorzucać, słyszy coś nowego, nasłuchuje z ręką podniesioną do góry. Ale ona nic nigdy nie słyszy.

Kiedyś przyłapali służącą, jak czytała jeden z arkuszy i śmiała się do rozpuku. To było straszne. Bo Septimus zaczął wykrzykiwać, czym jest ludzkie okrucieństwo... że ludzie rozszarpują się nawzajem. Tych, co upadną, powiedział, inni rozrywają na strzępy. - Holmes nas prześladowuje - powtarzał i obmyślał najrozmaitsze historie o Holmesie; Holmes jedzący na śniadanie owsiankę, Holmes czytający Szekspira. A gdy opowiadał te historie, wpadał w niepohamowaną wściekłość albo trzął się ze śmiechu, bo widocznie doktor Holmes był dla niego symbolem czegoś przerażającego. „Natura ludzka”, tak go nazywał. Poza tym miewał przywidzenia. Jest topielcem, powtarzał często, i leży na skale, a nad nim krążą rozkrzyczane mewy. Patrzył przez krawędź kanapy na dno morza. Albo słyszał muzykę. Naprawdę była to tylko katarynka albo jakiś głos wykrzykujący coś na ulicy. Ale mówił: jakież to piękne, i łzy płynęły mu po twarzy, co dla Recji było chyba najstraszniejsze - patrzeć na łzy mężczyzny, który walczył na froncie, który był odważny! Leżał więc zasłuchany, ale nagle wykrzykiwał, że spada, spada w płomienie! I Recja szukała oczyma ognia, tyle prawdy było w tym okrzyku. Szukała na próżno. Byli sami w pokoju. To przecież tylko przywidzenie, mówiła mu, i w ten sposób w końcu go uspokajała; ale niekiedy ją też ogarniał lęk. Westchnęła pochylając się nad kapeluszem.

Jej westchnienie jest czułe i zachwycające, jak podmuch wiatru o zmroku pod lasem. To odkłada nożyczki, to się obraca, żeby wziąć coś ze stołu. Cichy szmer, cichy szelest, ciche brzęknięcie budują coś tam na stole, obok którego Recja siedzi szyjąc. Poprzez zasłonę rzęs Septimus widzi zamglone kontury jej postaci, jej drobne ciało w czarnej sukni, jej twarz i dłonie, jej ruchy, gdy się obraca do stołu, żeby wziąć szpulkę, albo gdy szuka (często gubi rzeczy) kawałka jedwabiu. Szyje kapelusz dla zamężnej córki pani Filmer, która się nazywa... zapomniał, jak się nazywa.

- Jak się nazywa zamężna córka pani Filmer?

- spytał.

- Pani Peters - odparła Recja. Boi się, że kapelusz będzie za mały, powiedziała trzymając kapelusz w wyciągniętej ręce. Pani Peters jest tęga i Recja jej nie lubi. Ale pani Filmer jest dla nich taka dobra (dała jej dziś rano winogrona) i Recja chciałaby jej jakoś okazać wdzięczność. Pewnego wieczoru Recja zastała panią Peters w ich pokoju; grała na gramofonie, bo myślała, że nie przyjdą tak prędko.

- Naprawdę? - spytał. - Grała na gramofonie?

- Tak, przecież zaraz wtedy mu o tym powiedziała. Pani Peters grała w ich pokoju na gramofonie.

Bardzo powoli, bardzo ostrożnie zaczął podnosić powieki; chciał zobaczyć, czy gramofon naprawdę jest w ich pokoju. Ale przedmioty, prawdziwe przedmioty, bardzo go denerwują. Musi być bardzo uważny. Nie chce zwariować. Najpierw spojrział na żurnale leżące na niższej półce, potem powoli przesunął wzrok na gramofon z zieloną tubą. Trudno sobie wyobrazić coś konkretniejszego! Zebrał więc odwagę i przesunął wzrok na kredens; talerz pełen bananów, rycina przedstawiająca królową Wiktorię i księcia małżonka; róże w wazonie na półce nad kominkiem. Nie, żaden z tych przedmiotów nie rusza się. Wszystkie są nieruchome, wszystkie są prawdziwe.

- To jest strasznie złośliwa kobieta - powiedziała Recja.

- A co robi jej mąż? - spytał Septimus.

- Ach... - powiedziała Recja usiłując sobie przypomnieć. Pani Filmer chyba kiedyś wspominała, że jest komiwojażerem w jakiejś firmie.

- Właśnie teraz pojechał do Hull.

Właśnie teraz! Wyraźnie słyszał jej włoski akcent. Tak, te słowa wypowiedziała Recja. Osłonił oczy, żeby widzieć tylko trochę, tylko kawałek jej twarzy, najpierw brodę, potem nos, wreszcie oczy - w obawie, że jest zdeformowana albo ma na twarzy jakieś straszne znamię. Ale nie, Recja jest

taka jak zawsze, najzupełniej normalna, siedzi i szyje, wargi ma lekko wydęte, na twarzy wyraz skupienia i melancholii, jak zwykle kobiety przy szyciu. Ale nie ma w tym nic przerażającego, powiedział sobie Septimus spoglądając po raz drugi, po raz trzeci na jej twarz, na ręce; nie ma w niej nic przerażającego ani nic ohydneho, kiedy tak siedzi w świetle dnia i szyje. Pani Peters ma ostry język. Pan Peters pojechał do Hull. Czemu więc unosić się gniewem, czemu prorokować? Czemu uciekać jak wy chłostany banita? Czemu drzeć i szlochać na widok chmur? Czemu szukać prawd i przynosić światu posłannictwo, kiedy Recja siedzi wpinając szpilki w suknię, a pan Peters jest w Hull? Cuda, objawienia, udręki, samotność, spadanie na dno morza, w otchłań pełną płomieni - wszystko to przestało istnieć, bo widok Recji szyjącej słomkowy kapelusz dla pani Peters przywiódł mu na myśl dywan utkany z kwiatów.

- Ten kapelusz jest za mały dla pani Peters - powiedział Septimus.

Pierwszy raz od wielu, wielu dni jego głos zabrzmiał tak jak dawniej! Naturalnie, jest za mały, śmiesznie mały, zawołała. Ale pani Peters sama go wybrała.

Wziął kapelusz z jej rąk. Powiedział, że jest w sam raz dobry dla małpki katarzyniarza.

Jakże ją ucieszyły te jego słowa! Już od tygodni nie śmieli się tak serdecznie, a teraz znowu wyładowują wesołość w im tylko zrozumiały sposób, jak to bywa w małżeństwie! Recji chodziło o to, że gdyby pani Filmer albo pani Peters weszły do pokoju, nie potrafiłyby zrozumieć, dlaczego ona i Septimus tak się śmieją.

- Patrz! - powiedziała, przypinając różę do kapelusza. Nigdy, nigdy w życiu nie czuła się tak szczęśliwa.

Ale tak jest jeszcze śmieszniej, powiedział Septimus. Teraz biedna kobiecina wygląda jak świnia na jarmarku. (Nikt nie umiał jej tak rozśmieszyć jak Septimus.)

Co ona tam ma w swoim koszyczku z robotą? Miała wstążki, paciorki,

pompony i sztuczne kwiaty. Wyrzuciła to wszystko na stół. Septimus zaczął łączyć rozmaite kolory, bo chociaż palce miał jak z drewna i nie potrafiłby porządnie zapakować paczki, oko miał dobre i często wpadał na cudowne pomysły, naturalnie czasem się mylił, ale często wpadał na cudowne pomysły.

- Będzie miała wspaniały kapelusz - szeptał wybierając wpierw to, potem tamto; Recja klęczała obok zaglądając mu przez ramię. Już gotowe - oczywiście sam model, Recja musi to teraz *

pozszywać. Ale niech bardzo, bardzo uważa, powiedział, żeby zostało dokładnie tak, jak on ułożył.

Zabrała się więc do szycia. Kiedy szyje, pomyślał, robi taki hałas jak imbryk stojący na blasze, bulgocący, szemrzący, zaaferowany; jej silne i szczupłe spiczaste palce dżgają, szczypią, igła spada prosto w dół, jak błyskawica. Choć słońce wchodzi, wychodzi, pada na pompony, na tapetę, ja będę czekał cierpliwie, pomyślał wyciągając nogi, przyglądając się zwiniętym wokół kostek oba-rzankom skarpetek na końcu kanapy; poczeka w tym ciepłym miejscu, w tym bezwietrznym zakątku, na jaki można się niekiedy natknąć po zachodzie słońca, pod lasem, w miejscu, gdzie dzięki układowi drzew lub nagłemu spadkowi gruntu (trzeba mieć do wszystkiego podejście naukowe, to najważniejsze) ciepło utrzymuje się dłużej i wiatr muska policzki jak skrzydło ptaka.

- Gotowy - powiedziała Recja obracając kapelusz pani Peters na czubku palca. - Na dzisiaj dosyć. Jutro... - jej słowa kapały: kap, kap, kap, jak rozradowana woda z otwartego kranu.

Ach, cudowny! Septimus nigdy w życiu nie był z niczego tak dumny. Takie to rzeczywiste, takie konkretne - kapelusz pani Peters!

- Proszę cię, spójrz - powiedział.

Tak, Recja zawsze będzie kochała ten kapelusz. Kiedy go szyła, Septimus stał się znów sobą, śmiał się. Kiedy go szyła, byli znów razem, sami. Zawsze będzie kochała ten kapelusz.

Poprosił, żeby go przymierzyła.

- Pewnie wyglądam w nim jak straszidło! - zawołała podbiegając do lustra i oglądając się to z tej, to z innej strony. Nagle zerwała kapelusz z głowy, bo rozległo się pukanie. Czy to sir Wil-liam Bradshaw? Czy to jego ludzie?

Nie! To tylko dziewczynka, która przynosi im popołudniową gazetę.

Zdarzyło się to, co zawsze; co zdarzało się każdego popołudnia w ich życiu. Dziecko stało na progu ssąc palec. Recja uklękała, Recja przemawiała do niej pieśczośliwie, całowała ją, Recja wyjęła z szuflady torebkę cukierków. Bo co dzień tak się to odbywało. Najpierw jedno, potem drugie. Tańcząc, skacząc kręciły się dokoła pokoju. Septimus wziął gazetę. Surrey znowu przegrało, fala upałów nad Anglią, przeczytał. Był to jeden z punktów gry, w którą Recja bawiła się z wnuczką pani Filmer; obie śmiały się, przekrzykiwały, grały w swoją grę. Septimus poczuł się bardzo zmęczony. Bardzo szczęśliwy. Chyba zaśnie. Zamknął oczy. Ale zaledwie zniknęły mu sprzed oczu obrazy, odgłos gry stał się cichszy, stał się obcy, brzmiał jak nawoływanie ludzi, którzy szukają czegoś i nie znajdują, i oddalają się coraz bardziej i bardziej. Och, nie znaleźli go!

Usiadł przerażony. Co zobaczył? Talerz z bananami na kredensie. W pokoju nie było nikogo (Recja odprowadziła dziecko do matki, zbliżała się już pora spania). A więc tak, jest skazany na wieczną samotność. Taki wyrok zapadł na niego wtedy w Mediolanie, kiedy wszedł do pokoju i zobaczył je, wycinały nożyczkami formy z płótna. Wieczna samotność.

Był teraz sam z kredensem i bananami. Był sam, porzucony na tej czarnej wyniosłości, rozciągnięty - ale nie na szczycie góry, nie na skale nadmorskiej, tylko na kanapie w małej bawialni pani Filmer. Ale gdzie się podziały zjawy, twarze, głosy zmarłych? Stał przed nim parawan z rysunkiem czarnego sitowia i niebieskich jaskółek. Tam, gdzie widział przedtem góry, gdzie widział twarze, gdzie widział piękno - tam stał teraz parawan.

- Evans! - zawołał. Nie było odpowiedzi. Mysz zachrobotła, zaszeleściła

stora w oknie. Oto są głosy umarłych. Pozostał mu parawan, szufelka do węgla, kredens. Niech więc spojrzysz odważnie na parawan, na szufelkę do węgla, na kredens... Ale do pokoju wpadła rozgadana Recja.

Przyszedł jakiś list i pokrzyżował wszystkim plany. Biedna pani Filmer nie będzie mogła pojechać do Brighton. Nie zdąży już nawet zawiadomić pani Williams i Recja uważała, że to naprawdę głupia sytuacja... Nagle wzrok jej padł na kapelusz i wtedy przyszło jej na myśl, że może... jednak... trochę teraz popracuje... Jej głos rozplątał się w radosnej melodii.

- Ach, cholera! - zawołała (klęła dla żartu, dawniej bardzo ich to śmieszyło). Złamała się igła. Kapelusz, dziecko, Brighton, igła. Tak to Recja wszystko obmyślała, szyjąc; najpierw jedno, potem drugie.

Prosiła, żeby powiedział, czy kapelusz wygląda lepiej, kiedy róża jest przypięta z tej strony. Przysiadła na brzegu kanapy.

Są teraz naprawdę szczęśliwi, powiedziała odkładając kapelusz. Bo teraz może mu znów wszystko mówić. Może mu powiedzieć wszystko, co jej przyjdzie do głowy. Wtedy, tamtego wieczoru, kiedy wszedł do kawiarni ze swoimi angielskimi przyjaciółmi, zaraz wiedziała, że może mu wszystko powiedzieć. Wszedł rozglądając się nieśmiało i kapelusz mu spadł, jak go wieszal na wieszaku. Doskonale to pamięta. Zaraz się domyśliła, że jest Anglikiem, ale nie takim ogromnym Anglikiem, jacy podobali się jej siostrze, bo zawsze był szczupły. Miał za to ładną, świeżą cerę; a ponieważ ma orli nos i błyszczące oczy i ponieważ siedział wtedy trochę przygarbiony, zaraz, tego pierwszego wieczoru, kiedy grali w domino i on wszedł do kawiarni, wydał jej się podobny do młodego jastrzębia. 1

Często mu to potem mówiła; tak, do młodego jastrzębia. Ale dla niej zawsze był bardzo dobry, łagodny. Nigdy nie wpadał w złość, nigdy się nie upijał, czasem tylko cierpiał przez tę straszną wojnę, chociaż nawet to mu mijało, kiedy

wchodziła do pokoju. Mówiła mu wszystko, absolutnie wszystko, o każdym najdrobniejszym kłopotcie z pracą, wszystko, co jej przyszło do głowy, a on rozumiał. Nawet najbliższa rodzina nigdy jej tak nie rozumiała. A przecież był od niej starszy i taki inteligentny... i z jaką powagą ją prosił, żeby czytała Szekspira, chociaż nie umiałaby wtedy przeczytać zwykłej bajki po angielsku! Miał o tyle więcej doświadczenia niż ona, więc mógł jej pomagać w życiu. Ona też mogła mu pomagać.

Ach, ale ten kapelusz! A poza tym (zrobiło się już późno) sir William Bradshaw.

Podniosła ręce do głowy, czekała, żeby jej powiedział, czy mu się kapelusz podoba, a gdy tak siedziała czekając, patrząc w dół na niego, czuł, jak jej myśli przeskakują niby ptak z gałęzi na gałąź, zwinnie, na upatrzone miejsce; siedziała obok niego w swobodnej, wdzięcznej, naturalnej pozie, a on mógł podążać za jej myślami, a gdy coś powiedział, ona natychmiast się uśmiechała - jak ptak, który siadając na drzewie mocno obejmuje gałąź pazurami.

Ale Septimus nie zapomniał. Bradshaw powiedział: „Ludzie, których najbardziej kochamy, w chorobie nie są dla nas dobrymi opiekunami.” Bradshaw powiedział, że Septimus musi się nauczyć odpoczywać. Bradshaw powiedział, że musi się rozstać z Recją.

Musi, musi, musi! Dlaczego musi? Jakąż władzę ma nad nim Bradshaw?

- Jakim prawem Bradshaw mówi, że ja coś muszę? - spytał.

- Bo mówiłeś, że chcesz się zabić, to dlatego - odparła Recja. (Bogu dzięki może teraz mówić Septimusowi wszystko, wszystko.)

A więc jest w ich władzy! Holmes i Bradshaw dopadli go. Potwór o krwawych nozdrzach węższy, odnajduje najbardziej tajemne schowki. Ma prawo powiedzieć - musisz! Gdzie są jego papiery? To wszystko, co pisał?

Przyniosła mu jego papiery, to, co on pisał, co ona pisała za niego. Rzuciła je na kanapę. Patrzyli na nie oboje. Wykresy, rysunki, maleńkie postacie mężczyzn i kobiet wywijających patykami zamiast rąk, każde z parą skrzydeł -

chyba to skrzydła?

- wyrastających im z pleców; kółka obrysowane wokół pensów i szylingów - słońca i gwiazdy; zygzakowate linie przepaścistych ścian skalnych i na nich ludzie pnący się w górę, powiązani sznurami - tak, jak wiąże się widelce i noże; rysunki mórz i na nich roześmiane twarzyczki wyglądające spoza falistych kresek, które są chyba falami; mapa świata. - Spal to wszystko! - zawołał. A teraz jego pisma. O tym, jak umarli śpiewają za krzewami rododendronów; ody do czasu, rozmowy z Szekspirem; Evans, Evans, Evans... orężdia od umarłych; nie wolno ścinać drzew; trzeba o tym zawiadomić premiera. Miłość wszechobejmująca; ostateczny sens świata. - Spal je! - zawołał.

Ale Recja położyła dłoń na papierach. Uważała, że są tam rzeczy piękne. Zawinie je w kawałek jedwabiu, bo nie ma koperty.

Nawet jeśli go zabiorą, powiedziała, ona z nim pójdzie. Nie mogą ich rozłączyć wbrew ich woli.

Wyrównawszy brzegi arkuszy zawinęła je i związała paczkę, prawie nie patrząc na to, co robi; siedziała blisko, siedziała tuż obok niego, jak gdyby, pomyślał, cała w płatkach. Jest kwitnącym drzewem, a spoza gałęzi jej twarz wygląda jak twarz prawodawcy, który wstąpił do sanktuarium, gdzie nie lęka się już niczego; ani Holmesa, ani Bradshawa, a to jest cud, tryumf największy i ostateczny. Widział, jak potykając się wstępuje na przerażające schody między dwoma rzędami Holmesów i Bradshawów, ludzi, którzy nigdy nie ważą mniej niż sto sześćdziesiąt funtów, których żony bywają u dworu, którzy zarabiają dziesięć tysięcy na rok i mówią o poczuciu proporcji; którzy ferują sprzeczne wyroki (bo Holmes mówił co innego niż Bradshaw), ale są sędziami; którzy myślą widziadła z kredensem, którzy niczego nie rozumieją, a jednak rządzą, jednak skazują. Nad nimi Recja tryumfowała.

- Już! - powiedziała Recja. Papiery były zapakowane. Nikt nie będzie w nich grzebał. Schowa je teraz.

I powiedziała, że nic na świecie ich nie rozłączy. Usiadła obok niego i

nazwała go imieniem tego jastrzębia czy kruka, który jest złośliwy i niszczy zbiory i dlatego jest strasznie do niego podobny. Nikt nie zdoła ich rozłączyć, powiedziała.

Potem poszła do sypialni zapakować swoje i jego rzeczy, ale słysząc na dole rozmowę złękła się, że może doktor Holmes przyszedł, i prędko zbiegła na dół, bo za nic nie chciała go wpuścić do pokoju.

Septimus słyszał, jak rozmawia na schodach z Holmesem.

- Kochana pani, przychodzę jako przyjaciel - mówi Holmes.
- Nie. Nie wpuszczę pana do mojego męża - odparła Recja.

Wyobrażał ją sobie - mała kurka rozpościerająca skrzydła i broniąca Holmesowi przejścia. Ale Holmes nie ustępował.

- Droga pani, proszę pozwolić, że... - powiedział Holmes odsuwając ją na bok. (Holmes jest silnym mężczyzną.)

Holmes wchodzi na schody. Holmes za chwilę otworzy drzwi. Holmes powie: znowu bez humoru? Holmes weźmie go w swoje łapy. Nie, nie weźmie - ani Holmes, ani Bradshaw. Podniósł się, stanął niepewnie na nogach, przeszedł przez pokój skacząc z nogi na nogę i spojrzał na nóż do chleba pani Filmer; ładny, błyszczący nóż z napisem: „chleb”, wyrytym na ręczce. Och, takiego noża nie wolno walać. Gaz? Już za późno. Holmes idzie po schodach. Brzytwa byłaby dobra, ale Recja - że też musiała to zrobić! - zapakowała brzytwę. Zostało tylko okno, duże okno kamienicy w Blooms-bury; a to taka męcząca, kłopotliwa i taka melo-dramatyczna historia - otwierać okno i rzucać się na ulicę! To jest ich wyobrażenie o tragedii; nie jego, nie Recji (bo Recja jest z nim). Holmes i Bradshaw przepadają za takimi scenami. (Usiadł na parapecie.) Ale poczeka do ostatniego momentu. Wcale nie chce umierać. Życie jest dobre, słońce jest gorące. I chyba tylko ludzie... Stary mężczyzna schodzący ze schodów w domu po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał się i wlepił w niego wzrok. Holmes był przy drzwiach.

- Masz, to coś dla ciebie! - zawołał Septimus i gwałtownie, z rozmachem

rzucił się na sztachety przed wejściem do sutereny domu pani Filmer.

- Tchórz! - zawołał doktor Holmes otwierając drzwi; Recja podbiegła do okna, zobaczyła; zrozumiała. Doktor Holmes i pani Filmer wpadli na siebie. Pani Filmer zakryła jej oczy fartuchem, zaciągnęła ją do sypialni. Zaczęła się biegająca tam i z powrotem po schodach. Wszedł doktor Holmes - był biały jak płótno, dygotał na całym ciele; w ręku trzymał szklanę. Musi być dzielna i wypić to, powiedział. (Co to jest? Trochę słodkie w smaku.) Bo jej mąż jest strasznie pokaleczony, nie odzyska przytomności, lepiej, żeby go nie widziała, trzeba ją w miarę możliwości oszczędzać, bo biedaczka ma jeszcze przed sobą śledztwo i rozprawę. Kto to mógł przewidzieć? Nagły impuls, nikogo nie wolno za to winić (powiedział do pani Filmer). Doktor Holmes naprawdę nie miał pojęcia, dlaczego on to, u wszystkich diabłów, zrobił.

Gdy piła słodki płyn, zdawało jej się, że otwiera jedne po drugich szklane drzwi i wychodzi do ogrodu. Ale gdzie? Zegar bił - raz, dwa, trzy; jak rozsądnie i rzeczowo brzmiał głos zegara w porównaniu z tą całą biegającą, z tymi szeptami; jak głos Septimusa. Zaraz usnie. Ale zegar bił dalej - cztery, pięć, sześć, a pani Filmer powiewająca fartuchem (nie przyniosą go tu chyba na górę?) zdawała się być częścią tego ogrodu. Albo flagą. Kiedyś była u ciotki w Wenecji i widziała flagę wciąganą powoli na maszt. W ten sposób oddaje się cześć poległym, a Septimus był przecież na wojnie'. Och, ma tyle szczęśliwych wspomnień.

Włożyła kapelusz i biegła przez łąny zboża - gdzie to mogło być? - w stronę jakiegoś pagórka, gdzieś chyba nad morzem, bo zobaczyła okręty, mewy, motyle; usiedli na skale. W Londynie też siedzieli na tej skale; w półśnie napłynęła do niej przez drzwi sypialni, napłynęła ponad szmerem deszczu szeleszczącego pośród suchych kłosów pieszczota morza obejmująca ich - tak się Recji zdawało - swą sklepioną muszlą i szepcząca do niej, gdy leżała na brzegu jak kwiat rzucony na grób.

- On nie żyje - powiedziała do biednej starej kobiety, która strzegła jej nie

spuszczając swych dobrych jasnoniebieskich oczu z drzwi (chyba nie przyniosą go tutaj na górę?). Ale pani Filmer uspokoiła ją. Och, nie, nie! Właśnie go zabierają, pomyślała pani Filmer. Czy ona nie powinna wiedzieć? Miejsce żony jest przy mężu. Ale trzeba robić to, co kazał doktor.

- Niech śpi - powiedział doktor Holmes badając jej tętno. Jego duża postać rysowała się ciemną plamą na tle okna.

A więc to jest doktor Holmes...

Jeden z tryumfów cywilizacji, pomyślał Piotr Walsh. Tak, to jest jeden z tryumfów cywilizacji, pomyślał słysząc cienki, przenikliwy dzwonek ambulansu. Szybki i zwinny mknął ambulans do szpitala zabrawszy skądś miłosiernie, błyskawicznie jakiegoś biedaka; kogoś z rozbitą głową albo w ciężkim ataku choroby, albo może przejechanego kilka minut temu na jezdni - co się może zdarzyć każdemu. To właśnie jest cywilizacja. Po powrocie ze Wschodu szczególnie rzucała się w oczy sprawność, organizacja, solidarność społeczności londyńskiej. Wszystkie samochody, wszystkie pojazdy zjeżdżały dobrowolnie na bok, żeby przepuścić ambulans. Może jest w tym jakaś niezdrowa ciekawość; czy też ów szacunek okazywany ambulansowi i wiezionej w nim ofierze raczej wzrusza? Zapracowani mężczyźni śpieszący do domu na widok ambulansu myślą o żonie - albo o tym, że przecież każdy z nich mógłby tam leżeć w środku, rozciągnięty na noszach, z pielęgniarką i lekarzem u boku... Ach, wystarczy pomyśleć o lekarzach, o trupach, a myśli natychmiast stają się chorobliwe, sentymentalne; lekki dreszcz rozkoszy, jak gdyby pożądlivość towarzysząca wyobrażeniom wizualnym, jest ostrzeżeniem, żeby nie posuwać się dalej w tych spekulacjach - są zgubne dla sztuki, zgubne dla przyjaźni. To prawda. Ale mimo wszystko, pomyślał Piotr Walsh, gdy ambulans skręcił za róg (choć słychać było cienki, przeraźliwy dźwięk dzwonka na następnej ulicy i jeszcze dalej, gdzieś po drugiej stronie Tottenham Court Road), samotność ma swoje przywileje; w samotności można robić to, na co ma się ochotę. Można płakać, jeśli nikt tego nie widzi. I właśnie ta wrażliwość

zgotowała mu klęskę w anglo-indyj-skim społeczeństwie; nie płakał nigdy w odpowiednim momencie i nie śmiał się w odpowiednim momencie. Jest we mnie teraz coś, pomyślał zatrzymując się przy skrzynce pocztowej, co w każdej chwili może wybuchnąć łzami. Dlaczego - Bóg jeden wie. Prawdopodobnie jakieś podświadomie odczute piękno i może ciężar tego dnia: ten dzień, rozpoczęty wizytą u Klarysy, zmęczył go upałem, intensywnością i ogromem wrażeń, które jedno po drugim zapadały, osiadały na samym dnie tego lochu, gdzie miały pozostać niewidoczne, gdzie nikt nie będzie o nich wiedział. Częściowo właśnie dlatego (powód ten okrywała tajemnica całkowita i nie do przeniknięcia) życie wydawało mu się nieznanym ogrodem, pełnym krętych alejek i ścieżyn, zaskakujących widoków; bo takie chwile naprawdę zapierają dech w piersiach, chwile jak ta, którą przeżył obok skrzynki pocztowej naprzeciwko Muzeum Brytyjskiego, chwile, w których wszystko zbiega się w jednym punkcie - ten ambulans, życie, śmierć. W takich chwilach zdawało mu się, że fala wzruszeń porywa go i wyrzuca na dach jakiegoś podniebnego budynku, a jednocześnie pozostawia w dole nagiego jak piachy nadmorskie usiane białymi muszlami.

Klarysa jadąca z nim kiedyś na górnym pomoście omnibusu - Klarysa, przynajmniej powierzchownie, tak łatwo ulegająca wzruszeniom, to wpadająca w rozpacz, to znów w świetny humor, tak żywa, taki świetny towarzysz, bystra obser-watorka dziwacznych małych scen, nazw, ludzi, z dachu omnibusu, bo wyprawiali się wtedy często na zwiedzanie miasta i przywozili worki pełne skarbów z Targu Kaledońskiego - Klarysa miała w tamtych czasach swoją własną teorię. Oboje mieli wtedy mnóstwo teorii, obmyślali wciąż nowe, jak to młodzi ludzie. Ta jej teoria miała wytłumaczyć uczucie niezadowolenia, którego źródłem jest niemożność poznania ludzi i to, że ludzie nas nie znają. Bo jak można się poznać nawzajem? Człowiek spotyka się z człowiekiem co dzień, a potem nie widują się miesiącami, latami. To irytujące, uznali zgodnie, że tak niedostatecznie zna się ludzi. Ale jadąc któregoś dnia omnibusem po Shaftes-

bury Avenue Klarysa powiedziała, że czuje siebie wszędzie; nie tylko „tu, tu, tu”, powiedziała uderzając w oparcie siedzenia; wszędzie. Zatoczyła ręką koło, gdy tak jechali przez Shaftesbury Ave-nue. Jest wszystkim tym, powiedziała. Więc żeby ją poznać (czy żeby w ogóle poznać kogokolwiek), trzeba odszukać tych ludzi, którzy ją uzupełniają; a nawet poznać miejsca, które ją uzupełniają. Dziwaczne więzy łączą ją z ludźmi, z którymi nigdy nie rozmawiała - z kobietami na ulicy, z mężczyznami za ladą sklepów, nawet z drzewami, ze stodołami. To jej rozumowanie doprowadziło ją do transcendentalizmu, dzięki któremu ona, tak bardzo lękająca się śmierci, mogła uwierzyć czy też wmówić w siebie (przy całym swoim sceptycyzmie), że skoro nasza zewnętrzna powłoka, skoro widzialna część naszych istnień jest tak bardzo krótkotrwała w porównaniu z niewidzialną częścią naszych istnień, która wychodzi daleko poza siebie, ta niewidzialna część może ostać się śmierci, może się odnaleźć zespolona w jakiś sposób z tą czy inną osobą, może nawet przebywać czy nawiedzać po śmierci takie czy inne miejsce. Kto wie... kto wie.

Jeśli idzie o tę ich długą, niemal trzydziestoletnią przyjaźń, teoria Klarysy sprawdziła się. Choć ich spotkania były krótkie, przerywane, często bolesne, choć na tak długo wyjeżdżał z kraju, choć tyle było wciąż przeszkód (na przykład tego ranka, właśnie kiedy zaczynał mówić do Klarysy, weszła Elżbieta - długonogi, milczący, dorodny żreback), spotkania te wywarły jednak ogromny wpływ na jego życie. Była w tym jakaś tajemnica. Mogło się zdawać, że spotkania są otrzymywanym w podarku ostrym, kłującym, nieprzyjemnym ziarnem, najczęściej sprawiającym ból; ale kiedy się było daleko, w najmniej oczekiwanym miejscu i czasie, ziarno kiełkowało, rozkwitało, kwiat rozchyłał płatki, rozsiewał zapach; można go było dotknąć, patrzeć na niego, odczuwać jego obecność, rozumieć go, choć przez tyle lat ziarno leżało zapomniane. Tak właśnie przychodziła do niego Klarysa - na statku, w Himalajach, przywodziły mu ją na myśl najdziwaczniejsze rzeczy (w podobny sposób Sally Seton, kochana, niemądra, egzaltowana Sally pomyślała o nim na widok fioletowych

hortensji). Nikt nie wywarł nań tak wielkiego wpływu jak Klarysa. I zawsze zjawiała się przed nim, chociaż on tego nie pragnął, chłodna, wytworna, krytyczna; albo zachwycająca, romantyczna, przywodząca mu na myśl łąkę lub zniwa w Anglii. Widywał ją najczęściej na tle wsi, nie w Londynie. Jedno po drugim wspomnienie z Bourton...

Dotarł do hotelu. Przeszedł przez hali zastawiony bryłami czerwonych foteli i kanap, przywiedłymi roślinami o ostrych liściach. Zdjął klucz z tablicy. Młoda panienska wręczyła mu kilka listów. Zaczął wstępować na schody... widywał ją najczęściej na tle Bourton, pod koniec lata, kiedy przyjeżdżał tam na tydzień czy dwa, jak to ludzie mieli wtedy w zwyczaju. Najpierw na szczycie pagórka, stała przytrzymując włosy rękami, wiatr rozwiewał jej płaszcz, a ona wołała do nich, pokazywała coś rękami... może rzekę płynącą w dole. Albo widział ją w lesie, gotującą wodę nad ogniskiem... miała bardzo niezręczne ręce; dym przysiadł, buchał im w twarz, jej różowa twarzyczka wyłaniała się spoza szarych kłębow; widział ją, jak w wiejskiej chacie prosi o wodę starą kobietę, która wychodzi na próg i odprowadza ich wzrokiem. Klarysa i on zawsze szli, tamci jechali konno. Konna jazda ją nudziła, Klarysa nie lubiła zwierząt, kudłaty pies był wyjątkiem. Przemierzali wiele mil drogami. Przystawała na chwilę, żeby się zorientować w kierunku, a potem prowadziła go na przełaj przez pola. I cały czas się sprzecali, prowadzili nie kończące się dyskusje o poezji, o ludziach, polityce (miała wtedy poglądy radykalne). Szedł nie widząc nic dokoła i patrzył dopiero wtedy, kiedy Klarysa zatrzymywała się krzycząc z zachwytu nad jakimś widokiem czy drzewem i kazała mu je podziwiać; potem znów ruszali przed siebie, szli przez ścierniska, ona zawsze przodem, niosąc jakiś kwiat dla ciotki, niezmordowany piechur mimo swej delikatnej budowy, aby wreszcie o zmroku dotrzeć do Bourton. A potem, po kolacji, stary Breitkopf otwierał fortepian i śpiewał, chociaż zupełnie nie miał głosu, a oni pół leżeli wciśnięci w fotele i naprawdę starali się powstrzymać śmiech, ale w końcu zawsze wybuchali i śmieli się, śmieli, śmieli - z niczego. Zdawało im się, że Breitkopf tego nie widzi. A potem

rano, podskakując przed domem jak pliszka...

Och, ten list jest od niej! Ta niebieska koperta... jej pismo. Będzie musiał go przeczytać! Oto jeszcze jedno spotkanie, na pewno bolesne! Przekazywanie jej listu wymaga piekielnego wysiłku. „Jak cudownie było Cię zobaczyć! Musiałam Ci o tym napisać.” Tylko tyle.

Ale go to zirytowało, zdenerwowało. Wolałby, żeby do niego nie pisała. Myślał o niej tak długo, a teraz ten list... było to jak kuksaniec pod zebra. Czy nie mogłaby go zostawić w spokoju? Ostatecznie wyszła za mąż za Dallowaya i przez te wszystkie lata była w małżeństwie najzupełniej szczęśliwa.

Taki hotel nie poprawia humoru. O, nie! Iluż ludzi wieszalo kapelusze na tym haku. Nawet te same muchy - wystarczyło to sobie uświadomić - siadywały już na innych nosach. A czystość, która aż razi oczy, jest nie tyle czystością, ile nagością, oziębłością, czymś wymuszonym. Jakaś zaszuszonego kierowniczką obchodzi o światło pokoje wężąc, wypatrując i zmuszając sinonose dziewczyny do szorowania, jak gdyby następny gość był kawałkiem mięsa, które ma być podane na idealnie czystym talerzu. Jedno łóżko do spania, jeden fotel do siedzenia; do mycia zębów i golenia jeden kubek i jedno lustro. Książki, listy, szlafrok wyglądały na tle bezosobowej czerni skórzanej kanapy jak bezczelni impertynenci. I właśnie list Klary-sy otworzył mu na to oczy. „Cudownie było Cię zobaczyć. Musiałam Ci o tym napisać!” Złożył arkusik, odrzucił. Za nic na świecie nie przeczyta go po raz drugi!

Na to, żeby on dostał ten list o szóstej, musiała go napisać zaraz po jego wyjściu; nakleiła znaczek, posłała kogoś na pocztę. Było to, jak ludzie mówią, bardzo w jej stylu. Jego wizyta zdenerwowała ją. Doznała wielkich wzruszeń, przez chwilę, kiedy całowała jego rękę, żałowała, zazdrościła mu, przypomniała sobie, może (widział to w jej oczach), coś, co on kiedyś powiedział... może o tym, że zmienią świat, jeśli ona wyjdzie za niego; a tymczasem było to, był dzień dzisiejszy, wiek średni, przeciętność. Potem nieposkromiona wital*

ność pozwoliła jej odegnąć od siebie te myśli, bo Piotr nie znał osoby o

silniejszym niż Klarysa instynkcie życia - niezniszczalnym, pokonującym wszystkie przeszkody, wyprowadzającym ją triumfalnie ze wszystkich tarapatów. Tak, ale zaraz po jego wyjściu musiała nastąpić reakcja. Zaczęła się nad nim litować, zaczęła się zastanawiać gorączkowo, co zrobić, żeby mu sprawić przyjemność (oprócz, naturalnie, tej jednej jedynej rzeczy), i Piotr widział ją niemal, jak z policzkami mokrymi od łez podchodzi do biurka i pisze w pośpiechu tych kilka słów, które miały go przywitać w hotelu, „...cudownie było Cię zobaczyć!” I pisząc to była szczerą.

Piotr Walsh rozwiązał sznurowadła.

Ale ich małżeństwo nie byłoby udane. Ta druga miłość ułożyła się mimo wszystko o tyle naturalniej!

Było dziwne; było prawdziwe, dużo osób tak to odczuwało. Piotr Walsh, któremu wiodło się zaledwie dobrze, który jako tako wywiązywał się z powierzanych mu funkcji, który był ogólnie lubiany, chociaż uważano go za ekscentryka, bywał wyniosły; było dziwne, że właśnie teraz, kiedy posiwiał mu włosy, miał minę zadowoloną, minę człowieka, który nie powiedział jeszcze wszystkiego. I dzięki temu właśnie podobał się kobietom, które chętnie wyobrażały sobie, że nie jest bardzo silnym mężczyzną. Było w nim coś niezwykłego - w nim, a może poza nim. Może to, że lubił książki (dokądkolwiek przychodził, brał zawsze do ręki książkę leżącą na stole; teraz też czytał, w rozsznurowanych butach); lub może to, że był dżentelmenem, co uzewnętrzniało się w sposobie wystukiwania popiołu z fajki i w jego stosunku do kobiet. Bo to naprawdę rozczulało i trochę może śmieszyło, że tak łatwo pierwsza lepsza gąska mogła go sobie okręcić dokoła palca. Ale na własne ryzyko. To znaczy, że chociaż był taki miły we współżyciu, choć wesołość i dobre wychowanie sprawiały, że był towarzyszem wprost urzekającym, wszystko to miało swoje granice. Powiedziała coś - och, nie, nie, natychmiast ją przejrzał! Takich rzeczy nie cierpi - nie, nie! Ale poza tym umiał też ryczeć ze śmiechu i trząść się, i trzymać się za boki, kiedy w towarzystwie mężczyzn

usłyszał dobry dowcip. Nikt tak jak on nie znał się na hinduskiej kuchni. Był mężczyzną. Ale nie należał do mężczyzn, którzy budzą respekt - Bogu dzięki. Nie był na przykład podobny do majora Simmonsa; ani trochę, pomyślała Daisy, kiedy mimo dwojga małych dzieci, które miała z mężem, zaczynała ich porównywać.

Zdjął buty. Wypróżnił kieszenie. Wraz ze scyzorykiem wypadło zdjęcie Daisy na werandzie. Daisy w białej sukni, trzymająca foksteriera na kolanach, śliczna, ciemnowłosa; chyba najlepsze jej zdjęcie. I wszystko stało się tak prosto, tak naturalnie, o tyle naturalniej niż z Klarysą. Żadnego zamieszania, żadnych trudności, żadnych fumów i fochów. Wszystko jak z płatka. Ciemnowłosa, prześliczna dziewczyna na werandzie wykrzyknęła (wciąż słyszy jej głos), że, naturalnie, naturalnie, zrobi dla niego wszystko (wołała na głos, bo jest bardzo nierozważna), wszystko na świecie, zrobi wszystko, czego on od niej zażąda! wołała biegnąc do niego, niepomna na to, że ludzie mogą ich widzieć. A ma zaledwie dwadzieścia cztery lata i dwoje małych dzieci. Hm... hm.

Doprawdy, w jego wieku zabrnąć w taką sytuację. Kiedy budził się w nocy, myśl o tym nie dawała mu spokoju. Powiedzmy, że zostaną małżeństwem. Jemu będzie dobrze, ale co z nią? Pani Burgess, poczciwa kobieta i wcale nie plotkarka której zwierzył się ze wszystkiego, uważa, że jego wyjazd do Anglii, pozornie w celu przeprowadzenia rozmów z adwokatem, pozwoli Daisy jeszcze raz wszystko przemyśleć, zastanowić się nad konsekwencjami tego kroku. Bo przecież tu chodzi o jej pozycję, powiedziała pani Burgess, o barierę społeczną, która przed nią wyrośnie, o to, że będzie musiała zrezygnować z dzieci. Za kilka lat zostanie wdową z niezbyt jasną przeszłością, wegetującą gdzieś na przedmieściu albo, co prawdopodobniejsze, zejdzie na złą drogę. (- Pan wie - powiedziała pani Burgess - co się dzieje z takimi kobietami, kiedy zaczynają nakładać za dużo różu na policzki.) Ale Piotr Walsh gestem ręki odegnał te wątpliwości. Nie wybiera się jeszcze na tamten świat. W każdym razie Daisy musi sama powziąć decyzję; musi dokonać wyboru, myślał chodząc w

skarpetkach po pokoju i wygładzając koszulę frakową, bo może zdecyduje się pójść do Klarysy albo do któregoś z music-hallów - albo zostanie w domu i będzie czytał pasjonującą książkę napisaną przez kogoś, kogo znał w Oksfordzie. A jeżeli w końcu wycofa się z czynnego życia, poświęci czas właśnie na to, na pisanie książek. Pojedzie do Oksfordu i będzie grzebał w Bodleian Library. Na próżno ciemnowłosa, czarująca i śliczna dziewczyna wybiegała na brzeg tarasu, na próżno przywoływała go ręką, na próżno zapewniała, że nic ją nie obchodzi, co ludzie powiedzą. Oto mężczyzna, który jest dla niej całym światem, oto ów wzór dżentelmena, fascynujący, dystyngowany (wiek nie ma dla niej żadnego znaczenia), kręci się po pokoju hotelowym w Bloomsbury, goli się, myje i nalewając wodę, czyszcząc brzytwę nie wychodzi z Bodleian Library, grzebie w książkach i szuka odpowiedzi na dwa drobne pytania, które od dawna nie dają mu spokoju. I będzie się wdawał w pogawędki ze wszystkimi napotkanymi znajomymi, coraz częściej będzie zapominać o godzinach posiłków i spóźniać się na umówione spotkania; a jak go Daisy poprosi (co jest nieuniknione), żeby ją pocałował, wybuchnie awantura (choć naprawdę ją kocha) - słowem, byłoby chyba lepiej, jak radziła pani Burgess, żeby Daisy go zapomniała czy też pamiętała go takim, jakim był w sierpniu roku 1: postać stojąca na skrzyżowaniu dróg o zmroku, postać, która maleje, w miarę jak oddala się bryczka unosząca ją, przywiązana bezpiecznie do siedzenia, lecz wyciągającą ramiona; postać maleje, niknie, ale ona wciąż woła, że zrobi dla niego wszystko, wszystko, wszystko na świecie...

Nigdy nie umiał odgadnąć, co ludzie naprawdę myślą. Coraz trudniej było mu się skupić, skoncentrować. Wpadał w zadumę, pochłaniały go własne sprawy, bywał zgorzkniały to znów pogodny, coraz bardziej zależny od kobiet, roztargniony, ponury; i coraz trudniej było mu zrozumieć (tak myślał, goląc się przed lustrem), czemu Klarysa nie miałaby im po prostu znaleźć jakiegoś mieszkania i zająć się Daisy, wprowadzić ją w świat. A wtedy mógłby... mógłby co? Och, wałęsać się i tracić czas (porządkował właśnie rozmaite papiery,

klucze), obserwować, rozmyślać, słowem, pozostawiono by go w spokoju, byłby sam ze sobą; a przecież jednocześnie chyba nikt nie jest bardziej zależny od ludzi (zapiął kamizelkę); to go gubiło. Nie umiał trzymać się z daleka od pokoi klubowych, lubił towarzystwo pułkowników, lubił grać w golfa, brydża, a nade wszystko lubił towarzystwo kobiet, lubił subtelność ich przyjaźni, ich wierność, zuchwalstwo i wielkość w miłości, co miało wprawdzie swoje złe strony, ale jednocześnie (śliczna, śniada twarzyczka znalazła się na wierzchu sporego pliku kopert) zachwycało go, wydawało mu się najpiękniejszym kwiatem rosnącym na glebie ludzkiego życia; mimo to nigdy nie umiał dać z siebie wszystkiego, bo zawsze dopatrywał się w rzeczach podwójnego dna (Klarysa zniszczyła w nim coś bezpowrotnie), zawsze bardzo prędko nudziła go milcząca czułość i pragnął zmiany w miłości, chociaż z drugiej strony byłby wściekły, gdyby Daisy pokochała kogoś innego - tak, wściekły, bo miał naturę zazdrosną, niepohamowanie zazdrosną. Przeżywał męki! Ale gdzie jest scyzoryk, zegarek, portfel, list Klarysy, którego nie przeczyta po raz drugi, ale przyjemnie mu o nim myśleć, i fotografia Daisy? A teraz pójdzie coś zjeść.

W sali restauracyjnej goście jedli kolację.

Ubrani w stroje wieczorowe lub zwykłe dzienne, trzymając obok na krzesłach szale i torebki, siedzieli przy małych, ozdobionych kwiatami stolikach; z ich póż i min przebijała udana swoboda, bo nie byli przyzwyczajeni do tylu dań na kolację, przebijała pewność siebie, bo mieli czym zapłacić, i przebijało zmęczenie, bo cały dzień zwiedzali miasto i biegali po sklepach; i naturalna ciekawość, bo oglądali się i podnosili głowy, gdy wszedł na salę ten pan o miłej twarzy, w rogowych okularach; i wrodzona dobroć, bo chętnie oddaliby jakąś małą przysługę, na przykład pożyczyliby przewodnik lub udzielili ważnej informacji; i pulsujące w nich, odzywające się wciąż w podświadomości pragnienie zadzierzgnięcia jakiejś więzi, choćby to miało być tylko wspólne miejsce urodzenia (na przykład Liverpool), czy też znajomi o tym samym nazwisku. Siedzieli rzucając ukradkowe spojrzenia i to milkli w

niezręcznych pauzach, to szukali ucieczki i odosobnienia w nagłych wybuchach rodzinnej żartobliwości; siedzieli jedząc, gdy Piotr Walsh wszedł na salę i zajął miejsce przy małym stoliku obok kotary.

Nie chodzi o to, co Piotr Walsh powiedział, bo był sam, więc mógł się zwracać tylko do kelnera; ale sposób, w jaki patrzył na menu, w jaki wskazał palcem na pewną szczególną markę wina, w jaki usiadł przy stoliku i z powagą, bez łakomstwa, zabrał się do jedzenia, zdobył mu ich szacunek; szacunek, który tłumiony podczas całej niemal kolacji wybuchnął nagle jasnym płomieniem przy stoliku u Morrisów, gdy usłyszeli, jak pod koniec mówi: gruszki Barlett. Dlaczego powiedział to tonem tak skromnym, a jednak stanowczym, jak rygorysta znający doskonale swoje słuszne prawa - tego ani Karol Morris junior, ani Karol Morris senior, ani panna Elaine Morris, ani stara pani Morris nie wiedzieli. Ale gdy samotny przy swoim stoliku powiedział: gruszki Barlett, zrozumieli od razu, że w swoich słusznych żądaniach liczy na ich poparcie; że jest orędownikiem jakiejś sprawy, która natychmiast stała się ich sprawą. Ich oczy, pełne zrozumienia i sympatii, spotkały się z jego oczami, a gdy w chwilę później wszyscy niemal jednocześnie weszli do palarni, pogawędka stała się nieunikniona.

Och, nie była to bynajmniej jakaś poważna rozmowa; ot, że Londyn jest przepełniony, że się zmienił przez trzydzieści lat, że pan Morris woli Liverpool, że pani Morris była na wystawie kwiatowej w Westminsterze i że wszyscy razem widzieli księcia Walii. A mimo to, myślał Piotr Walsh, żadna rodzina na świecie nie może się równać z rodziną Morrisów, żadna; mają nawzajem do siebie przemiły stosunek, wszyscy razem gwizdzą na klasy wyższe, są szczerzy w swoich upodobaniach. Elaine kształci się, bo ma zamiar prowadzić kiedyś interesy rodzinne, chłopak zdobył stypendium na uniwersytecie w Leeds, stara pani Morris (jest chyba w jego wieku) ma jeszcze troje młodszych dzieci w domu, mają dwa samochody, ale pan Morris wciąż naprawia buty w niedzielę. To cudowne, niezrównane, myślał Piotr Walsh, stojąc z kieliszkiem w ręku

między czerwonymi fotelami i popielniczkami i kołysząc się lekko to do przodu, to do tyłu, bardzo z siebie zadowolony, bo najwyraźniej spodobał się Morrisom. O, tak, byli zachwyceni człowiekiem, który powiedział: gruszki Barlett. Polubili mnie, myślał Piotr.

Pójdzie na przyjęcie do Klarysy. (Morrisowie odeszli, ale naturalnie jeszcze się spotkają.) Pójdzie na przyjęcie do Klarysy, bo chce spytać Ryszarda, co oni wyprawiają w Indiach, te osły z partii konserwatywnej. I chce się dowiedzieć, co grają w teatrach, jakie są koncerty... Och i, naturalnie, trochę poplotkować.

Bo taka jest prawda o naszej duszy, pomyślał Piotr Walsh, o naszym ja, które niczym ryba zamieszkuje głębinę morską i przebywa w ciemnościach torując sobie drogę między splotami gigantycznych wodorostów, poprzez prześwietlone słońcem obszary i dalej, dalej w mrok zimny, głęboki, nieprzenikniony; nagle wypływa na powierzchnię i zaczyna igrać na pędzonych wiatrem falach, to jest czuje niepoahamowaną potrzebę ogrzania się, przewietrzenia, obmycia, oczyszczenia w zwykłej pogawędce. Co ten rząd - Ryszard Dalloway będzie wiedział - zamierza zrobić w sprawie Indii?

Ponieważ wieczór był ciepły i gazeciarze obnosili plakaty, na których ogromne czerwone litery głosiły o nadejściu fali upałów, ustawiono na ganku hotelowym wyplatane fotele i na nich, popijając kawę, paląc, siedzieli panowie. Piotr Walsh usiadł między nimi. Mogło się zdawać, że ten dzień, ten londyński dzień, dopiero się zaczyna. Jak kobieta, która zrzuciła perkalową suknię i biały fartuch, żeby się przystroić w błękitne jedwabie i perły, dzień zmieniał się, odrzucał ciężkie suknie, ubierał się w tiule, przystrajał na wieczór i z tym samym westchnieniem radosnej ulgi, z którym kobieta zrzuca na podłogę bieliznę, pozbywał się kurzu, upału, barw. Ruch na ulicach był teraz mniejszy; samochody mknące szybko, z warkotem, zajęły miejsce ciężko dudniących wozów, a tu i tam pośród gęstego listowia skwerów wisiało jaskrawe światło. Abdykuję, zdawał się mówić dzień, blednąc i niknąc nad kopułami i wieżycami, nad płaskimi dachami i szczytami hoteli, kamienic mieszkalnych i domów

towarowych. Ustępuję, zaczął mówić dzień, znikam, ale Londyn nie chciał o tym nawet słyszeć i wzniosłszy swe bagnety w niebo przytrzymał dzień, zmusił do uczestniczenia w wieczornych hulankach.

Bo podczas ostatniej nieobecności Piotra Walsha w Anglii pan Willett przeprowadził swoją wielką rewolucję i ustanowił czas letni. Przedłużony dzień był dla Piotra nowością; wydawało mu się, że zmiana wpływa na miasto w sposób ożywczy. Bo na twarzach młodych mężczyzn, którzy przechodzili ulicą niosąc swoje teczki, szczęśliwi, że są już wolni, i dumni w głębi duszy, że stąpają po tym słynnym bruku, jaśniała radość - może dość pospolita, lśniąca blichтром, jeśli chcecie, lecz niemniej radość pełna uniesienia. I ubrani byli zupełnie dobrze; różowe skarpetki, ładne buty. Teraz spędzą dwie godziny w kinie. Żółto-niebies-kie światło wieczoru wy subtelniało, dodawało ostrości ich rysom; i kładło sinobury połysk na listowiu drzew rosnących na skwerze - wyglądały jak zanurzone w morskiej wodzie, jak drzewa zatopionego miasta. To piękno zachwyciło Piotra Walsha i zdumiało; i dodało mu otuchy, bo podczas gdy Anglicy powracający z Indii (znał takich dziesiątki) przesiadywali naturalnie w Klubie Wschodnim lamentując z goryczą nad losem świata, który schodzi na psy, on siedzi tu sobie przed hotelem chyba odmłodniały, zazdrości tym młodym mężczyznom ich letniego czasu, i tak dalej, i w słowach dziewczyny, w śmiechu pokojówki - rzeczy nieuchwytnie, umykające dotykowi ludzkiej ręki - odgaduje ową zmianę, owo przesunięcie w piramidalnej strukturze, która w młodości wydawała mu się niezmienna, trwała. Sam wierzchołek piramidy obsunął się i jej ciężar przygniótł ich, zwłaszcza kobiety, przygniótł tak, jak panna Parry, ciotka Klarysy, siedząc wieczorem pod lampą przygniatała rośliny, włożone między szarą bibułkę, tomem słownika Littré'go. Panna Parry umarła. Słyszał od Klarysy, że straciła oko. Wydawało mu się to takie właściwe - jedno z mistrzowskich pociągnięć natury! - że ciotka Helena zamieniła się w szkło. Umarła pewnie jak ptak podczas mrozu, uczepiony pazurami swojej żerdzi. Należała do innej epoki, ponieważ jednak była postacią

tak pełną, tak jednolitą, będzie zawsze majaczyć na horyzoncie, wyniosła niczym statua z białego kamienia, niczym latarnia morska znacząca jakiś dawny etap w tej pełnej przygód i długiej, długiej podróży, na tej nie kończącej się drodze (Piotr Walsh sięgnął po miedziaka, żeby kupić gazetę i przeczytać wynik meczu między Surrey a Yorkshire... wyciągał tego miedziaka najmniej milion razy... Surrey znowu przegrało) zwanej życiem. Ale krykiet nie jest tylko grą. Krykiet jest czymś niesłychanie ważnym. Piotr zawsze czytywał wyniki meczów krykietowych. Spojrzał najpierw na wiadomości z ostatniej chwili, potem przeczytał notatkę o fali upałów, potem o głośnej zbrodni. Rzeczy, które się robi milion razy, stają się przez to bogatsze, chociaż można by powiedzieć, że jednocześnie bardziej wyświechtane.

Przeszłość wzbogaca, i doświadczenie, i to, że się kochało kilka osób; zdobywa się w ten sposób umiejętność, której młodzi nie posiadają, ucinania krótko każdej rzeczy, robienia tego, na co się ma ochotę, nieprzejmowania się tym, co ludzie mówią, i poruszania się po świecie bez jakichś wielkich nadziei (położył gazetę na stoliku i wstał), co jednakże (sięgnął po kapelusz i płaszcz) do niego nie bardzo się odnosi, w każdym razie nie dzisiejszego wieczoru, bo oto on, człowiek w jego wieku, wybiera się na przyjęcie z wiarą w sercu, że będzie miał jakieś ciekawe przeżycie. Ale jakie?

Odczuje piękno, był pewien. Nie to prymitywne piękno, które przemawia do oka. Bedford Place łączący się z Russel Square, to nie jest piękno proste i czyste. Była to, oczywiście, surowość prostych linii i pustka, symetria korytarza; ale ponadto były to też oświetlone okna, dźwięk fortepianu, gramofon, rozrywka i radość ukryta, lecz objawiająca się od czasu do czasu, gdy przez nie zasłonięte okno, przez okno uchylone dostrzegało się ludzi zebranych wokół stołu, młode dziewczęta i chłopców tańczących powoli, rozmowy między mężczyznami i kobietami, służące, które leniwie wyglądają przez okno (ciekawe są ich uwagi po skończonej pracy!), pończochy suszące się na przy-murkach, papugę, kilka roślin w doniczkach. Pasjonujące, tajemnicze, niesłychanie bogate jest życie. A

na dużym skwerze, na którym zakręcają tak szybko taksówki, spacerujące pary przekomarzają się, obejmują, nikną pod deszczem gałęzi; to wzrusza; tak są cisi, tak sobą zajęci, że należy przejść obok nich dyskretnie, nieśmiało, jak gdyby spełniał się tu jakiś obrządek sakralny, jak gdyby naruszenie go było czynem bezbożnym. To bardzo interesujące. A więc dalej, w migotliwy, jaskrawy blask latarni ulicznych.

Wiatr rozwiewał mu płaszcz, gdy pochylony lekko do przodu, w owej szczególnej, sobie tylko właściwej pozie, z rękami założonymi do tyłu szedł przez Londyn w kierunku Westminsteru i rozglądał się bystro oczami, które wciąż jeszcze przypominały oczy jastrzębia.

Czyżby wszyscy jedli kolację na mieście? Tu lokaj otwierał drzwi, z których wyłoniła się dumnie krocząca stara dama w pantoflach zapinanych na sprzączki, z trzema fioletowymi strusimi piórami we włosach. Inne drzwi rozwarły się przed grupką pań owiniętych jak mumie w kwieciste szale, pań z gołymi głowami. W zamożnej dzielnicy domów o fasadach zdobionych stiukowymi filarami, przez małe ogródki szły lekko zdyszane panie (przed wyjściem wbiegały jeszcze na górę do dziecięcego pokoju), z grzebieniami we włosach; a mężczyźni w rozchylonych przez wiatr paltach czekali obok warkocących samochodów. Wszyscy wychodzili na miasto. Patrząc na te otwierające się drzwi, na to schodzenie ze stopni i wyruszanie, można by przypuszczać, że wszyscy mieszkańcy Londynu wsiadają do maleńkich łódek przycumowanych do brzegu, podrygujących na wodzie, jak gdyby całe miasto miało popłynąć w pochodzie karnawałowym. A po wysrebrzonym Whitehallu sunęły pająki, wokół lamp łukowych unosiły się roje komarów; było tak gorąco, że ludzie stali na ulicach i rozmawiali. A tu w Westminsterze rozsiadł się przed drzwiami swojego domu chyba emerytowany sędzia w nieskazitelnie białym ubraniu. Pewnie Anglik z Indii.

Tam bójka rozwrzeszczanych kobiet, pijanych kobiet; tam tylko jeden policjant i majaczące w mroku budynki, ogromne budynki przykryte kopułami

dachów, kościoły, parlamenty i syrena parowca na rzece, głuchy, zduszony mgłą krzyk.

Ale to jej ulica, ulica Klarysy; taksówki mkną objeżdżając róg jak woda opływająca filar mostu; połączone niewidzialną nicią, pomyślał Piotr, ponieważ wiozą gości na przyjęcie u niej, na przyjęcie u Klarysy.

Chłodny strumień wrażeń wzrokowych ustał teraz, jak gdyby oko było ponad miarę napełnionym kubkiem, z którego przelewa się płyn i nie zauważony ścieka po porcelanowych ściankach. Teraz ocknie się umysł. Teraz ciało musi się wyprostować, zanim wejdzie do domu, do jarzącego się światłami domu o szeroko otwartych drzwiach, przed którymi zatrzymują się samochody, wysiadają strojne kobiety; teraz dusza przygotowuje się na cierpienia. Otworzył ostrze długiego scyzoryka.

Lucy zbiegła pędem ze schodów. Wpadła na chwilę do salonu, żeby wygładzić narzutę, wyprostować krzesła, żeby jeszcze raz rzucić okiem i powiedzieć sobie, że ktokolwiek wejdzie i spojrzy na pięknie wyczyszczone srebra, na mosiężne szczypcy, pogrzebacz i szufelkę przed kominkiem, na nowe obicia krzesel, żółte zasłony w oknach - ktokolwiek wejdzie i spojrzy, na pewno pomyśli: jak czyste jest to wnętrze, jak błyszczące, jak pięknie utrzymane. Nagle usłyszała gwar głosów; skończyli kolację, idą na górę, musi uciekać.

Ma podobno przyjść premier, oznajmiła Agnes; słyszała, jak mówili o tym przy stole, powiedziała, wchodząc do kuchni z tacą pełną kieliszków. Co z tego, co z tego, czy premier przyjdzie, czy nie przyjdzie? O tej porze nic to już panią Walker nie obchodzi; dookoła niej talerze, salaterki, durszla-ki, patelnie, auszpiki z kury, maszynki do lodów, skórki od chleba, cytryny, wazy do zupy, formy budyniowe, i chociaż dziewczyny zmywają jak szalone, wszędzie tego pełno, na stołach, na krzesłach, i ogień bucha, huczy, elektryczne światło oślepia, a tu trzeba będzie jeszcze podać drugą kolację koło północy. Nie, doprawdy, panią Wal-ker nic to nie obchodzi, czy premier przyjdzie, czy nie przyjdzie.

Lucy powiedziała, że panie idą już na górę do salonu; tak, panie idą jedna za drugą, a pani Dalloway idzie na końcu i na pewno każe Lucy powtórzyć coś w kuchni, bo prawie zawsze to robi. Chociażby: „Brawo, kochana pani Walker!”, albo coś takiego. A jutro będą omawiały kolejno wszystkie dania: zupa, łosoś... Pani Walker wie, że łosoś był nie dopieczony, bo ten budyń kosztuje ją zawsze tyle nerwów, że za każdym razem każe pilnować łososa Jenny, no i potem wciąż to samo: łosoś jest nie dopieczony. Ale Lucy mówi, że jakaś pani, blondynka ze srebrnymi ozdobami we włosach, spytała, czy przystawki naprawdę były zrobione w domu. Co z tego, kiedy ten łosoś martwi panią Walker, myśli o nim cały czas nakładając na półmiski, zamykając szybry, otwierając szybry. Z pokoju jadalnego przyplłynął do kuchni głośny wybuch śmiechu, głos mówiący coś, drugi wybuch śmiechu - panie poszły do salonu, a panowie zabawiają się przy stole. Tokaj, powiedziała Lucy, wpadając do kuchni. Pan Dalloway kazał podać tokaj, ten z piwnic cesarskich, cesarski tokaj.

Niosąc tokaj Lucy zawołała przez ramię, że panna Elżbieta wygląda naprawdę ślicznie, Lucy nie mogła się napatrzeć, ma na sobie różową sukienkę i naszyjnik, który dostała od ojca. I niech Jenny pamięta o psie, o foksterierze panny Elżbiety (pies gryzł i trzeba go było zamknąć, a Elżbieta martwiła się, że może chce wyjść na dwór). Niech Jenny koniecznie pamięta o psie. Kiedy Jenny za skarby świata nie pójdzie na górę, w domu są takie tłumy gości! O, już samochód zajechał przed drzwiami! Dzwonek dzwoni, a panowie wciąż jeszcze siedzą w jadalni i piją tokaj!

Och, idą już na górę; to był pierwszy gość, a teraz będą przychodzili jedni po drugich, coraz prędzej i prędzej będą się schodzili i pani Parkin-son (wynajmowana na przyjęcia) zostawi drzwi wejściowe otwarte, a w hallu będzie pełno panów (stoją i przyglądają włosy) czekających na panie, które zdejmują płaszcze w pokoju na prawo z korytarza, gdzie pomaga im pani Barnet. Stara Ellen Barnet, która czterdzieści lat służy w rodzinie i zawsze latem przyjeżdża pomagać paniom, która pamięta matki z ich panięskich czasów i choć jest taka

skromna, zawsze podaje rękę na przywitanie; która używa pełnego szacunku zwrotu „jaśnie pani”, ale ma w obejściu swobodę i humor, kiedy spogląda na młode panny, kiedy bardzo taktownie pomaga lady Lovejoy w jej kłopotach z biustonoszem. Lady Lovejoy i panna Alicja rozumieją, że grzebień i szczotka są ich specjalnym przywilejem, bo znają panią Barnet już... - Trzydzieści lat, proszę jaśnie pani - podsunęła pani Barnet. W tamtych czasach młode panny bywające w Bou-rtton nie używały różu, powiedziała lady Lovejoy. Pannie Alicji róż niepotrzebny, odparła pani Barnet rzucając dziewczynie serdeczne spojrzenie. Pani Barnet zostanie w swojej szatni otrzepując futra, wygładzając hiszpańskie szale, porządkując przybory na toalecie; mimo futer i haftów pani Barnet wie doskonale, które panie są prawdziwymi damami, a które nie są. - Poczciwa kobiecina - powiada lady Lovejoy, wchodząc na schody - ta stara niańka Klarysy.

Nagle lady Lovejoy sztywnieje. - Lady i panna Alicja Lovejoy - oznajmia Wilkinsowi (wynajmowanemu na przyjęcia). Ach, pan Wilkins jest niezrównany, kiedy się tak pochyla i prostuje, pochyla i prostuje anonsując gości z bezprzykładną bezstronnością: - Lady i panna Lovejoy... sir John i lady Needham... panna Weld... pan Walsh. - Pan Wilkins ma nienaganne maniery; jest, zapewne, przykładnym mężem, tyle tylko, że wydaje się mało prawdopodobne, aby ta istota o sinawych wargach i policzkach do czysta wyskrobanych brzytwą mogła w chwili słabości narazić się na kłopot, jakim jest posiadanie dzieci.

- Jakże się cieszę! - powiedziała Klarysa. Mówiła to wszystkim bez wyjątku. Jakże się cieszę! Klarysa w swoim najgorszym wydaniu - nieszczerą, wylewną. Zrobił głupstwo, że przyszedł. Powinien był zostać w hotelu i czytać książkę, pomyślał Piotr Walsh. Powinien był pójść do music-hallu albo zostać w hotelu, bo nie zna tu nikogo.

Och, Boże, klęska, zupełna klęska, myślała Klarysa, gdy stary poczciwina lord Lexham przeproszał ją w imieniu żony, która zaziębiła się na garden party

w Pałacu Buckingham. Kątem oka widziała Piotra, stał pod ścianą, o, tam, i krytykował ją w duchu. Dlaczego... dlaczego ona się porywa na te szaleństwa? Dlaczego wdziera się na szczyty i naraża na grad piorunów? Ach, niech ją porażą, niech obróćą w popiół! Wszystko jest lepsze... lepiej wybuchnąć jasnym płomieniem i zgasnąć niż tlić się płomykiem ogarka jak Ellie Henderson! To zdumiewające, że Piotr wprawia ją w takie nastroje przez sam fakt swojej obecności, przez to, że stoi tam w kącie. Zmusza ją, żeby patrzyła na siebie obcymi oczami, krytycznie, przesadnie. To idiotyczne! Ale po co przychodzi, jeżeli zawsze tylko krytykuje? Dlaczego zawsze tylko żąda, a sam z siebie nic nie daje? Dlaczego nie wyrzeknie się swojego punktu widzenia w tej jednej drobnej, błahej sprawie? Och, wyszedł ze swojego kąta, trzeba z nim porozmawiać. Ale w tej chwili to niemożliwe. Takie jest życie - upokorzenia, wyrzeczenia. A tymczasem lord Lexham mówił, że jego żona nie chciała włożyć futra idąc na garden party, bo: „Moja droga, wy wszystkie niewiasty jesteście do siebie podobne” - a lady Lexham ma najmniej siedemdziesiąt pięć lat! To czarujące, jak ci staruszkowie się nad sobą rozczulają. Klarysa naprawdę lubiła lorda Lexhama.

Wydawało jej się, że przyjęcie u niej jest czymś naprawdę ważnym, i teraz ból ściska jej serce na myśl, że wszystko przepadło, że klęska. Wszystko jest lepsze - każdy skandal, afront - niż widok gości, gdy wędrują bez celu po salonie albo podpierają ściany jak Ellie Henderson, nie zadając sobie nawet trudu, żeby wyprostować plecy.

Żółta zasłona malowana w rajskie ptaki wydeła się łagodnie i zanim wróciła na miejsce, zdawało się, że w salonie szumią skrzydła (bo wszystkie okna były otwarte). Czy jest przeciąg? zastanawiała się Ellie Henderson. Bo Ellie łatwo dostawała kataru. Ale to nic, jeżeli nawet będzie jutro kichać przy śniadaniu; nie myślała o sobie, tylko o tych wydekoltowanych młodych dziewczynach, bo przy chorym ojcu, który już nie żył, dawnym pastorem z Bourton, nauczyła się myśleć o innych; zresztą katar nie rzucał jej się nigdy na płuca, nigdy. Myślała o tych

młodych dziewczynach, wydekoltowanych młodych dziewczynach, ona, która sama była zawsze chuda jak badył, miała rzadkie włosy i ostry profil. Jednakże teraz, po pięćdziesiątce, zaczęło promieniować z niej jakieś łagodne światło, coś, co oczyszczone latami wyrzeczeń stało się wreszcie widoczne, ale przygasało, bezustannie zaciemniane jej dobrze urodzoną nędzą, panicznym strachem, który miał swoje źródło w trzystu funtach rocznej renty i w zupełnej bezradności, bo Ellie nie umiałaby zarobić ani pensa. Wzrastało więc jej onieśmienie, z roku na rok coraz więcej trudności nastroczało bywanie wśród ludzi z eleganckiego świata, którzy w sezonie co dzień chodzili na przyjęcia, którzy najzwyczajniej w świecie mówili pokojówce: włożę dziś to czy tamto, podczas gdy ona, Ellie Henderson, wybiegała zdenerwowana na miasto, kupowała pół tuzina tanich różowych kwiatów i potem zarzucała szal na starą czarną suknię. Bo zaproszenie na przyjęcie u Klarysy dostała w ostatniej chwili. Było jej nawet trochę przykro. Podejrzewała, że Klarysa nie miała zamiaru zaprosić jej w tym roku.

Właściwie dlaczego miałyby ją zapraszać? Naprawdę nie było żadnego powodu, chyba tylko ten, że znają się od dziecka, a nawet są spokrewnione. Naturalnie, później ich drogi się rozeszły; Klarysa miała zawsze takie duże powodzenie! Przyjęcie u Klarysy jest dla niej ogromnym przeżyciem, już choćby sam widok tych pięknych toalet! Czy to nie Elżbieta, ta dorosła dziewczyna, modnie uczesana, w różowej sukni? A przecież ma najwyżej siedemnaście lat! Bardzo, bardzo przystojna. Tylko coś się widocznie zmieniło i dziewczęta, które po raz pierwszy wchodzą w świat, nie noszą teraz białych sukien. (Musi zapamiętać wszystko, żeby opowiedzieć Edith.) Dziewczęta noszą teraz suknie proste, bardzo obcisłe, odsłaniające nogę dobrze powyżej kostki. Nietwarzowa moda, pomyślała.

A ponieważ Ellie Henderson miała słaby wzrok, patrząc wyciągała trochę szyję i naprawdę prawie wcale nie było jej przykro, że nie ma z kim rozmawiać (znała tu zaledwie kilka osób), bo już samo obserwowanie tych ludzi, w

większości zapewne polityków, przyjaciół Ryszarda Dallowaya, dostarczało jej interesującej rozrywki; natomiast przykro było samemu Ryszardowi, który postanowił zająć się tym biedactwem, co samo stoi pod ścianą.

- No i jakże się miewasz, kochana Ellie? - spytał, jak zawsze serdecznie, a Ellie spieszyła się, zaczerwieniła i mówiąc sobie w duchu, że to strasznie miło z jego strony, że przyszedł z nią porozmawiać, odparła:

- Och, dużo osób gorzej znosi upały niż zimno.
- Tak, słusznie - zgodził się Ryszard Dalloway.
- Słusznie.

Ale co by tu jeszcze powiedzieć?

- Dobry wieczór, Ryszard! - zawołał ktoś biorąc go za łokieć i... mój Boże, przecież to Piotr, kochany Piotr Walsh! Co za radość! Jakże się cieszy, że go widzi! Nic a nic się nie zmienił. I odeszli obaj, odeszli klepiąc się od czasu do czasu po plecach, a Ellie Henderson pomyślała, że chyba dawno się nie widzieli i że zna skądś tego człowieka. Wysoki mężczyzna, w średnim wieku, o pięknych oczach, śniady, w okularach, podobny do Johna Burrowsa. Edith na pewno będzie wiedziała.

Żółta zasłona ze swoim stadem rajskich ptaków znowu się wydeła. I Klarysa zobaczyła - zobaczyła, że Ralph Lyon ją przyklepuje, odsuwa na miejsce nie przerywając prowadzonej rozmowy. A więc mimo wszystko nie ma kłęski! Udało się - jej przyjęcie udało się! Początek już zrobiony. Ale jeszcze wszystko wisi na włosku. Klarysa musi tymczasem zostać przy drzwiach. Goście przychodzą teraz jedni za drugimi.

- Pułkownik i pani Garrod... pan Hugh Whit-bread... pan Bowley... pani Hilbery... lady Mary Maddox... pan Quin... - obwieszczał Wilkins. Klarysa zamieniała z każdym nowo przybyłym kilka słów, po czym goście szli dalej, wchodzili do salonu, który nie był już próżnią, był czymś rzeczywistym, odkąd Ralph Lyon odepchnął zasłonę na miejsce nie przerywając rozmowy.

A jednak ten wysiłek jest dla niej za duży. Nie odczuwa żadnej

przyjemności. Ma wrażenie, że jest... po prostu kimś, kimkolwiek, kto stoi na szczycie schodów; każdy mógłby to robić. Ale swoją drogą ten ktoś budzi w niej odrobinę podziwu, nie może oprzeć się uczuciu, że mimo wszystko to jest jej dzieło, że ona sama jest jakby kamieniem milowym zaznaczającym pewien etap na drodze, bo - rzecz dziwna - zapomniała, jak wygląda, i zdaje się jej, że jest słupem wbitym na szczycie schodów. Ilekroć wydaje przyjęcie, zawsze ma wrażenie, że nie jest sobą i że wszyscy dokoła są z jednej strony mniej rzeczywisci, z drugiej bardziej rzeczywisci niż zwykle. Częściowo dałoby się to wytłumaczyć strojami, częściowo - wybiciem ze zwykłego trybu; i wreszcie tłem. Mówi się rzeczy, których inaczej nigdy by się nie powiedziało, rzeczy, które wymagają wysiłku, rzeczy dużo głębsze. Ale ona nie może sobie na to pozwolić; jeszcze nie teraz.

- Jakże się cieszę! - powiedziała. Sir Harry, kochany staruszek. Zna tu wszystkich.

Przedziwne jest to uczucie, kiedy tak stoi i patrzy na nich, jak jedno za drugim wchodzi na schody, pani Mount, Celia, Herbert Ainsty, pani Dakers... och, lady Bruton!

- Jakże się cieszę, że panią widzę! - powiedziała, naprawdę szczerze... przedziwne jest to uczucie, kiedy tak stoi i patrzy, jak wchodzi jedno za drugim, jedno za drugim, młodzi...

Jak? Lady Rosseter? Kim na Boga jest lady Rosseter?

- Klarysa! - Ten głos! To Sally Seton! Sally Seton po tylu latach! Widziana jakby przez mgłę.

Bo Sally Seton inaczej wyglądała, kiedy Klarysa stała trzymając dzbanek gorącej wody. Ona jest pod tym dachem, ona jest pod tym dachem! Nie tak wtedy wyglądała!

Rzuciły się do siebie trochę speszone, śmiały się, mówiły jedna przez drugą... w przejeździe przez Londyn... dowiedziała się od Klary Haydon... taka pokusa, żeby Klarysę zobaczyć... więc wpadła bez zaproszenia...

Klarysa może spokojnie odstawić swój dzbanek z gorącą wodą; Sally straciła blask. Mimo to cudownie jest ją znowu zobaczyć - starszą, szczęśliwszą, nie tak ładną. Przy drzwiach do salonu pocałowały się, najpierw w jeden policzek, potem w drugi; Klarysa obróciła się i trzymając Sally za rękę spojrzała na pokój - pełen ludzi, gwarny; zobaczyła lichtarze, wydymające się zasłony w oknach i róże, które jej przyniósł Ryszard.

- Mam pięciu ogromnych synów - powiedziała Sally.

Jej egoizm był zawsze rozbijającym szczerze, rozbijającym szczerze zawsze pragnęła być na pierwszym planie, i Klarysa kochała ją za to, że się nie zmieniła.

- Nigdy w to nie uwierzę! - zawołała, radośnie podniecona na myśl o przeszłości.

Ale niestety - Wilkins! Jest potrzebna Wilkin-sowi. Głosem władcym i rozkazującym, jak gdyby wszyscy zebrani zasłużyli na upomnienie, jak gdyby panią domu trzeba było siłą odrywać od lekkomyślnych zajęć, Wilkins obwieścił nazwisko...

- Premier - powiedział Piotr Walsh. Premier? Naprawdę? Ellie Henderson była wniebowzięta. Co za nowina dla Edith!

Naprawdę nikt nie powinien się z niego śmiać. Wygląda tak zwyczajnie. Można go było sobie wyobrazić za ladą sklepową, sprzedającego biszkopty - biedak, cały szamerowany złotem! Ale trzeba mu oddać sprawiedliwość, że kiedy zaczął swój obchód - najpierw w asyście Klarysy, potem Ryszarda - wypadło to doskonale. Robił, co mógł, żeby wyglądać na ważną osobę. Zabawnie było go obserwować! Naturalnie, nikt na niego nie zwracał uwagi. Wszyscy po prostu dalej rozmawiali, było jednak oczywiste, że wiedzą, czują każdym nerwem, każdym włóknem swoich ciał, iż przechodzi obok nich majestat, przechodzi symbol tego, co oni wszyscy sobą reprezentują, symbol angielskich warstw wyższych. Stara lady Bruton (ona też wygląda wspaniale), imponująca w swoich koronkach, podpłynęła do znakomitego gościa i oboje

przeszli do małego gabinetu; natychmiast wszyscy zaczęli rzucać w tamtą stronę ukradkowe, badawcze spojrzenia i niemal wyraźny dreszcz, niemal wyraźny szmer przeszedł przez salon. Premier!

Boże, Boże, ten snobizm Anglików! pomyślał Piotr Walsh w swoim kącie. Uwielbiają stroić się w złote szamerunki i składać hołd wielkościom! Choćby ten tutaj! Nie, na Boga... to przecież... ależ tak! Hugh Whitbread! Hugh Whitbread węszący po antyszambrach znakomitych osobistości, grubszy niż dawniej, siwy - niezrównany Hugh!

Ma zawsze taką minę, jakby był na służbie, pomyślał Piotr, jak gdyby był istotą uprzywilejowaną, lecz tajemniczą, znającą mnóstwo sekretów, za które gotów jest oddać życie - choć są to tylko małe ploteczki zasłyszane od lokaja na dworze, które jutro roztrąbi cała prasa. Oto jego grzechotki, jego koniki na biegunach, bawiąc się nimi posiwiął, doszedł do progu starości, zdobył szacunek i uwielbienie tych wszystkich, którzy mają honor znać ów typ wychowanka ekskluzywnej angielskiej szkoły! Hugh zawsze nasuwa tego rodzaju myśli, na to nie ma rady; oto jego styl, styl niezrównanych listów do „Timesa”, które Piotr czytywał w odległości tysięcy mil; i dziękował Bogu, że jest daleko od tej obmierzłej czezej gadaniny, nawet jeśli zamiast niej słyszał tylko skrzek pawianów i wrzask kulisów bijących żony. Obok stał w ugrzecznionej pozie śniady chłopak z jednego z uniwersytetów. O, Hugh weźmie go pod swoje opiekuncze skrzydła, będzie go wtajemniczał, uczył, jak zdobyć powodzenie. Bo Hugh bardzo lubi wyświadczać ludziom uprzejmości, przyprawiać o drżenie serca stare damy, uszczęśliwione, że ktoś jeszcze o nich pamięta, choć są takie stare, schorowane, choć zdawało im się, że wszyscy o nich zapomnieli - a tu tymczasem wpada kochany Hugh, rozmawia godzinkę o przeszłości, pamięta o każdym drobiazgu, wychwala placek domowej roboty, chociaż mógłby przecież co dzień jadać placek z księżnymi i - sądząc po wyglądzie - sporo czasu spędza na tym miłym zajęciu. Wszechsprawiedliwy i Wszechmiłosierny może mu wybaczyć. Piotr Walsh nie umiał zdobyć się na litość. Draństwo musi

istnieć na świecie, i Bóg jeden wie, że łotr, który idzie na szubienicę za zamordowanie młodej dziewczyny młotkiem w pociągu, w ogólnym rachunku robi mniej krzywdy niż Hugh Whitbread wraz ze swoją dobrocią, swoimi przysługami! Patrzcie, jak teraz drepce na palcach, jak podbiega w lansadach do premiera 1 lady Bruton, którzy wchodzą właśnie do salonu, jak się zgina wpół, szura nogami, jak usiłuje pokazać całemu światu, że jest w pozycji uprzywilejowanej, że ma prawo zamienić kilka słów, kilka intymnych słów z lady Bruton. A lady Bruton przystaje, kiwa swoją wspaniałą siwą głową. Na pewno dziękuje mu za jakiś dowód służalczości.

Lady Bruton ma swoje popychadła, swoich urzędników na posadach rządowych, którzy na wyścigi załatwiają dla niej rozmaite drobne sprawy, za co otrzymują zaproszenia na lunche. Ale lady Bruton tkwi jeszcze w osiemnastym wieku. Lady Bruton jest w porządku.

Teraz Klarysa eskortuje swojego premiera - pyszna, promieniejąca w majestacie srebrnych włosów. Ma na sobie srebrzystozieloną suknię, w uszach kolczyki. Zdawałoby się, że tańczy na grzbietach fal, że splata warkocze swoich syrenich włosów; bo Klarysa wciąż posiada ów dar: potrafi być, istnieć, potrafi wyrazić całą siebie w ciągu tej jednej sekundy, kiedy przechodzi obok; obróciła się, zaczepiła szarfą o suknię którejś z pań, odczepiła szarfę, roześmiała się - wszystko z wprost niezrównaną swobodą, z miną stworzenia znajdującego się w swoim żywiole! Ale lata zostawiły na niej swój ślad; podobnie syrena może ujrzeć w lustrze, w pogodny wieczór, odbicie promieni zachodzącego słońca na falach. Było teraz w niej tchnienie czułości; jakieś ciepło przebijało przez jej pruderię, surowość, oschłość; kiedy zegnała grubego pana w złotych szamerunkach, który ze wszystkich sił starał się (daj mu Boże!) nadać sobie wygląd ważnej osoby, była w niej niewysłowiona godność, zachwycająca serdeczność, jak gdyby znalazłszy się u krańca i kresu wszelkich rzeczy i spraw życzyła całemu światu szczęśliwej przyszłości, gdyż sama musi już odejść. Tak to odczuwał Piotr Walsh. (Choć już jej nie kochał.)

Premier naprawdę ładnie zrobił, że przyszedł, myślała Klarysa. I prowadząc go przez salon - na oczach Sally, na oczach Piotra, na oczach Ryszarda (ma bardzo zadowoloną minę), na oczach wszystkich tych ludzi, którzy jej może trochę zazdroszczą, poczuła upojenie tą chwilą, poczuła, że serce zaczyna jej się rozszerzać, że drży, wznosi się coraz wyżej, wyżej. Och, ale to inni tak to odczuwają, nie ona, bo jakkolwiek kocha to wszystko, to jednak ów blichtr, ów tryumf (na przykład kochany Piotr, który uważa ją za taką inteligentną) mają w sobie pustkę; są poza nią, nie w niej, i może to jest starość, ale nie dają jej już zadowolenia, jak jej kiedyś dawały. I nagle, gdy odprowadzała wzrokiem premiera schodzącego ze schodów, złocona ramka obrazka sir Joshuy przypomniała Klarysie pannę Kilman; pannę Kilman, która jest jej wrogiem. Właśnie to daje jej zadowolenie, to jest czymś rzeczywistym, prawdziwym. Ach, jakże ona nienawidzi tej kobiety - wciąż podnieconej, obłudnej, zepsutej. Nienawidzi z całego serca. Uwodzicielka Elżbiety. Kobieta, która wśliznęła się do ich domu, żeby kraść, bezcześcić (Ryszard powiedziałby: co za głupstwa!). Nienawidzi jej; kocha ją. To wrogowie są nam potrzebni, nie przyjaciele - nie pani Durrant czy Klara, nie sir William i lady Bradshaw, nie panna Truelock i Eleonora Gibson (właśnie wszyscy wchodzili na schody). Musi być na każde ich skinienie. Poświęciła się dzisiaj przyjęciu!

Oto drogi stary przyjaciel, sir Harry.

- Kochany sir Harry! - powiedziała zbliżając się do starca o pięknej twarzy, który sam namalował więcej złych obrazów niż jacykolwiek dwaj inni akademicy z dzielnicy St. John's Wood razem wzięci. (Malował wyłącznie krowy stojące o zachodzie słońca nad brzegiem strumienia, a ponieważ nieźle umiał podchwycić ruch, niekiedy te jego krowy stały z jednym przednim kopytem wzniesionym i odrzuconymi do tyłu łbami i wtedy tytuł obrazu brzmiał: *Zbliża się ktoś obcy*. Całe jego życie - obiadki na mieście, wyścigi - opierało się niczym na fundamencie na tych krowach stojących o zachodzie słońca nad brzegiem strumienia.)

- Z czego pan się tak śmieje? - spytała. Bo Willy Titcomb, sir Harry i Herbert Ainsty śmiali się głośno i wesoło. Ale gdzie tam! Sir Harry nie mógł powtórzyć Klarysie (choć naprawdę bardzo ją lubił, uważał, że jest ideałem swojego typu urody, i groził, że ją namaluje) historyjek z music-hallu. Zaczął krytykować żartobliwie jej przyjęcie. Nie dostał koniaku. Nie nadaje się, powiedział, do tak wytwornego towarzystwa. Ale mimo to ją lubi, szanuje ją, chociaż z winy tych jej przeklętych, wykwintnych manier wielkiej damy nie może prosić, żeby mu Klarysa Dalloway siadła na kolanach. I oto z drugiego końca salonu idzie ku nim ognik błędny, idzie migotliwe promieniowanie - stara pani Hilbery idzie wyciągając ręce, jak gdyby chciała je ogrzać w ciepłe jego śmiechu (anegdota o księciu i damie); bo dziwna rzecz, ale jego śmiech jakby uspokajał wątpliwości, które nękają ją czasem, gdy zbudziwszy się wczesnym rankiem nie chce dzwonić na pokojówkę i prosić o filiżankę herbaty: czy na pewno wiadomo, że człowiek musi umrzeć?

- Za nic nie powtórzą nam swoich anegdotek - powiedziała Klarysa.

- Kochana, kochana Klarysa! - wykrzyknęła pani Hilbery. Klarysa jest dziś wieczorem niezwykle podobna do swojej matki, tak jak ją pani Hilbery widziała po raz pierwszy - w szarym kapeluszu, spacerującą po ogrodzie.

Klarysie oczy naprawdę napełniły się łzami. Ach, jej matka spacerująca po ogrodzie! Ale niestety, musi przeprosić panią Hilbery, nie może z nią dłużej rozmawiać.

Bo profesor Brierly, specjalista od Milтона, rozmawia z małym Jimem Huttonem (który nawet na takim przyjęciu ma jak zwykle przekrzywiony krawat, przekrzywioną kamizelkę, nieporządnie sterczące włosy) i Klarysa widzi z daleka, że się kłócą. Bo profesor Brierly jest dziwakiem. Chociaż tyle dyplomów, stopni naukowych i katedr dzieli go od pisarzy, gdy się z nimi styka, jest skłonny podejrzewać ich o wrogi stosunek do owej szczególnej mieszanki, która składa się na jego osobę: ogromna wiedza i bojaźliwość, chłodny wdzięk pozbawiony serdeczności, naiwność i snobizm; profesor drży, gdy uświadamia

sobie (na widok nie uczesanych włosów młodej dziewczyny czy brudnych butów młodzieńca), że istnieje ów podziemny świat - och, niewątpliwie bardzo szlachetny! - buntowników, świat pełnej zapału młodzieży, przyszłych geniuszów; i lekko potrząsając głową, prychnąwszy, dowodzi, jak ważna jest cnota umiarkowania i pewna, chociaż niewielka, znajomość klasyków, bez której nie można zrozumieć należycie Milтона. Profesor Brierly (Klarysa wyraźnie to widzi) sprzecza się z Jimem Huttonem (który ma na nogach czerwone skarpetki, bo czarne są w praniu) o Miltona. Przerwała im.

Powiedziała, że uwielbia Bacha. Hutton też go uwielbiał. To ich łączyło, a Hutton, bardzo zły poeta, uważał, że żadna z wielkich dam okazujących zainteresowanie sztuką nie może się nawet równać z panią Dalloway. Ciekawe, jak niezwykle surowa jest w swoich sądach. Jeśli idzie o muzykę, umie się zdobyć na obiektywizm. Jest trochę poze-rką. Ale jaka rozkosz na nią patrzeć! Stwarza dookoła siebie taką miłą atmosferę - gdyby nie ci jej wszyscy profesorowie! Klarysa miała wielką ochotę zaprowadzić go do małego pokoju i posadzić przy fortepianie. Bo grał naprawdę cudownie.

- Ale ten hałas - powiedziała. - Ten straszny hałas.

- Dowód, że goście dobrze się bawią. - Profesor skłonił się grzecznie i odszedł drobnym kroczeniem.

- Wie o Miltonie absolutnie wszystko - powiedziała Klarysa.

- Czyżby? - spytał Hutton, który będzie teraz naśladował profesora. Całe Hampstead pozna jego parodie - profesor mówi o Miltonie, profesor mówi o cnocie umiarkowania, profesor idzie drobnym, wytwornym kroczeniem.

Klarysa powiedziała, że musi porozmawiać z tamtą parą, z lordem Gaytonem i Nancy Blow.

Nie znaczy to bynajmniej, że ich głosy powiększały gwar panujący w salonie. Stali blisko siebie, tuż obok żółtej zasłony, ale chyba nie rozmawiali ze sobą. Bardzo niedługo pójdą gdzieś razem; zresztą nigdy, w żadnych okolicznościach, nie mieli wiele do powiedzenia. Patrzyło się na nich - to

wszystko. To nawet dużo. Wyglądali tak zdrowo, tak czysto - ona z cieniutką warstewką brzoskwiniowego pudru i rózu na twarzy, a on wyszorowany, wycupowany, o oczach ptaka, którym nie uszła nigdy żadna piłka, żadne niespodziewane uderzenie. Rzucił się do piłki, uderzał - precyzyjnie, mechanicznie, z błyskawiczną reakcją. Koniom drżały chrapy, gdy brał uzdę do ręki. Miał swoje tytuły, pamiątki, gniazda rodzinne, chorągwie wiszące u powały kościoła w dobrach rodowych. Miał też swoje obowiązki - dzierżawców, matkę, siostry. Cały dzisiejszy dzień spędził na boisku krykietowym Lord's i o tym właśnie mówili z Nancy Blow, o krykiecie, kuzynach i kuzynkach, o filmie, gdy pani Dalloway do nich podeszła. Lord Gayton naprawdę za nią przepada. Panna Blow również. Klarysa Dalloway ma tyle wdzięku w obejściu.

- Jesteście parą aniołów, żeście przyszli - powiedziała Klarysa. Uwielbiała lordów, uwielbiała młodzież, a Nancy, ubrana za bajońskie sumy przez największych artystów Paryża, wygląda tak, jak gdyby zielone falbanki wyrastały z jej ciała.

- Chciałam zrobić dzisiaj tańce - powiedziała Klarysa.

Bo ci młodzi nie umieją rozmawiać. Zresztą po co im rozmowy? Nawoływać się, obejmować, tańczyć, wstawać o świcie, zanosić cukier koniom, całować i pieścić ukochanego chow-chow, a potem w chłodnym, lśniącym powietrzu ranka skakać do wody, pływać... Ale nie dla nich było przeogromne bogactwo języka angielskiego, nie dla nich umiejętność wyrażania uczuć, jaką język ten mimo wszystko daje (w ich wieku ona i Piotr dysputowaliby cały wieczór). Bardzo prędko zestarzeją się wewnątrz, skostnieją. Będą dobrzy, niezwykle dobrzy dla ludzi w swoim majątku, ale poza tym - chyba trochę nudni.

- Jaka szkoda - powiedziała Klarysa. - Naprawdę chciałam zrobić wam dzisiaj tańce.

To tak ładnie z ich strony, że przyszli! Ale o tańczeniu nie ma nawet co mówić! Pokoje są dosłownie zapchane.

O, ciotka Helena w swoim odwiecznym szalu. Strasznie jej przykro, ale musi ich zostawić - lorda Gaytona i Nancy Blow. Przyszła jej stara ciotka, panna Helena Parry.

Bo ciotka Helena bynajmniej nie umarła, ciotka Helena żyje. Ma osiemdziesiąt kilka lat. Wchodzi na schody powoli, opierając się na lasce. Usadowiono ją w fotelu (Ryszard tego dopilnował). Przyprawiano do niej zawsze ludzi, którzy w latach osiemdziesiątych byli w Burmie. Gdzie ten Piotr? Kiedyś bardzo się lubili. Bo na samą wzmiankę o Indiach czy choćby o Cejlonie jej oczy (tylko jedno było szklane) nabierały głębi, stawały się błękitne, widziały... nie, nie widziały ludzi, ciotka Helena nie miała czułych wspomnień ani nie karmiła się dumnymi złudzeniami na temat wicekrólów, generałów i buntów; ciotka Helena widziała orchidee i górskie przełęcze, widziała siebie w latach sześćdziesiątych wnoszoną przez kulisów na samotne szczyty lub znoszoną ku dolinom, gdzie wykopywała orchidee (zadziwiające kwiaty oglądane po raz pierwszy w życiu), które malowała potem akwarelami. Niepokonana Angielka, skłonna do irytacji, jeżeli coś, powiedzmy wojna rzucająca bombę o kilka kroków od jej drzwi, wyrwało ją z rozmyślań o orchideach i o sobie samej podróżującej po Indiach w latach sześćdziesiątych. Och, jest Piotr!

- Chodź, porozmawiasz z ciotką Heleną o Burmie - powiedziała Klarysa. Ale przecież z nią, Klarysą, nie zamienił przez cały wieczór ani słowa!
- Porozmawiamy później - obiecała Klarysa prowadząc go do ciotki Heleny w białym szalu, z ręką opartą na lasce.
- Piotr Walsh, ciociu - powiedziała Klarysa. To nazwisko nic jej nie mówiło.

Klarysa ją zaprosiła. Bardzo to wszystko męczące, bardzo hałaśliwe, ale Klarysa ją zaprosiła, więc przyjechała. Złe robią, że mieszkają w Londynie, Ryszard i Klarysa. Już choćby ze względu na zdrowie Klarysy byłoby lepiej, żeby mieszkali na wsi. Ale Klarysa zawsze lubiła wielki świat, ludzi.

- Piotr był w Burmie - powiedziała Klarysa. Ach, nie mogła się oprzeć pokusie; musiała wspomnieć o tym, co Darwin powiedział o jej małej książeczce klasyfikującej orchidee Burmy.

(Klarysa odeszła; chciała porozmawiać z lady Bruton.)

Dziś na pewno nikt już nie pamięta jej małej książeczki o orchideach Burmy, ale przed rokiem 10 wznawiano ją trzykrotnie, powiedziała Piotrowi. Przypominała go sobie teraz. Przyjeżdżał do Bourton (i kiedyś odszedł bez słowa, zostawił ją samą w salonie, przypomniał sobie Piotr, tego wieczoru, kiedy Klarysa poprosiła go, żeby poszedł z nią popływać łodzią po jeziorze).

- Ryszard był zachwycony lunchem u pani! - powiedziała Klarysa do lady Bruton.

- Ryszard naprawdę mnie uratował - odparła lady Bruton. - Pomógł mi napisać list. A jak się pani czuje?

- Znakomicie! - zawołała Klarysa. (Nic tak nie oburzało lady Bruton jak chorujące żony polityków.)

- Ach, jest Piotr Walsh! - powiedziała lady Bruton. (Bo naprawdę nie wiedziała, o czym mówić z Klarysą. Mimo to szczerze ją lubiła. Klarysa ma mnóstwo zalet, ale trudno jest się z nią porozumieć; nic ich właściwie nie łączy. Może szkoda, że Ryszard nie ożenił się z kobietą obdarzoną mniejszym urokiem, ale która umiałaby mu pomóc w karierze. Stracił szansę wejścia do rządu.) - Ach, jest Piotr - powiedziała stara dama potrząsając ręką tego miłego grzesznika, tego niesłuchanie zdolnego człowieka, który powinien był dojść do czegoś w życiu, a nie doszedł (wciąż jakieś kłopoty z kobietami!)... ach, i panna Helena Parry! Wspaniała staruszka!

Lady Bruton stała obok krzesła panny Parry niczym widmowy grenadier w czerni. Zaprosiła Piotra Walsha na lunch, była serdeczna, ale nie dała się wciągnąć w zwykłą towarzyską rozmowę i nic nie umiała powiedzieć na temat flory i fauny Indii. Była tam, ależ tak, odwiedzała trzech kolejnych wicekrólów i uważa, że wśród angielskich urzędników w Indiach spotyka się ludzi naprawdę

niezwykłych. Ale jakie to tragiczne - obecna sytuacja w Indiach! Premier przed chwilą jej o tym mówił (stara panna Parry okutana w swój kaszmirowy szal wcale nie była ciekawa, o czym premier mówił jej przed chwilą) i lady Bruton bardzo by chciała usłyszeć zdanie Piotra Walsha, który prosto stamtąd wraca, i musi go poznać z sir Sampsonem, bo to wszystko naprawdę spędza jej sen z powiek - szaleństwo takiego postępowania, a nawet nikczemność, jako córka żołnierza nie zawaha się użyć tego słowa. Jest już stara i nie na wiele może się przydać. Ale jej dom, jej służba, jej zacna przyjaciółka Milly Brush (czy Piotr ją pamięta?), wszyscy gotowi są na każde skinienie, jeżeli... jeżeli, słowem, jeżeli mogą się na coś przydać. Bo ona nie lubi mówić o swoim patriotyzmie, ale „*Ten kraj dusz tak dzielnych, ten drogi kraj, drogi...*”³ ach, ma go we krwi (choć nie czytuje Szekspira). Gdyby istniała kiedykolwiek kobieta, która mogłaby nosić hełm na głowie i wypuszczać strzały z łuku, która mogłaby prowadzić wojska do ataku i sprawować słuszne rządy nad hordami barbarzyńców, w końcu zaś spocząć, bez nosa, w krypcie kościelnej lub pod zarośniętym trawą przedhistorycznym kurhanem - kobietą tą byłaby Millicent Bruton! Czy to z winy płci, czy też pewnego roztargnienia nie umiała myśleć logicznie (napisanie listu do „Timesa” przekraczało jej możliwości), jednakże myśl o imperium nigdy jej nie opuszczała i bezustannemu obcowaniu z tym zbrojnym bożkiem zawdzięczała swą postawę grenadiera i rubaszność manier; i doprawdy nie sposób sobie wyobrazić, aby nawet po śmierci mogła się rozstać z rozległymi terytoriami, nad którymi sztandar angielski - w postaci zdematerializowanej - przestanie powiewać. Nie być Angielką również między umarłymi - ach, nie! To niemożliwe!

Czy to jest lady Bruton, którą kiedyś znała? Czy to jest Piotr Walsh, Piotr Walsh z posiwiałymi włosami? - zastanawiała się lady Rosseter, dawniej Sally Seton. Starą pannę Parry poznała natychmiast... ciotkę Helenę, która niezbyt była rada jej przyjazdom do Bourton. Nigdy nie zapomni, jak naga przebiegła

3 Szekspir, *Ryszard II*, akt II, 1. Przekład Leona Ulricha

przez korytarz i jak panna Parry wezwała ją do siebie na rozmowę! I Klarysa! Ach, Klarysa! Sally chwyciła ją za rękę.

Klarysa zatrzymała się przy nich.

- Nie mogę z wami zostać - powiedziała.

- Przyjdę trochę później. Poczekaście - powiedziała patrząc na Piotra i Sally; chodziło jej o to, żeby poczekali, aż rozejdą się goście.

- Wrócę tu do was - obiecała patrząc na swoich starych przyjaciół, Piotra i Sally, którzy ściskali sobie ręce; Sally śmiała się, pewnie na myśl o przeszłości.

Jej głos stracił już jednak owo dawne, zachwycające bogactwo tonów; w jej oczach nie pojawiały się błyski - jak wtedy, kiedy paliła cygara, kiedy biegła nago przez korytarz po woreczek z przyborami toaletowymi i Ellen Atkins spytała: a co by było, jak by ją tak zobaczył któryś z panów? Ale wszyscy jej wszystko wybacжали. Ukradła kurczaka ze spiżarni, bo nagle w nocy zachciało jej się jeść; paliła cygara w sypialni; zostawiła bezcenną książkę w łódce. Wszyscy ją uwielbiali (z wyjątkiem chyba papy) za jej zapał, żywotność - to malowała, to znów pisała. Stare kobiety we wsi do dziś pytają o „pani przyjaciółkę w czerwonym płaszczu, co taka była wesola”. Oskarżyła ni mniej, ni więcej tylko Hugh'a Whitbreada o to (jest tam jej drogi przyjaciel Hugh, stoi i rozmawia z ambasadorem portugalskim), że ją pocałował w palarni; jakby chciał ją w ten sposób ukarać, bo mówiła, że kobiety powinny mieć prawo głosu. Tak postępują tylko wulgarni mężczyźni, powiedziała. I Klarysa pamięta, jak ją musiała prosić, żeby go nie wydała, żeby go nie oskarżyła przed wszystkimi podczas modlitwy wieczornej, do czego była zdolna już choćby z racji swojego zuchwałstwa, swojej porywczosci i zamiłowania do melodramatu (zawsze pragnęła być ośrodkiem wszystkiego), co w końcu musiało doprowadzić, tak to sobie wtedy Klarysa wyobrażała, do jakiejś strasznej tragedii, musiało się skończyć jej śmiercią, męczeństwem. A tymczasem, najzupełniej nieoczekiwanie, wyszła za mąż za łysego pana z ogromnym kwiatem w butonie, który jest podobno właścicielem fabryk włókienniczych w Manchesterze.

I ma pięciu synów!

Sally i Piotr usiedli i rozmawiają; jest w tym widoku coś znajomego, coś swojskiego. Będą mówili o przeszłości. Z nimi (bardziej nawet niż z Ryszardem) Klarysa dzieli swoją przeszłość; ogród, drzewa, starego Józefa Breilkopfa, który śpiewał, chociaż nie miał głosu, tapetę w salonie, zapach wilgotnych mat. Częstka tego zawsze będzie własnością Sally; i zawsze będzie własnością Piotra. Ale nie może z nimi zostać. Musi się zająć Bradshawami, których nie cierpi.

Musi podejść do lady Bradshaw (ubrana w szarosrebrną suknię kołysze się jak foka na krawędzi basenu, jak foka, która łasi się o zaproszenia, łasi się o znajomości z arystokracją rodową, prawdziwa żona karierowicza), musi podejść do lady Bradshaw i powiedzieć...

Ale lady Bradshaw uprzedziła Klarysę.

- Ach, droga pani, spóźniliśmy się tak skandalicznie! - zawołała. - Nie mieliśmy odwagi wejść.

A sir William, ogromnie dystyngowany, srebrnowłosa, niebieskooki, dodał, że mimo wszystko nie mogli oprzeć się pokusie. Rozmawia teraz z Ryszardem, prawdopodobnie o tej ich ustawie, którą mają przedłożyć w Izbie Gmin. Dlaczego na sam widok tego człowieka, który rozmawia teraz z Ryszardem, cierpi jej skóra? Wygląda na tego, kim jest - na wielkiego lekarza. Jeden z najwybitniejszych ludzi w swoim zawodzie, człowiek silny, chyba zmęczony. Bo pomyśleć tylko, z jakimi sprawami przychodzą do niego ludzie - ludzie zepchnięci na samo dno rozpacz, ludzie na granicy obłędu, mężowie i żony. Musi podejmować przerażająco trudne decyzje. A jednak, myślała Klarysa, gdybym była naprawdę nieszczęśliwa, nie chciałabym, żeby mnie sir William widział! Nie, ten człowiek - nigdy!

- Jak się sprawuje syn państwa w Eton? - spytała Klarysa.

Zachorował na świnkę i nie wszedł do reprezentacyjnej drużyny krykietowej. Lady Bradshaw sądziła, że jego ojciec bardziej niż chłopiec wziął

to sobie do serca, bo, powiedziała, „sam jest dużym dzieckiem”.

Klarysa spojrzała na sir Williama, który nadal rozmawiał z Ryszardem. Nie, sir William nie wygląda na duże dziecko, wcale nie wygląda.

Kiedyś Klarysa zaprowadziła do niego kogoś, kto szukał porady. Sir William postawił doskonałą diagnozę, był niezwykle rozsądny. Ale Boże! Co za ulga znaleźć się znów na ulicy! Klarysa do dziś pamięta, że jakiś biedak szlochał w poczekalni. Nie umiałyby powiedzieć, co jej się w sir Williamie nie podobało, Ryszard podzielał jej zdanie, mówił, że „nie lubi jego smaku, nie lubi jego zapachu”. Ale trzeba przyznać, że sir William jest człowiekiem niezwykle utalentowanym. Mówili o tej swojej ustawie. Sir William opisywał zniżonym głosem jakiś przypadek. Miało to coś wspólnego z opóźnionym następstwem kontuzji wojennych. Koniecznie trzeba wprowadzić odpowiednią klauzulę do ustawy.

Zniżywszy głos, lady Bradshaw (głupia gęś, ale nie budzi specjalnej antypatii) usiłowała wciągnąć panią Dalloway w intymność spraw kobiecych, w solidarność dumy z wybitnych mężów, z ich cnót, ze smutnych skłonności do przepracowywania się. Wyszepiała:

- Mielśmy już wyjść z domu, kiedy zatelefonowano do męża... bardzo przykry przypadek. Młody mężczyzna (mąż właśnie o tym mówi panu Dallowayowi) odebrał sobie życie. Był na froncie.

Och! pomyślała Klarysa. W samym środku mojego przyjęcia - śmierć!

Otworzyła drzwi do małego pokoju, gdzie nie tak dawno siedział premier z lady Bruton. Może jest tu ktoś? Nie, nie ma nikogo. Na poduszkach foteli wciąż było widać odcisnięty ślad ich postaci - lady Bruton zwrócona bokiem, w pozie pełnej szacunku, on siedzący prosto, z poczuciem władzy. Rozmawiali o Indiach. W pokoju nie ma już nikogo. Jak to dziwnie wejść w wieczorowym stroju do tej pustki; nagle zgasła wspaniałość przyjęcia.

Jak Bradshawowie śmiać mówić na przyjęciu u niej o śmierci? Młody mężczyzna odebrał sobie życie. A oni mówią o takiej *TTazzy* na przyjęciu...

Bradshawowie mówią o śmierci. Odebrał sobie życie. Ale jak? Kiedy dowiadywała się nagle o jakimś wypadku, przeżywała zawsze to samo: suknia na niej płonęła, ciało spalało się. Wyskoczył oknem. Ziemia zbliża się jak oszalęła, brutalnie, kalecząc ciało przebijają go szpikulce sztachet. Leży na ziemi i słyszy w mózgu łomot, łomot, łomot a potem ogarnia go ciemność. Tak to sobie Klarysa wyobrażała. Ale dlaczego się zabił? I Bradshawowie mówią o tym u niej na przyjęciu!

Wrzuciła kiedyś szylinga do stawu w Hyde Parku, to wszystko. Ale on odrzucił życie! Inni ludzie żyją (będzie musiała do nich wrócić, w pokojach pełno, przychodzą wciąż nowi goście). Inni ludzie (cały dzień myślała o Bourton, o Piotrze, o Sally) zestarzeją się. Jedna jedyna rzecz coś znaczy; rzecz mknąca pod niepotrzebnymi słowami, zniekształcona, zagubiona w jej własnym życiu, rzecz marnotrawiona co dzień w kłamstwie, w czezej gadaninie. On ją zachował. Śmierć jest wyzwaniem. Śmierć jest próbą porozumienia się podejmowaną wtedy, kiedy ludzie zdają sobie sprawę z niemożności dotarcia do sedna, które - w sensie mistycznym - wciąż im umyka; w śmierci bliskość oddala się, zachwyty błędnie, człowiek jest sam. Śmierć obejmuje ramieniem.

Ale ten młody mężczyzna, który się zabił... czy skacząc nie zaprzepaścił swojego skarbu? „Gdyby trzeba było umrzeć natychmiast, skonanie w tej chwili błogosławieństwem by mi się wydało” - powiedziała kiedyś, schodząc w białej sukni ze schodów.

A może było inaczej. Istnieją przecież poeci, myśliciele. Powiedzmy, że on miał tę pasję, że poszedł do sir Williama Bradshawa, który jest wielkim lekarzem, ale dla niej ma w sobie coś nieuchwytnie złego, jest jakby bez płci, nie zna pożądań, w stosunku do kobiet niesłychanie uprzejmy, zdolny jednak do nieopisanego okrucieństwa - zdolny wedrzeć się przemocą w duszę ludzką, tak, na pewno; jeżeli ten młody mężczyzna poszedł do niego i jeżeli w ten właśnie sposób odczuł przemoc sir Williama, kto wie, czy sobie nie powiedział (Klarysa czuła, że na pewno tak było): życie jest nie do zniesienia. Przez nich, przez

takich ludzi jak on, życie jest nie do zniesienia.

A poza tym ten straszny lęk (ona sama odczuwała go dzisiejszego ranka), to przytłaczające uczucie nieprzystosowania. Rodzice dają je dziecku do rąk, dają mu to życie, które trzeba przeżyć aż do końca, z pogodą. Tak, w głębi jej serca czaił się straszny lęk. Nawet jeszcze teraz zdarzało się, że zginęłaby, niechybnie by zginęła, gdyby nie Ryszard siedzący i czytający „Timesa”; mogła przycupnąć obok jak ptak i po trochu wrócić do życia, mogła wykrzesać w sercu ową niezmierną radość, tak jak krzesze się iskry przez pocieranie drewna o drewno, jednej rzeczy o drugą. Zdołała się uratować. Ale ten młody mężczyzna odebrał sobie życie.

W jakimś sensie była to jej klęska, jej hańba. Była to jej kara - to, że widziała, jak w otaczającej ją nieprzeniknionej ciemności zapada się i znika tu mężczyzna, tam kobieta, ona sama zaś jest zmuszona stać w tym pokoju, ubrana w suknię wieczorową. Knuła intrygi, oszukiwała. Nigdy nie była naprawdę godna podziwu. Pragnęła sukcesów, zazdrościła lady Bexborough. A przecież kiedyś przechadzała się po tarasie w Bourton.

Dziwne, zdumiewające! Nigdy nie czuła się tak szczęśliwa jak teraz. Nic nie toczyło się dość powoli, nic nie trwało dość długo. Żadna rozkosz nie może się równać, myślała przesuwając krzesła na miejsce, odkładając książkę na półkę, z rozkoszą, jaką daje wyrzeczenie się tryumfów młodości, zagubienie się w procesie życia po to, żeby je odnaleźć z nagłym spazmem radości, kiedy wstaje słońce, kiedy zapada zmierzch. Ileż to razy w Bourton, gdy tamci byli zajęci rozmową, szła popatrzeć na niebo; albo widziała je między ramionami gości siedzących przy obiedzie; patrzyła na nie w Londynie podczas bezsennych nocy. Podeszła do okna.

Chociaż to brzmi idiotycznie, jest w nim jakaś część jej samej - w tym niebie wiejskim, w tym niebie nad Westminsterem. Rozsunęła zasłony, wyjrzała. Och, jakie to zaskakujące. Stara pani w domu naprzeciwko patrzy na nią! Idzie już spać! I to niebo! Zobaczę niebo uroczyste, mówiła sobie przed

chwilą, zobaczę niebo przyćmione, odwracające do snu swą piękną twarz. A tymczasem ukazało jej się niebo o barwie popiołu i na nim mknące szybko ogromne, podłużne chmury. Była zaskoczona. Zerwał się chyba wiatr. Stara pani naprzeciwko szykuje się do snu. Urzekął ją widok tej kobiety krzątającej się po pokoju, podchodzącej do okna. Czy ona ją widzi? Urzekął ją widok tej kobiety, która samotna tak spokojnie przygotowuje się do snu, podczas gdy w salonie rozlega się gwar rozmów, śmiechy. Teraz zaciągnęła storę. Zegar zaczął wybijać godziny. Młody mężczyzna odebrał sobie życie, ale Klarysa nie lituje się nad nim; zegar wybija godziny - raz, dwa, trzy - a rzeczy biegną swoim torem, więc Klarysa nie lituje się nad nim. O, proszę! Staruszka zgasła światło! Teraz dom pogrążył się w ciemności, a rzeczy biegną swoim torem, powtórzyła i nagle przypomniała sobie słowa: „Już cię nie strwożą pożogi słońca.” Musi wrócić do gości. Ale jaka niezwykła noc! Klarysa ma uczucie, że jest do niego podobna - do tego młodego mężczyzny, który się zabił. Dobrze, że to zrobił, że przeciął życie, podczas gdy inni żyją dalej. Zegar bije. Ołowiane kręgi rozplývają się w powietrzu. Musi wrócić do salonu, musi zająć się gośćmi, odnaleźć Sally i Piotra. Wyszła z małego pokoju.

- Ale gdzie Klarysa? - spytał Piotr. Siedział na kanapie z Sally. (Po tych wszystkich latach nie mógł przecież mówić do niej „lady Rosseter”). - Gdzie ona się podziała? - spytał. - Gdzie Klarysa?

Sally przypuszczała, i zresztą Piotr przyznawał jej rację, że przyszły jakieś ważne osobistości, politycy, których oni nie znają (co najwyżej ze szpalt pism ilustrowanych) i Klarysa musi ich zabawiać, musi być dla nich miła. Mimo to Ryszard Dalloway nie jest w rządzie. Sally przypuszczała, że Ryszard nie osiągnął wielkich rzeczy w życiu. Zresztą, jeśli idzie o nią, prawie nie czytuje gazet. Od czasu do czasu spotyka jednak jego nazwisko. Ale cóż, prowadzi bardzo odosobnione życie; Klarysa powiedziałaaby, że żyje w dziczy, wśród wielkich kupców i przemysłowców, ludzi, którzy - nie można temu zaprzeczyć - robią coś konkretnego w życiu. Ona też coś niecoś zrobiła!

- Mam pięciu synów - powiedziała.

Boże, Boże, jak się ta Sally zmieniła! Łagodność macierzyństwa; i egoizm. Piotr pamięta, że ich ostatnie spotkanie odbywało się przy blasku księżyca, pośród kalafiorów o liściach „jak z niepole-rowanego brązu”, powiedziała Sally, bo zawsze miała skłonności literackie; i zerwała różę. Prowadziła go po ogrodzie warzywnym tam i z powrotem, tam i z powrotem, przez cały ten straszny wieczór, po scenie przy fontannie; miał pociąg 0 północy. Boże, jak on płakał!

To samo stare przyzwyczajenie, pomyślała Sally. Jak się czymś przejmie, otwiera i zamyka scyzoryk, otwiera i zamyka scyzoryk. Byli bardzo, bardzo życzliwi, kiedy Piotr Walsh kochał się w Klarysie 1 przy lunchu wybuchła ta straszna, ta śmieszna awantura o Ryszarda Dallowaya. Nazywała Ryszarda „Wickham”. Co w tym złego, że nazywała go Wickham? Klarysę doprowadziło to do wściekłości. I właściwie nie widziały się od tamtego czasu, zaledwie kilka razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat. A Piotr Walsh wyjechał do Indii i Sally nie była pewna, ale chyba słyszała o jakimś jego nieudanym małżeństwie... i nie może go nawet spytać, czy ma dzieci, bo Piotr się zmienił. Był teraz inny, jakby suchszy, a jednocześnie łagodniejszy; Sally szczerze go lubiła, bo był częścią jej młodości, i do dziś miała mały tomik Emily Bron-te, otrzymany od niego w podarku... ale przecież Piotr sam miał pisać? Wtedy mówiło się, że zostanie pisarzem.

- Czy napisałeś coś? - spytała, kładąc gestem, który Piotr pamiętał, swą mocną, kształtną dłoń na kolanie.

- Ani jednej linijki - odparł Piotr, a ona wybuchnęła śmiechem.

Tak, Sally Seton jest wciąż kobietą pociągającą, jest indywidualnością. Ale kto to jest Rosseter? W dniu ślubu miał dwie kamelie w butonierce, Piotr tylko tyle o nim wiedział. „Mają roje służby, mile kwadratowe oranżerii” - pisała mu Klarysa; coś w tym rodzaju. Teraz Sally potwierdziła to wybuchem śmiechu.

- Tak, mamy do wydania dziesięć tysięcy na rok - ale nie pamiętała, czy po

odtrąceniu podatków, czy przed, bo jej mąż, „którego koniecznie musisz poznać”, powiedziała, „i który na pewno ci się spodoba”, sam się tym wszystkim zajmuje.

Kiedyś Sally była naprawdę bardzo uboga. Zastawiła pierścień, który jej pradziadek otrzymał od Marii Antoniny (czy Piotr nie przekręca czegoś?), żeby kupić bilet do Bourton.

O, tak, Sally pamięta. Ma wciąż ten pierścień z rubinem, Maria Antonina ofiarowała go jej pradziadkowi. Nie miała wtedy nigdy ani pensa w kieszeni i ilekroć chciała jechać do Bourton, musiała stawać na głowie, żeby zdobyć trochę pieniędzy. Ale wyjazdy do Bourton mnóstwo dla niej znaczyły - inaczej chyba by zwariowała, tak strasznie nieszczęśliwa była w domu. Cóż, wszystko to należy do przeszłości, dodała, wszystko minęło bezpowrotnie. Pan Parry umarł, ale panna Helena Parry żyje. Piotr powiedział, że chyba nigdy w życiu nie doznał takiego wstrząsu. Był pewien, że Helena Parry umarła. A małżeństwo Klarysy jest chyba udane? spytała Sally. A ta bardzo przystojna, bardzo opanowana młoda osoba to chyba Elżbieta? O, tam, w różowej sukni, pod kotarą.

Jest jak topola, jest jak rzeka, jest jak hiacynt, mówił sobie w duchu Willy Titcomb. (Och, tysiąc razy wolę być na wsi i robić to, na co mam ochotę, myślała Elżbieta. Była prawie pewna, że słyszy skowyt swojego biednego psa.) Nie jest ani trochę podobna do Klarysy, powiedział Piotr Walsh.

- Och, Klarysa! - powiedziała Sally.

Sally chodziło o bardzo prostą rzecz. Zawdzięczała Klarysie mnóstwo. Były przyjaciółkami, nie dobrymi znajomymi, tylko przyjaciółkami, i Sally do dziś widzi Klarysę w białej sukni, chodzącą po domu z naręczem białych kwiatów... do dziś kwiaty tytoniu przypominają jej Bourton. Tylko... czy Piotr to zrozumie?... Klarysie brak jest czegoś. Nie chodzi o urok, uroku ma mnóstwo. Ale mówiąc zupełnie szczerze (Piotr jest przecież starym przyjacielem, prawdziwym przyjacielem. Czy rozstania coś znaczą? Czy odległość coś

znaczy? Kilka razy zaczynała pisać do niego listy, ale je darła, mimo to wie, że Piotr rozumie, bo niektórzy ludzie rozumieją nawet bez słów, z czego człowiek zdaje sobie sprawę dopiero na stare lata, a ona jest stara, była po południu w Eton u swoich synów, którzy chorują na świnkę), więc mówiąc zupełnie szczerze - jak Klarysa mogła to zrobić, jak mogła wyjść za mąż za Ryszarda Dallowaya? Za sportsmena, człowieka, który interesuje się tylko psami! Kiedy wchodzi do pokoju, wnosi ze sobą zapach stajen. No a to wszystko? Sally zrobiła szeroki gest ręką.

Tak, to Hugh Whitbread przechodzi obok nich w swojej białej kamizelce - nijaki, gruby, krótkowzroczny, z dawnego Hugh'a pozostało w nim tylko zadowolenie z samego siebie.

- Zapewniam cię, że on nas nie pozna - powiedziała Sally, i naprawdę nie miała odwagi go zawołać...

A więc to jest Hugh. Niezrównany Hugh!

- Co on właściwie robi? - spytała Piotra. Czyści królewskie buty czy też rachuje butelki w piwnicy Pałacu Windsor, powiedział Piotr. Ach, Piotr nie stracił nic ze swojej dawnej złośliwości! Ale Sally musi nareszcie powiedzieć prawdę, zażądał Piotr. Jak to było z tym pocałunkiem?

Hugh pocałował ją w usta, zapewniła go Sally, któregoś wieczoru w palarni. Rozwścieczona poszła prosto do Klarysy. To niemożliwe! Hugh nigdy by czegoś takiego nie zrobił! powiedziała Klarysa. Niezrównany Hugh! Jakie piękne skarpetki ma na nogach, Sally nigdy w życiu nie widziała piękniejszych. A smoking? Ach, nieskazitelny. Czy ma dzieci?

Wszyscy w tym salonie mają po sześciu synów w Eton, powiedział jej Piotr; wszyscy oprócz niego. On, Bogu dzięki, nie ma dzieci. Nie ma synów, nie ma córek, nie ma żony. Wygląda dużo, dużo młodziej od tamtych, pomyślała Sally.

- Ale to pod każdym względem głupota - powiedział Piotr - tak wychodzić za mąż. - Klarysa postąpiła jak idiotka - powiedział - ale było nam ze sobą cudownie. - Jak to możliwe? - zastanawiała się Sally. Co on miał na myśli?

Czy to nie zdumiewające, znać go i nie wiedzieć, co się z nim działo przez te wszystkie lata? Czy zraniona ambicja podyktowała mu te słowa? Może, bo jednak musi to być dla niego bolesne (choć jest dziwakiem, inny niż wszyscy ludzie), bo jednak czuje się chyba samotny. W jego wieku nie mieć domu, nie mieć dokąd wrócić! Koniecznie musi do nich przyjechać i siedzieć długo, jak najdłużej. Ależ tak, przyjedzie z radością; i nagle tamto wyszło na jaw. Przez te wszystkie lata Dallowayowie ani razu u nich nie byli. Sally zapraszała ich wielokrotnie. Klarysa (bo to, naturalnie, była decyzja Klarysy) nie chciała przyjechać. - Bo widzisz - powiedziała Sally - Klarysa jest w głębi serca snobką. - I właśnie to je dzieli, Sally doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Klarysa uważa, że ona popełniła megalomanię, bo jej mąż - Sally się tym szczyci - jest synem górnik. Wszystko, co posiadają, zdobył własną pracą. W dzieciństwie (tu głos jej zadrżał) nosił na plecach ciężkie worki.

(Mogłaby tak mówić godzinami, pomyślał Piotr. Syn górnik, ludzie uważają, że popełniła megalomanię, ma pięciu synów. I co jeszcze? Ach, rośliny - hortensje, włoski bez, niesłychanie rzadka odmiana lilii, które w zasadzie nie przyjmują się w strefie na północ od Kanału Sueskiego, ale ona ma ich całe klomby, wyhodowała całe klomby tych lilii w ogrodzie na przedmieściu Manchesteru, z pomocą jednego tylko ogrodnika. Tak, Klarysa zdołała się przed tym wszystkim obronić, uratował ją słabo rozwinięty instynkt macierzyński.)

Czy jest snobką? Tak, pod wieloma względami. Ale gdzie ona się podziewa? Już strasznie późno.

- Widzisz - powiedziała Sally - kiedy się dowiedziałam, że ona wydaje przyjęcie, po prostu nie mogłam się oprzeć... tak bardzo chciałam ją zobaczyć, mieszkam dosłownie obok, na Victoria Street.

No więc przyszłam bez zaproszenia. Ale powiedz mi, błagam cię - spytała szeptem - kto to jest?

Była to stara pani Hilbery szukająca drzwi. Boże, jak późno! - A kiedy jest już późno - powiedziała cichym głosem - kiedy goście zaczynają się rozchodzić,

odnajduje się starych przyjaciół, ciche zakątki, spokojne przystanie, najpiękniejsze widoki. Czy oni wiedzą - spytała - że dokoła nich jest ogród zaczarowany? Światła i drzewa, cudownie połyskujące jeziora i niebo. „Ot, kilka zaczarowanych lamp, powiedziała Klarysa Dalloway, w ogródku za domem.” No cóż, Klarysa zawsze była czarodziejką! To jest przecież park... Pani Hilbery nie pamiętała ich nazwisk, wiedziała jednak, że są przyjaciółmi, a przyjaciele bez nazwisk, pieśni bez słów - czy może być coś cudowniej-szego? Ale tyle tu drzwi, tyle nieznanymi miejsc... naprawdę nie wie, którędy się wychodzi.

- To stara pani Hilbery - powiedział Piotr. Ale kto to? Ta kobieta, która cały wieczór sterczała obok kotary i nie rozmawiała z nikim? Jej twarz wydaje mu się znajoma, przypomina mu Bourton. Czy to nie ona krajała bieliznę na dużym stole pod oknem? Jakże ona się nazywa? David-son?

- Och, to Ellie Henderson - powiedziała Sally. Klarysa jest dla niej naprawdę bardzo niedobra. Są spokrewnione, Ellie żyje właściwie w biedzie. Klarysa naprawdę bywa dla ludzi niedobra.

Tak, chyba tak, przyznał Piotr. A jednak, powiedziała Sally z uczuciem, w wybuchu dawnego entuzjazmu, który Piotr tak w niej kiedyś lubił, ale którego teraz trochę się obawiał, bo Sally bywa teraz chwilami nieznośnie wylewna - a jednak, powiedziała Sally, Klarysa okazywała swoim przyjaciołom tyle serca! A to jest cecha rzadka, i kiedy Sally czasem w nocy albo w dniu Bożego Narodzenia zastanawia się nad dobrodziejstwami udzielonymi jej przez los, zawsze stawia tę przyjaźń na pierwszym miejscu. Były takie młode, w tym rzecz. Klarysa była wtedy osobą czystego serca, w tym rzecz. Piotr na pewno pomyśli, że ona jest sentymentalna. Tak, jest sentymentalna. Bo z biegiem lat Sally zrozumiała, że warto jest mówić tylko o jednym - o tym, co czuje serce. To tak głupio popisywać się inteligencją! Ludzie powinni mówić tylko o tym, co odczuwają.

- Kiedy ja nie znam moich uczuć - powiedział Piotr Walsh.

Biedny Piotr, pomyślała Sally. Dlaczego ta Klarysa nie przychodzi z nim

porozmawiać? On na to tylko czeka. Sally doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Cały czas myśli o Klarysie, cały czas bawi się tym swoim scyzorykiem.

Piotr powiedział, że życie nie było dla niego łatwe. Jego stosunki z Klarysą nie były łatwe. Zaciążyły nad całym jego życiem. (Byłoby śmieszne, żeby jej tego nie powiedział, łączy ich przecież tak dawna przyjaźń.) Człowiek kocha tylko raz, powiedział. A co ona mogła mu powiedzieć? Że na pewno szczęśliwszy jest ten, kto kiedyś naprawdę kochał (ale on zaraz pomyśli, że ona jest nieznośnie sentymentalna, był kiedyś taki złośliwy). Musi przyjechać do nich do Manchesteru. To prawda, Sally ma słuszość, przyznał jej Piotr. A przyjedzie do nich z największą radością, jak tylko załatwi to, co ma do załatwienia w Londynie.

Klarysa kochała go dużo bardziej niż Ryszarda, powiedziała Sally z przekonaniem.

- Nie, nie, nie! - zawołał Piotr. (Sally nie powinna była tego powiedzieć, posunęła się za daleko.) Poczciwy Ryszard - o, jest tam, peroruje na drugim końcu salonu, nic się nie zmienił, kochany Ryszard!

- Kto to jest - ten bardzo dystyngowany pan, z którym Ryszard rozmawia? - spytała Sally. Żyje na uboczu, więc to zrozumiałe, że ma nienasyconą ciekawość ludzi. Ale Piotr nie wiedział. Ten człowiek nie podobał mu się, wygląda na ministra. Ryszard jest z nich wszystkich najlepszy, naprawdę bezinteresowny.

- Ale czego on w życiu dokonał? - spytała Sally. Sprawy publiczne, to wszystko, uważała Sally. - I czy są ze sobą szczęśliwi? - spytała. (Ona sama jest bardzo szczęśliwa.) Bo przyznaje, że wie o nich bardzo mało, wyciąga tylko wnioski, jak to ludzie zwykle robią. Bo co my właściwie wiemy, co wiemy nawet o naszych najbliższych? Czyż nie jesteśmy wszyscy więźniami? Czytała wspaniałą sztukę o człowieku, który drapał ścianę swojej celi i życie wydaje jej się właśnie takie: wszyscy drapiemy ściany naszych cel. Ilekroć zwątpi w ludzką przyjaźń (ludzie są tacy trudni we współżyciu!), idzie do ogrodu i tam pośród kwiatów spływa na nią spokój, jakiego nie znajduje wśród mężczyzn i kobiet.

Och, nie, on nie lubi kapusty, powiedział Piotr, woli ludzi. To prawda, że miłość jest piękna, przyznała Sally obserwując Elżbietę idącą przez pokój. Jakże niepodobna do Klarysy, kiedy była w jej wieku! Czy Piotr umiałby coś o niej powiedzieć? Elżbieta jest tak małomówna. Niewiele umiałby o niej powiedzieć, jeszcze niewiele, stwierdził Piotr. Jest jak lilia, powiedziała Sally, jak lilia nad brzegiem sadzawki. Ale Piotr nie chciał przyznać jej racji, że nic się nie wie o ludziach. Wie się wszystko o ludziach, przynajmniej on wie wszystko.

- Ale ta para - wyszeptała Sally - ci dwoje, którzy teraz wychodzą - (ona też będzie musiała iść, jeżeli Klarysa nie zjawi się prędko) - ten bardzo dystyngowany mężczyzna, który rozmawiał z Ryszardem, i ta dość pospolicie wyglądająca kobieta... co można wiedzieć o takich ludziach?

- Że są parą ohydnych szarlatanów - odparł Piotr, rzucając w ich stronę przelotne spojrzenie. Sally wybuchnęła śmiechem.

Sir William Bradshaw zatrzymał się przy drzwiach, bo chciał obejrzeć obraz. Poszukał oczami nazwiska artysty w rogu. Jego żona zrobiła to samo. Ach, sir William Bradshaw ogromnie interesuje się sztuką.

- W młodości - powiedział Piotr - byliśmy zbyt pobudliwi, żeby naprawdę poznawać ludzi. Teraz, kiedy jesteśmy starzy... - dokładnie mówiąc ma pięćdziesiąt dwa lata (Sally zawołała, że ciałem ma lat pięćdziesiąt pięć, ale duchem jest dwudziestoletnią dziewczyną) - kiedy więc jesteśmy dojrzały, obserwujemy, rozumiemy, ale nie tracimy zdolności odczuwania.

- To prawda, nie tracimy - przyznała Sally. Ona z każdym rokiem odczuwa wszystko głębiej, silniej.

- Tak - powiedział Piotr - to się wzmaga, może na nasze nieszczęście, ale właściwie powinniśmy być z tego zadowoleni... - on odczuwa wszystko coraz silniej. Jest ktoś w Indiach. Chciałby z Sally o niej porozmawiać. Chciałby, żeby ją Sally poznała. Jest mężatką, ma dwoje małych dzieci. Muszą wszyscy przyjechać do Manchesteru, zawołała Sally, zanim stąd wyjadą, Piotr musi jej to przyrzec.

- Na przykład taka Elżbieta - powiedział Piotr - nie odczuwa połowy tego co my; jeszcze nie odczuwa.

- Ale widać - odparła Sally, obserwując Elżbietę podchodzącą do ojca - że bardzo się kochają. - Odgadywała to ze sposobu, w jaki Elżbieta zbliżała się do ojca.

Bo jej ojciec patrzył na nią, kiedy rozmawiał z Bradshawami, patrzył i myślał: kto to jest, ta czarująca dziewczyna? I nagle zorientował się, że to jego Elżbieta, że jej nie poznał, bo wyglądała naprawdę ślicznie w różowej sukni! Elżbieta rozmawiała wtedy z Willie'em Titcombem, ale poczuła na sobie wzrok ojca. Podeszła do niego i stali razem - teraz, kiedy było już prawie po przyjęciu - i patrzyli na wychodzących gości, na pustoszejące pokoje. Nawet Ellie Henderson wychodziła, niemal ostatnia, chociaż nikt z nią nie rozmawiał, bo chciała widzieć wszystko, chciała o wszystkim opowiedzieć Edith. Ryszard i Elżbieta cieszyli się, że to już koniec, ale Ryszard był dumny ze swojej córki. I chociaż wcale nie miał zamiaru jej tego powiedzieć, nie wytrzymał i powiedział. Patrzył na nią, powiedział, i zastanawiał się, kto to jest ta śliczna dziewczyna. A to była jego córka! Słowa ojca naprawdę zrobiły jej przyjemność. Tylko że ten biedny pies piszczy tam na górze!

- Ryszard zmienił się na korzyść. Masz rację - powiedziała Sally. - Pójdę i porozmawiam z nim. Pożegnaj się. Bo co jest warta inteligencja - spytała lady Rosseter wstając - w porównaniu z sercem?

- Już idę - powiedział Piotr, ale został jeszcze chwilę na kanapie. Skąd się bierze to przerażenie? Skąd się bierze ta ekstaza, zapytywał się w duchu. Skąd się bierze to niezwykle wzruszenie, które mnie ogarnia?

To Klarysa, powiedział. Bo Klarysa stała przed nim.